

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA SOBOTA

- Czas lewicowych raperów
- Ludobójstwo dla lodówki
- Nie głosujesz, to się nie skarż
- Ochrona dzieci to fikcja
- Im biedniej, tym lepiej dla PiS
- Czy zacznie się wojna o Tajwan?



**WYSOKIE
OBCASY**
**Przemoc
położnicza,**
czyli Polka
na porodówce



GAZETA wyborcza

wyborcza.pl

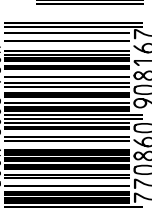
Nowa matka Polka



RYŚ: IGOR MORSKI

Wydaje Agora SA
nr indeksu 348198

20>



9 170860 908167

Sobota-niedziela, 20-21 maja 2023 | Redaktor prowadzący Marcin Kącki | Cena gazety 9,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 116.10308, 1 | Nakład 98 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych



empik

targi książki

17-30 maja 2023

salony | online | aplikacja

- setki targowych okazji
- premiery i nowości
- spotkania z autorami



REKLAMA 34252732

Igor
Rakowiecki-Kłós*

Miliard w rozumie, czyli żmudne badania władzy

Człowiek raczej nie chce nikogo znieważać. Za znieważanie ścigają policjanci (art. 216 kk), za znieważenie narodu ścigają politycy. Policjanci mają paralizatory, z których znikają nagrania, politycy mają budżety, z których znikają instytuty badawcze. Nie każdy jest niepokorny i ma ochotę zadzierać z władzą, więc lepiej wiedzieć, co mówić, by nie narazić się rządzącym.

Tematem wrażliwym dla władzy jest postawa Polaków wobec Żydów podczas okupacji. Władza chce, żeby mówić przede wszystkim o Polakach, którzy ratowali, a nie wydawali. Trzeba więc się orientować, ilu ratowało, aby nie zaniżyć liczby bohaterów. Zaniżanie od znieważania dzieli tylko dwie litery.

Tu pojawia się problem, bo władza i jej sympatycy oraz przedstawiciele instytucji publicznych podają różne liczby:

– „Najczęściej w literaturze występuje liczba dziesięciu tysięcy osób, które takiej pomocy udzielały” (dr Aleksandra Namysło z IPN);

– „Szacunki oscylują pomiędzy kilkudziesięcioma tysiącami, najczęściej pada liczba ok. 300 tysięcy” (Mateusz Szpytma, wiceprezes IPN);

– „Prof. B. Engelking odbiera dobre imię setkom tysięcy osób zaangażowanych w pomoc Żydom podczas II wojny światowej” (komentarz Ministerstwa Edukacji i Nauki);

– „Tysiące Polaków

spośród – jak szacujemy – miliona, którzy udzielali pomocy ukrywającym się Żydom, zostało za tę pomoc zamordowanych” (Andrzej Duda);

– „Polaków (...) ratujących Żydów (...) było co najmniej kilkaset tysięcy, a może nawet i milion, a może i więcej niż milion” (Jan Żaryn);

– „Pomagało im (...), w samej tylko Warszawie, ryzykując życiem – 70-90 tysięcy Polaków. (...) Proszę pomnożyć teraz tę liczbę w proporcji do Polaków żyjących poza Warszawą [ok. 2 milionów]” (Mateusz Morawiecki);

– „To właśnie Polacy, w swojej zdecydowanej większości, starali się ratować Żydów [kilkanaście milionów]” (Akademickie Kluby Obywatelskie im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego).

Liczba Polaków ratujących Żydów wynosi więc według aktualnej wykładni od dziesięciu tysięcy do kilkunastu milionów. I wciąż rośnie.

Podsumować mógłby to chyba tylko Janusz Weiss: „Miliard w rozumie”. ●

* Igor Rakowski-Kłós – redaktor magazynu „Ale Historia”, autor książki „Dzień przed. Czym żyliśmy 12 grudnia 1981”, sekretarz Nagrody Historycznej m.st. Warszawy im. Kazimierza Moczar-skiego.

Andrzej rysuje



Cannes Powrót Deppa



FOT. JOEL CRIVIANI/AP

– Czy czuję się bojkotowany? W żadnym razie. Ale to dlatego, że nie myślę o Hollywood, nie potrzebuję Hollywood – powiedział Johnny Depp, amerykański aktor, który przybył do Cannes na pokaz filmu „Kochanica króla”, w którym gra Ludwika XV. 59-latek wraca do kina po wygranym procesie o zniesławienie, który wytoczył byłej żonie Amber Heard. Po pokazie filmu w Cannes widzowie zgotowali mu 7-minutową owację na stojąco.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Cuda w puszczy



FOT. FACEBOOK LEŚNEGO POGOTOWIA

Sensacja przyrodnicza w puszczy pod Warszawą. Naukowcy mówią, że prędzej spodziewaliby się tam słońca

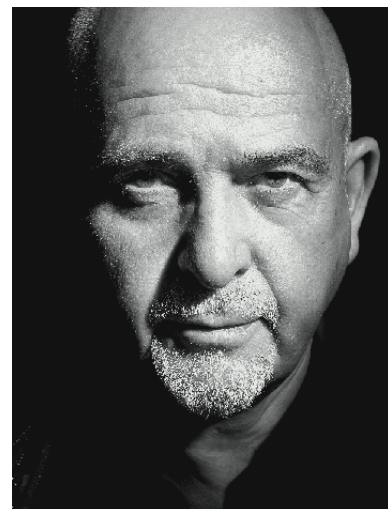
• Więcej ► Wyborcza.pl

Powrót po 20 latach

Przerwane milczenie Gabriela

Był wielkimi żółtymi bąblami. Był grywał z szympanсами. Peter Gabriel wraca i znów nie ma nudy. Po 20 latach Gabriel dokonczy więc wreszcie to, co zaczął w połowie lat 90. Pierwsze pomysły na piosenki, które wypełnią album „i/o”, pochodzą bowiem z tego samego czasu co „Up”. Najważniejsi współpracownicy też się nie zmienili, ale jak się ma takich muzyków jak Tony Levin, David Rhodes czy Manu Katché, to się nie organizuje castingu na nowych. No, chyba że stary, dobry znajomy Brian Eno chce się dograć. Możemy się zatem spodziewać płyty hermetycznej, wielowątkowej, niedzisiejszej, a pierwsze opublikowane utwory to potwierdzają.

Dla tych, którzy cierpią na bezsenność w czasie pełni Księżyca, Peter Gabriel przyszykował nagrodę pocieszenia. Mogą słuchać jego nowych piosenek publikowanych od stycznia dokładnie wtedy, kiedy ziemski satelita jest najokrągniejszy i świeci najjaśniej. I tak co miesiąc, aż uzbiera się pełny album.



FOT. MICHELE TURRIANI

„Irytujący ze mnie sukinkot. Lubie robić wszystko inaczej, jeśli tylko mogę. Mam 72 lata i na tym etapie nie ma znaczenia, co inni o tym myślą” – komentował swoją przedziwną strategię wydawniczą w wywiadzie dla magazynu „Uncut”. ●

Jarek Szubrycht

• Więcej ► na stronach „Wolnej Soboty”

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Dlaczego rozwodzimy się na starość?

On: Wysoki Sądzie, sąsiedzi mają o nas dobre zdanie, jesteśmy porządni, katoliccy, firma dobrze prosperuje.

Ona: W Wigilię mi życzył, żebym nie była taka zazdrosna. Chciał, żebyśmy żyli w trójkącie! Po 28 latach!

Reportaż Łukasza Oplątka



Naukowcy mają rację, ale Czarnek ma kasę

Niepośluszni będą głodni

Minister nie poprzestaje na ukaraniu Instytutu Socjologii i Filozfii PAN. Teraz grozi tym naukowcom, którzy się za IFiS ujęli

Kublik



Wielkie słowa same się cisną: wolność nauki to jeden z fundamentów demokracji. I właśnie jest demolowany.

Przemysław Czarnek, minister edukacji, który w normalnym kraju nie powinien być ministrem czegokolwiek, właśnie toczy bój z naukowcami. Jego spełnione błyskawicznie groźby, rzucone po wywiadzie TVN z wybitną badaczką Zagłady, prof. Barbarą Engelking – nie przekazał 813 tys. zł Instytutowi Socjologii PAN na pokrycie wymaganych prawem podwyżek płac minimalnych w nauce – świadczą o tym, że postrzega świat przez pryzmat zemsty z użyciem państwa.

Już dawno pisałam, że „woniające stęchłąną poglądy Czarnka są najpoważniejszym zagrożeniem dla wolności polskiej nauki”, ale nie przypuszczałam, że to zagrożenie tak szybko się ziści.

Jego buńczuczne okrzyki, że „nie możemy pozwolić na dyktaturę lewicowo-liberalną i lewacką na uczelniach”, z początku wydawały się nie-mądrym gadaniem do bogoojczyźnianego elektoratu. Podobnie jak retoryczne harce w rodzaju: „Chrześcijaństwo również mają swoje prawa. My też płacimy podatki, z tych podatków też są utrzymywane uczelnie wyższe i też mamy prawo do wyrażania swoich poglądów”. Ale gdy Czarnek zaczął deklorować konkrety: „Ukróć działania

polegające na szykanowaniu naukowców za ich wypowiedzi, jak miało to miejsce w przypadku prof. Nalaskowskiego [nazwał osoby LGBT gwałcicielami] czy prof. Budzyńskiej [nazywała antykoncepcję zachowaniem aspołecznym i zrównywała ją z aborcją]”, zaczęło się robić groźnie.

– Poglądy sprzed Monteskiusza, gdzieś z okolic Mojżesza – tak trafnie Czarnka skomentował prof. Janusz Reykowski. Tylko co z tego? Uczeni są wobec Czarnka bezsilni z powodu kasy – to narzędzie wystarczy Czarnkowi do tępienia „lewackiej” nauki. Będzie zatem szczerze rozdawał „w tych obszarach badań, które odnoszą się do obiektywnych wartości i są ważne dla Polski”, czyli znajdują się środki na przybliżenie młodym Jana Pawła II: „Bo jeśli słyszę dziś, że w wielu polskich uczelniach odmawia się prawa doktorantom do cytowania św. Jana Pawła II, a także św. Tomasza z Akwinu, mówiąc, że to nie byli naukowcy, to jest niestety zgnilizna naszego systemu szkolnictwa wyższego, z którą będziemy musieli skończyć”.

Innym będzie skąpił, a manipulować pieniędzmi może na wiele sposobów, także punktacją publikacji w czasopiśmie naukowych. Już ją zmienił i teraz największe pieniądze za pośrednictwem czasopism albo formalnie naukowych, albo wprost teologicznych, konfesyjnych, dewocyjnych płyną do uczelni katolickich oraz „swoich” naukowców. Czarnek docenił tytuły „naukowe” i „badaczy” zajmujących się odnową w Duchu Świętym, doznaniem mistyków i stygmatyków, objawieniami maryjnymi, szkodliwością antykoncepcji, czy biografią ciotki Jana Pawła II.

Teraz dopieści każdego, kto „dowiedzie”, że Polacy masowo i bezinteresownie ratowali Żydów.

Czarnek bierze za mordę polską naukę jawnie i z fanfarami, ale władza od dłuższego czasu uzurpuje prawo do decyzji, kto zasługuje na tytuł naukowy, a kto nie. Przykłady? Walter Żelazny czeka na tytuł profesora od kwietnia 2018 r., Michał Bilewicz od 2019 r. Andrzej Duda zwleka z nadaniami, choć wszystkim formalnościom stało się zadość i prezydent nie ma do tego żadnego prawa – co potwierdził sąd administracyjny.

Prezydent ma tytuł doktora nauk prawnych Uniwersytetu Jagiellońskiego, powinien bronić nauki przed zniewoleniem, w praktyce Czarnkowi kibicuje. Jawnie klaszcze mu dyplomowany historyk, absolwent prawa europejskiego i słuchacz kilku międzynarodowych uczelni, premier Mateusz Morawiecki, który wyrzucił z siebie szczerze, że „historyczna rzetelność nauki jest tylko wtedy, gdy jest zgodna z naszym zbiorowym, wspólnotowym oczekiwaniem”.

Czarnek dostał też wsparcie Macieja Świrskiego, szefa Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Świrski ściga TVN 24 za to, że właśnie tam prof. Engelking wypowiedziała słowa o ratowaniu Żydów przez Polaków A przecież – upiera się Świrski – „rolą dziennikarzy jest reagowanie na kłam-

Minister nauki docenił czasopisma naukowe zajmujące się: odnową w Duchu Świętym, mistykami, stygmatykami, objawieniami maryjnymi, szkodliwością antykoncepcji, terapią homoseksualistów i ciotką Jana Pawła II

stwa”. Czyli zamach na wolność nauki wspierają ci, którzy biorą państwowe pieniądze za to, by wolność uczynom gwarantować (art. 73 Konstytucji RP). Trzeba zatem powiedzieć dobitnie: atak na naukę przypuszczają najwyższe instytucje państwa.

Niestety, ta sprawa jest już głośna na całym świecie, ale poczekajcie, jest to, że ponad stu najważniejszych uczonych z całego świata (bo z Australii, Austrii, Bułgarii, Francji, Grecji, Holandii, Izraela, Kanady, Niemiec, Szwajcarii, Szwecji, Wielkiej Brytanii, Włoch) zajmujących się Zagładą zareagowało na atak Czarnka.

Za chwilę będą musieli zareagować mocniej, bo minister nie poprzestaje na ukaraniu IFiS PAN. Teraz grozi tym polskim naukowcom, którzy się za IFiS ujęli! Może dlatego nasi krajowi uczeni z nielicznymi wyjątkami wolności nauki nie bronią?

A tym, którzy jej bronią, Czarnek już obiecał sankcje, w tym pieniężne: „Jeśli pod listem rzekomo w obronie wolności nauki – kiedy to z nauką nie ma nic wspólnego, tylko jest zwykłym szkalowaniem polskiego narodu przez panią, która nie ma żadnych podstaw naukowych do twierdzeń, które stawiała – podpisało się tysiąc naukowców, to analizujemy, z jakich uczelni to jest, i będziemy na to reagować. Nie ma pozwolenia na to, żeby coś, co nauką nie jest, tylko jest zwykłym chamstwem antypolskim, było finansowane za pieniądze Polski”.

Pora na kolejny krok w prowadzonej od ośmiu lat pisowskiej „reformie” nauki i edukacji. Panie ministrze, panie prezydencie, panie premierze, uproszę nazwę resortu: Ministerstwo Nauki Zwykłego Chamstwa. ●

Agnieszka Kublik

Australia i Nowa Zelandia

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Australii. Dz. 2 Przyjazd do Melbourne. Dz. 3 Melbourne. Zwiedzanie miasta i powitalna kolacja. Dz. 4 Melbourne. Wizyta w winnicy w dolinie Yarra oraz spotkanie z sympatycznymi misiami koala i pingwinami na wyspie Philip. Dz. 5 Melbourne – Ayers Rock. Przelot w głąb australijskiego interioru. Dz. 6 Ayers Rock. Wschód słońca nad Ayers Rock i wycieczka po górach Olgi. Kolacja na świeżym powietrzu z widokiem na Ayers Rock. Dz. 7 Przelot z Ayers Rock do Sydney. Dz. 8 Sydney. Wycieczka po mieście, spacer do plaży Bondi, zwiedzanie opery w Sydney i zwiedzanie portu. Dz. 9 Sydney. Dzień do własnej dyspozycji lub możliwość wycieczki fakultatywnej w Góry Błękitne. Dz. 10 Przelot do Queenstown. Dz. 11 Queenstown. Wycieczka do fiordu Milford Sound. Dz. 12 Queenstown. Dzień do własnej dyspozycji. Dz. 13 Queenstown – Fox Glacier. Lot helikopterem nad lodowcem Fox Glacier. Dz. 14 Lodowiec Fox Glacier – wqówz Hokitika. Spacer nad jeziorem Matheson, wędrowka do punktu widokowego na lodowcu Fox i do wqwozu Hokitika. Dz. 15 Hokitika. Pociąg transalpejskim przez Wyspę Południową do Christchurch. Dz. 16 Christchurch – zwiedzanie miasta. Przelot do Rotorua. Dz. 17 Rotorua. Obszary termalne Te Puia. Wizyta w maoryskiej wiosce oraz kolacja. Dz. 18 Rotorua - Auckland. Wizyta w Hobbitonie, miejscu zdjęć do filmu „Władca Pierścieni” Dz. 19 Auckland. Wycieczka po mieście i pożegnalna kolacja na 52 piętrze Sky Tower. Dz. 20 Auckland. Podróż powrotna. Dz. 21 Przyjazd do Warszawy.

21 dni | Wylot z Warszawy 21/02 2024

Zeskanuj kod QR i sprawdź cenę!

Albatros travel

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: GW31

NIE CHCĘ BYĆ JAK MOJA MATKA

Dorosłe dzieci matki Polki:

ludzie zdolni i inteligentni, którzy przedwcześnie rozwinęli zdolności poznawcze i fantazję

Z PSYCHOANALITYCZKĄ,
NAUKOWCZYNIA **EWĄ
KOBYLIŃSKĄ-DEHE***
ROZMAWIA **EWĄ KALETA****

Matka jest konceptem napawającym i zachwytem, i przerażeniem. Gdy zostałam matką, przez długi czas czułam się lustrem dla ludzi i ich doświadczeń. Kiedy byłam w ciąży, mój widok prowokował znajomych do różnych zwierzeń z dzieciństwa. Czasem przerażała mnie myśl, że będę dla mojego dziecka nie tylko sobą, ale też symbolem.

– Matka jest pierwszym obiektem dziecka. Pierwszym pod każdym względem – prototypem późniejszych relacji miłosnych, źródłem pokar-

mu, opieki i pierwszą przewodniczką w poznawaniu świata.

Ba, na początku niemowlę nie postrzega jej jako oddzielnej osoby, ale jako zmysłowe otoczenie: matkę-dotyknąć, matkę-zapach itd. Dziecko widzi w niej swoje przedłużenie. Dopiero z czasem następuje proces separacji, który nie może być zbyt wczesny, bo wówczas grozi psychiczną katastrofą. John Bowlby, pierwszy teoretyk więzi, mawiał: „Przedwczesna separacja jest gorsza niż brak witamin”. Natomiast mój ulubiony psychoanalityk, Donald W. Winnicott, ukuł określenie „wystarczająco dobrej matki”, która powoli wprowadza dziecko w rzeczywistość, staje się dla niego odrębną osobą z własnym życiem i frustruje je w sposób niezbędny dla jego roz-

woju. Taka „wystarczająco dobra matka” najpierw zaspokaja pierwotne potrzeby niemowlęcia – bezpieczeństwa, bycia dotykany, noszony, trzymany – budując poczucie całości i ciągłości, a potem zaczyna dawać przestrzeń i jednocześnie stawiać granice, stopniowo ograniczając poczucie omnipotencji u dziecka.

A jednocześnie ta matka, wpływając na dziecko, sama nosi w sobie różne doświadczenia. Przede wszystkim z własną matką, z własnym byciem dzieckiem, z własnym ojcem i z ojcem dziecka.

Czy matka była psychologiczną obsesją od samego początku?

– Intuicyjnie bywała, natomiast analitycznie, w sposób zdefiniowany i opi-

sany – nie. U Freuda i w klasycznej psychoanalizie nie było matki, a już na pewno matki „wczesnej”. Jeśli była rozpatrywana, to na późniejszych etapach życia, z dominującym ujęciem edypalnym i konfliktu w trójkącie: zdrady, konkurencji, winy. Przy czym w nowej biografii Freuda Joel Whitebook stawia śmiałą hipotezę, że za pominięciem matki przez Freuda kryje się jego traumatyczne doświadczenie z własną matką Amelią, osobą kapryśną i opuszczającą.

To kto zatem jako pierwszy opisał matkę małego dziecka jako byt tak znaczący?

– Sándor Ferenczi pierwszy wprowadził do psychoanalizy matkę jako aktywny i empatyczny obiekt, któ-



ILUSTRACJA JACEK GAWŁOWSKI

ry wchodzi w zmysłową relację z malerz-
kim dzieckiem.

**A Melanie Klein? Słynna psychoanali-
tyczka dziecięca?**
– W Europie tak. Przy czym dla Klein nie li-
czyło się, jaka jest rzeczywista matka. Opisa-
ła niesłuchanie bogaty świat wewnętrznych
obiektów dziecka, nie tak bezosobowych jak
freudowskie ego czy superego. Jej obiekty są
szalejące, zdrowiejące, naprawiające, nisz-
czące, mające poczucie winy, frustrujące.
Ale Klein nie odcisnęła się na globalnej
psychoanalizie tak bardzo, jak mogła, bo
w okresie tużpowojennym rozeszły się dro-
gi psychoanalizy europejskiej i amerykań-
skiej. W USA psychoanaliza stała się zja-
wiskiem masowym, lecz zdominowała ją
tzw. psychologia ja, stawiająca na niezależ-
ność i własne siły jednostki, zgodnie zresztą
z amerykańskim ideałem self-made mana.
Stworzyli ją europejscy emigranci, niemiec-
cy Żydzi, którzy pragnęli zapomnieć o woj-
nie, Zagładzie i patrzeć w przyszłość. Nato-
miast w psychoanalizie europejskiej zaczął
się rozumiałych względów dominować tem-
at destrukcji, popędu śmierci i nienawiści.

**To znaczy, że na koncepcje psychologicz-
ne i psychoanalityczne mają wpływ nie
tylko obiektywna wiedza i odkrycia, ale
też konteksty historyczne, wpływające na
mentalność samych twórców tych kon-
cepcji.**

– Oczywiście. Na przykład gdy w latach 60.
zaczęły powstawać państwa dobrobytu, po-
jawilo się nowe podejście, motywy matki
opiekunki. Z kolei od paradygmatu edypal-
nego, w którym dominuje ojcowski autory-
tet i lęk kastracyjny, zaczęto odchodzić po
I wojnie światowej – na rzecz „matczy-
nych” kwestii zależności i separacji.

Wkrótce potem zaczęto również inaczej
interpretować samą kulturę. Freud rozu-
miał ją jako sublimację popędów, agresywnych
i erotycznych, tymczasem dostrzeżo-
no ochronną funkcję kultury, zaczęto sta-
wiać pytania o formy organizacji społecznej
oparte na przedłużeniu opieki macierzyń-
skiej o podstawy więzi społecznej. Tak roz-
winęła się psychoanaliza relacji z „drugim”
albo relacji z obiektem, która w różnych wa-
riantach dominuje do dzisiaj. Tylko w psy-
choanalizie francuskiej nadal króluje para-
dygmat edypalny. W ujęciu Jeana Laplan-
che’a matka pozostaje wielką uwodzicielką,
która w trakcie czynności pielęgnacyjnych
i opiekuńczych implantuje w dziecku tajem-
nicze, nasycone erotycznie przekazy kształ-
tujące jego nieświadomość.

**Rozpowszechniony jest pogląd, że psy-
choanaliza leczy przez słowa. Sam Freud
nazwał ją „talking cure”.**

– Mówimy zawsze więcej niż to, co wypo-
wiadamy. Freud uważał, że słowa później-
sze są pozostałością słów wcześniej usłysza-
nych. Terapia jednego z moich pacjentów
krążyła wokół jednego zdania matki, któ-
re sobie przypominał: „Jeśli nie masz nic do
powiedzenia, to nie mów nic!”. A np. w przy-
padku matki narcystycznej dziecko może
słyszeć dziurę w mówieniu. Gdyby chodziło
tylko o słowa w znaczeniu leksykalnym...

**...nie przyszłabym pani pytać o między-
pokoleniowy przekaz traumy. Wojennej,
powojennej, holokaustowej, rodzin
z pokoleniowym alkoholizmem, przesie-
dleniec...**
– Chodzi o coś więcej niż traumy, bo o po-
koleniowe połączenia. Kulturowe przekazy
mają część świadomą, którą badają history-
cy, i część nieświadomą, ukrytą między sło-
wami, zakodowaną w doświadczeniu, w na-
szym działaniu. Istnieje ogromna różnica
między wiedzą historyczną a pamięcią spo-
łeczną, która jakiś przekaz wysuwa jako klu-
czowy. Co więcej, te przekazy nie są po pro-
stu informacjami, ale do nas apelują, doma-
gają się odpowiedzi.

**„Pokoleniowy transfer matki” tropi teraz
ponad połowa mojego pokolenia, pró-
bując zrozumieć, co jest nie tak. Czy to**

**kwestia PRL-u i ówczesnego sposobu wy-
chowywania dzieci – kobiety do fabryk,
dzieci do żłobków – a w związku z tym
szybkiego kończenia karmienia piersią
i głoszenia, że mleko sztuczne jest lepsze
od kobiecego. Ponoć można właśnie
tym wytłumaczyć różne braki, tęsknoty,
które moje pokolenie próbuje sobie jakoś
opowiedzieć. Mówi się też o matkach
przywiązanych do kuchni, które czuły,
że muszą tam być, a przekazały to im ich
matki. Zimny chów, nadmiar troski połą-
czony z nieobecnością emocjonalną.**
– A jak na to odpowiadają matki z pani po-
kolenia?

**Nie chcemy tego powtarzać. Dużo mówi-
my o bliskości, rozumianej na wszelkie
możliwe sposoby. I dużo wąpimy, ciągle
same siebie o coś pytamy. Matka małego
dziecka zastanawia się, czy podola, nosi
w sobie jakiś brak, głód, wyczuwa go i nie
chce tego przekazać dziecku. Pojawia się
pytanie: jak dać, skoro ja nie dostałam?
Jak nie być tą matką w grotesce nadopie-
kuńczości, a w środku martwą.**
– Już samo pojawienie się takiej refleksji
jest dobrym początkiem do tego, żeby coś
zmienić i nie przekazywać wczesnych ura-
zów dzieciom. Chociaż siła takich przeka-
zów jest silniejsza niż nasze intencje i do-
bre chęci, najważniejsze to uznać, że mam
pewien brak – i zacząć się jakoś z nim ob-
chodzić.

To bardzo trudne.
– Stąd próby zasypania owych braków,
dziur, niepowodzeń, nieobecności nadmia-
rem – najlepszego możliwego pożywienia,
zabawek rozwojowych, kreatywnego roz-
woju zadań, pielęgnacji...
Kojarzy pani pojęcie „reverie” opisane
przez Wilfreda Briona? To stan zamyślenia,
zadumy, ale rozumiany jako zdolność mat-

**Co to znaczy „zachowuje reprezentację
dziecka w sobie”?**
– Chodzi nie o ilość kontaktu, ale o jakość re-
lacji i jej uwewnętrznienie. Na przykład kie-
dy matka jest w biurze, pracuje przy kom-
puterze i w pewnej chwili jej myśli wędrują
ku dziecku. Jest otwarta na to, co jej się śniło
albo co jej się przypomniało.

**Moja trzyletnia córka przyniosła wczoraj
z przedszkola rysunek. To był prezent
dla mnie. Kiedy przyszła do domu, chcia-
ła zjeść żelki, ale okazało się, że już się
skończyły. Córka zgmiotła rysunek dla
mnie i rzuciła go na podłogę. Podniosłam
rysunek i zaproponowałam, żebyśmy go
powiesiły obok innych na lodówce. Zrobi-
łam to, idąc zupełnie nieznaną mi drogą,
chciałam zaakceptować złość. Coś, czego
dzieciom z mojego pokolenia nie wolno
było przeżywać.**
– Córka niszczy, bo jest wściekła, a potem
to naprawiacie.

**Szukam intuicyjnie jakichś innych roz-
wiązań również dlatego, że się rozwo-
dzę i przyglądam się, jakie środowiska
tworzą swoim dzieciom samotne matki
wobec konserwatywnych modeli rodzin-
nych. Mierzę się z kultem maryjnym,
wzorcem matki Polki i paradygmatem
poświęcenia w kraju, w którym przekazy
międzypokoleniowe są bardzo silne i re-
strykcyjne. A to wszystko w kontekście
zakazu aborcji, rejestru ciąży.**
– To jest coś najgorszego, co mogło się stać.
Penalizuje się takim drakońskim prawem
życie, również psychiczne, matki i dziecka.
Zakaz aborcji tworzy zamknięte, przestra-
szone, sekciarskie i podejrzliwe społeczeń-
stwo, umacnia figurę matki za wszelką cenę.
Oprócz realnego zagrożenia matek, rodzin,
lekarzy, powstania podziemia aborcyjnego
prawo zamyka przestrzeń do spokojnego

Matczyny głos i dotyk w niemowlęctwie to elementarne doświadczenie, które nazwałam śnieniomówieniem, naznacza nas na całe życie, kształtuje styl naszego ciała – to, jak się poruszamy, jak mówimy, a nawet nasz styl seksualny

ki – podstawowa jego zdaniem – do przy-
jęcia różnych stanów dziecka. Dzięki reve-
rie te bardzo pokawalkowane, chaotyczne,
prześladowające dziecko stany, wracając doń,
integrują się.
Kiedy dziecko jest malutkie, obecność
matki, jej dostępność i jej receptywność
jest kluczowa. Matki, przewijając dziecko,
karmiąc, dotykają je i głaszczą, a jak głasz-
czą, to coś nuci i rozmawiają z dzieckiem,
ale to nie słowa są ważne, lecz ich melo-
dia. Można taką matkę nazwać poetką co-
dzienności. Angielska psychoanalityczka
Frances Tustin, która pracowała z dzieć-
mi autystycznymi, nazwała psychoanali-
zę „nauką poetycką”, bo często korzystała
z poezji, aby dotrzeć do zatrzaśniętego pa-
cjenta. Dziecko musi być, jak to opisał Di-
dier Anzieu, otulone matczynym głosem,
aby w ten sposób nabrać zaufania do wła-
snego istnienia i rozpocząć drogę do samo-
dzielnego życia.
Matczynie zamyślenie jest zawsze związa-
ne z głosem i z komunikacją. To elementar-
ne doświadczenie, które nazwałam śnienio-
mówieniem, naznacza nas na całe życie,
kształtuje styl naszego ciała – to, jak się po-
ruszamy, jak mówimy, a nawet nasz styl
seksualny. W ten sposób powstaje baza dla
przyszłego rozwoju pary matka – dziecko.
Wtedy matka może zacząć na jakiś czas zni-
kać. Jeśli zachowuje reprezentację dziecka
w sobie, dzieci to czują.

myślenia o byciu w ciąży, o macierzyństwie.
Także o własnej utracie i żalobie po aborcji.
Bo kobieta, która przeszła przez ten proces,
potrzebuje przestrzeni ochronnej, aby nie
musiała odcinać się od własnych uczuć.

**Myślę, że zakaz aborcji i rejestr ciąży spra-
wia, że matka staje się przede wszystkim
podejrzana. Podejrzewamy, że może nie
kochać dziecka, nie chceć go, w związku
z tym, że ją o to podejrzewamy, zmusza-
my ją, żeby działała pod przymusem...
Kiedy usłyszałam termin „martwa mat-
ka”, czyli taka, o jakiej rozmawialiśmy,
pomyślałam sobie o matce Polce, a po-
tem, że ledwo zaczęłyśmy wyłamywać
się z tego modelu, a zakazy i rejestry
go odbudowują.**
– Cóż mogę powiedzieć. Jedyne powtó-
rzę, że matka, z którą pani pokolenie próbu-
je wejść w dyskusję, to matka zalatana, bez
przestrzeni dla siebie i dla dziecka, często
emocjonalnie nieobecna. Matka, która sama
nie znajduje oparcia.

**Moja córka ma trzy lata i od tych trzech
lat obserwuję dzieci ubrane w czapeczki
i szaliczki, kiedy jest już naprawdę ciepło
wiosną lub jeszcze ciepło wczesną je-
sienią. Obserwuję jedzenie dwóch obia-
dów, jednego w przedszkolu, drugiego
w domu, ciągle mycie rączek, kontrolę
zachowania, kolejne i kolejne zajęcia**

**przedprzedszkolne, pozaprzedszkolne
i pozaszkolne. Jednocześnie słucham
opowieści o poprzednim pokoleniu
matek, które spędzały większość życia
w kuchni, nie były w stanie odejść od
przemocowego męża alkoholika. I czy-
tam dane o liczbie rozwodów w Polsce:
trzy pary na pięć.**
– Cały ten pakiet, pozornie rozbieżny – bo
matki uprawiające tę nową nadopiekuń-
czość wyobrażają sobie, że nie powiele-
ją błędów ich matek, że są zaangażowa-
ne w życie dziecka, obecne i dające – kon-
serwuje represyjne wyobrażenie, że kobie-
ty mogą wszystko, mogą się całkowicie po-
święcić. Włącznie z rozwodem – bo w Pol-
sce życie z dzieckiem po rozwodzie to cią-
gła praca.
Ale słyszę, że pani jest bardzo zdenerwo-
wana na polską matkę.

**Jestem, bo próbuję dyskutować ze
wszystkim naraz i sama ze sobą – z kie-
ratem codzienności, z konsekwencji
konstruowania symbolu matki przez
prawicową władzę, z symbolicznym zna-
czeniem matki w ogóle. Ale najbardziej
jestem zdenerwowana na to – również
w sobie samej – że ambiwalencja wobec
ciąży i dziecka to coś, na co nie można
sobie w Polsce oficjalnie pozwolić. Mimo
że ona istnieje, ostatnio powstaje sporo
magisterek o lęku dziewczyn przed ciążą
i macierzyństwem.**
– Ambiwalencja należy do życia. Niemal
wszystkie ciężarne, które do mnie przycho-
dzą, są ambiwalentne, szczególnie w pierw-
szym okresie ciąży. Czasem nienawidzą
dziecka i zarazem je kochają. W polskiej
kulturze to ciągle niedopuszczalne uczucia.
Miejsce zwyczajnej „wystarczająco dobrej
matki” znów zajmuje jakiś ideał matczynej
miłości, który wpędza matki w diabelskie
koło poczucia winy i nadopiekuńczości.

Matczyny głos i dotyk w niemowlęctwie to elementarne doświadczenie, które nazwałam śnieniomówieniem, naznacza nas na całe życie, kształtuje styl naszego ciała – to, jak się poruszamy, jak mówimy, a nawet nasz styl seksualny

**A przecież w Polsce „wystarczająco
dobra matka” w szerszym obiegu medial-
nym pojawiła się dopiero kilka lat temu.**
– Wystarczająco dobra, czyli taka, któ-
ra umie stworzyć przestrzeń między so-
bą i dzieckiem, dostrzec w nim naprawdę
odrębną istotę i zaufać jej – oczywiście na
miarę możliwości – zamiast zarażać wła-
snym lękiem, przyduszać nadmiarową, in-
truzystą, nieustanną troskę. Jest takie
piękne powiedzenie Donalda Winnicotta:
„dziecko, które umie być samo w obecno-
ści matki”.

**O tej „wystarczająco dobrej matce”
możemy powiedzieć „żywa”, skoro jest
w opozycji do nadopiekuńczej, emocjo-
nalnie nieobecnej „matki martwej”?**
– Freud w „Totemie i tabu” opisał figu-
rę „martwego ojca” jako punkt wyjścia dla
uformowania sumienia i przepracowania
własnej winy. André Green, twórca koncep-
cji „martwej matki”, opisuje ten kompleks
jako masywne wycofanie libido, które po-
zostawia w psychice dziury. Ale niekoniecz-
nie rozumiane negatywnie – jeśli mimo
wcześniejszych wychowawczych uwarun-
kowań uda się dobra separacja, to nieskoń-
czona pustka po „martwej matce” może stać
się czystą przestrzenią do obsadzenia wszel-
kich przyszłych relacji.

Dobry Boże.

– Właśnie na tym to polega. Bardzo skróto-
wo można powiedzieć, że figura ojca usta-
nawia prawo i porządek, zaś figura mat-
ki stwarza przestrzeń dla nieuchwytności
i wieloznaczności. Aby stać się podmiotem,
potrzebujemy obu.

A co sprawia, że matki stają się martwe?
– Green uważa, że skutek ciężkiej traumy,
która nie mogła zostać przepracowana:
utrata rodziców w dzieciństwie, ciężkiej
choroby, gwałtu. Tak powstaje „martwa ża-
łoba”, czyli niezdolność lub odmowa żaloby,
w gruncie rzeczy zaprzeczenie utraty. Za-
mykając obiekt żaloby w wewnętrzną kryp-
cie, zamyka się tam wszelkie przyszłe pra-
gnienia i vitalność. Matka jest całkowicie
pochłonięta własną utratą i przestaje ko-
chać dziecko.

Często to efekt utraty poprzedniego
dziecka. Widać to w rozmowach Mikola-
ja Grynberga z drugim pokoleniem ocala-
łych z Zagłady. Ci ludzie opowiadają o nad-
opiekuńczych matkach, z którymi nie było
psychicznego i cielesnego kontaktu. O mat-
kach, które umarły w środku, które w swej
opiekuńczości izolowały dziecko od życia,
o odziedziczonej pustce. Dzieci „martwych
matek” to też dzieci niejako zastępcze, po-
nieważ poprzednie dziecko umarło, zginę-
ło w obozie.

Dorośle dzieci „martwych matek” nie
czują nienawiści do matek ani do świa-
ta. Uwewnętrzniły obraz nieobecnej mat-
ki i jednocześnie go odszczepiły. W efekcie
powstaje pustka, psychiczna dziura, którą
Green nazywa „białą depresją”. Dzieci „mar-
twych matek”, jeśli zjawiają się jako doro-
śli u psychoanalityka, nie mają na pierw-
szy rzut oka charakterystycznych dla depre-
sji symptomów. Uderza raczej narcystycz-
ny charakter ich konfliktów i załamanie się
afektywnego wymiaru życia miłosnego i za-
wodowego. Noszą w sobie sopol lodu jak Kaj
z bajki Andersena. Przedwczesne odłącze-
nie mogło sprawić, że szukają czysto cieles-
nej przyjemności bez empatii. Często to lu-
dzie zdolni i inteligentni, którzy całą energię
musieli uruchomić za wcześnie, by przekie-
rować ją w przewidywanie nastrojów matki.
Dlatego też przedwcześnie rozwinęli zdol-
ności poznawcze i zdolności do fantazjowa-
nia, które oddzieliły je od uczuć.

**Chyba przeszliśmy od „martwych
matek” do „martwych dzieci”, a ja bym
jeszcze chciała pomówić o poświęcaniu
się matek, które znam, jak wiele młodych
kobiet, z własnego doświadczenia. Czy
to wpływ katolicyzmu i w ogóle religii
podsycia pokusę do poświęcenia się?**
– Polski kościelny katolicyzm raczej podsycia
rodzinną plemienność. Czyli, owszem, po-
święcenie, ale nie uniwersalne, etyczne, lecz
tylko dla swoich. Jednak pani ma na myśli
inne poświęcenie, niekoniecznie związane
z katolicyzmem i maryjnością. Demonstro-
wane i demonstracyjne poświęcenie mat-
ki, które staje się roszczeniowe i domaga
się uczuciowej rekompensaty, utrudniając
dziecku proces separacji.

**Zaczynam się zastanawiać, czy taka psy-
choanaliza, o jakiej rozmawiamy, nie mo-
że stać się alternatywą dla wysychającej
duchowości. Czyli rozumiana nie tylko
jako terapia, ale też jako pewien sposób
myślenia – o człowieku, świecie, relacji
z nim i innymi, z sobą samym i tak dalej.**
– Z pewnością wraz z zanikaniem religii
i metafizyki, czyli szeroko rozumianej du-
chowości, w zsekularyzowanych społeczeń-
stwach – a Polska też się takim staje – po-
wstaje niebezpieczna dziura. Jednak wątpię,
aby psychoanaliza mogła ją wypełnić. Gene-
ralnie rynek jest pełen ofert soft duchowo-
ści, łatwiejszych i obiecujących więcej niż
psychoanaliza, a w Polsce ona ma dodatko-
wo utrudnione zadanie ze względu na pod-
glebie kulturowe. Psychoanaliza przeniknę-
ła bardziej do społeczeństw protestanckich
ze względu na cztery elementy: etykę pra-
cy, etykę indywidualnej odpowiedzialności,
uwewnętrznione sumienie i tradycję kazno-
dziejstwa.

A jednak w Polsce też ma się coraz lepiej.
– I bardzo się cieszę, bo wiele lat temu my-
ślałam, że polska kultura i psychoanaliza to
rzeczy, których nie da się połączyć. Jej dzi-
siejszy rozwój wynika po części z zapotrze-
bowania na psychoterapię. Tym większe-
go, im bardziej abdykują albo są dyskredy-
towane dawne instytucje życia społecznego,
które kiedyś lepiej lub gorzej pełniły podob-
ną funkcję.

**A dlaczego pani myślała, że Polska i psy-
choanaliza to są rzeczy, które się odpy-
chają? Przez katolicyzm?**
– Nie tylko, również przez nasze doświad-
czenia historyczne. Psychoanaliza jest swe-
go rodzaju antyutopią, obiecuje, używając
słów Churchilla, znój, pot i łzy na drodze do
emancypacji i upodmiotowienia. Przez to,
jak pisze historyk kultury Bartłomiej Do-
broczyński w tekście „Polskie zmyły”, jest
„szczególnie trudna do przyjęcia dla umy-
słów niechętnych do zmierzania się z praw-
dą o rzeczywistości, dla których pociesza-
jące iluzje, wyzwolicielskie fantazje i hero-
iczne mity wydają się mieć urok wręcz hip-
notyczny”. Dobroczyński wysuwa tezę, że

sublimowanym rozumieniu, które wiąże go
z troskliwością, opiekuńczością, kultywowa-
niem, podtrzymywaniem i chronieniem”.

**Ostatnio zaczynam odkrywać formy
życia wspólnotowego poza tradycyjną
rodziną. Formy, które mogłyby być
oparciem dla matek, ale trudno je sobie
w dzisiejszej Polsce wyobrazić.**
– W Polsce nie było tradycji Wohngemein-
schaft, studenckich wspólnot mieszkani-
owych, które rozmnożyły się na Zachodzie
po rewolucji 1968 r. Te wspólnoty były czymś
w rodzaju poszerzonych rodzin. Miały swoje
reguły: kto kiedy sprząta, gotuje, kiedy urzą-
dza się wspólne imprezy, kto kiedy opieku-
je się dzieckiem – bo w takich wspólnotach
pojawiały się dzieci, ale też ludzie pracują-
cy, nie tylko studenci. To był początek dzisiej-
szych wielogeneracyjnych projektów miesz-
kaniowych, których jest coraz więcej choć-
by w Niemczech, społeczeństwie starych
ludzi. 80-lętnia przyjaciółka mojej przyja-
ciółki, która zaobserwowała u siebie pierw-
sze oznaki demencji, powiedziała do niej:
„Znajdź mi w Berlinie jakąś fajną wspólno-
tę demencyjną”.

**Nowoczesne matki uprawiające nową nadopiekuńczość
– choć wyobrażają sobie, że nie powielają błędów ich matek,
że są zaangażowane w życie dziecka
– konserwują represyjne wyobrażenie, że kobiety mogą wszystko,
mogą się całkowicie poświęcić**

w Polsce występuje postawa, którą nazywa
„niezdolnością do miłości”, a ja dodałabym,
że Polska jest również niezdolna do żalo-
by. Trudna, wstydliva, niekiedy mordercza
przeszłość musi zostać odwołana, własne
winy i porażki uznane, aby mogło powstać
miejsce na coś nowego. To są bolesne proce-
sy. Freud nazwał kiedyś psychoanalizę „pra-
cą żaloby”. Mówi się co prawda o żalobnej
kulturze w Polsce i o melancholii, lecz jest to
raczej kultura zamykania w grobach, cmen-
tarzach, szlacheckich pamiątkach, strasz-
nych pomnikach, a nie przepracowanie.
Psychoanaliza narodziła się z reflek-
sji nad doświadczeniem porażki i utra-
ty, z pewnością nie jest etyką bohaterów.
W pracy psychoanalitycznej to zawsze prze-
łomowy i poruszający moment, kiedy pa-
cjent porzuca skargę i triumf i zaczyna opo-
wiadać własnym głosem to, co mu się przy-
trafiło. Kiedy rezygnuje z magicznego wy-
równania rachunków, projektowania włas-
nych zaniechań na innego i nadużywania fi-
gury ofiary i niewinności.

A niezdolność do miłości? Co to znaczy?
– Psychoanaliza uwrażliwiła nas na spe-
cyczne doświadczenie pojedynczo-
ści poza rolą społeczną i rodziną. Dla tej
pojedynczości ramę zewnętrzną stworzyły
procesy modernizacji, które w Polsce na jed-
nych polach dopiero zachodzą, na innych
już zaszły, ale z przyczyn dziejowych przy-
brały specyficzną formę. U nas jednostko-
we życie z jego indywidualną erotyką jest
– znowu zacytuje Bartka – „z natury rzeczy
przeznaczone na ofiarę na ołtarzu wartości
»wyższych« – czynu zbiorowego, zagrożonej
ojczyzny, utraconej niepodległości, ale też
i macierzyństwa czy rodziny”.
Dobroczyński opisuje, jak w konsekwen-
cji równoległe z brakiem przestrzeni dla
„miłującego Erosa” rozkwitł „religijny wręcz
kult dla czynności z domeny Tanatosa
– wojny, polowania, rywalizacji, samoudrę-
czenia i cierpienia – co Maria Janion nazwa-
ła kulturą wojskowo-myśliwską”. Cytuję da-
lej: „Jedną z najbardziej szkodliwych kon-
sekwencji niechęci do Erosa jest stworzenie
żywnego pola dla rozkwitu różnego rodzaju
skłonności i zachowań destrukcyjnych. Na-
szą kulturę można interpretować jako anty-
erotyczną nie tylko w wąskim ujęciu Ero-
sa jako seksualności, ale też w bardziej wy-

**A czy w Polsce w ogóle jest miejsce na to,
żeby myśleć w ten sposób o codzienno-
ści? Trzymamy się tradycyjnego wzorca,
a potem poświęcamy się, by go podtrzy-
mać.**
– Ludzi nadmiarowa nowoczesność po pro-
stu przerasta. Trzymają się etnicznej czy ro-
dzinnej wspólnoty, żeby mieć jakąkolwiek,
bo nic alternatywnego właściwie nie po-
wstało.
Proces dochodzenia do nowoczesności
udał się w Polsce połowicznie. Wraz z mo-
dernizacją gospodarki nie pojawiły się no-
we formy życia społecznego. Ci, którzy
chcą się odciąć od plemienności, nie ma-
ją politycznych możliwości, aby coś mą-
drego, alternatywnego stworzyć. Są zmu-
szeni do reaktywności. Pani pokolenie wo-
ła: „Niech żyje różnorodność!” Jednak róż-
norodność nas przerasta. Ona potrze-
buje odpowiedniej wspierającej polityki
– wspierającej nawet nie ją samą, tylko nas
w przyjmowaniu jej, oswajaniu, dostoso-
wywaniu się. Tymczasem po „naszej” stro-
nie dominuje pop-nowoczesność, która
neguje istnienie różnic i hierarchii – wszel-
kich, nie tylko tych skostniałych i szkodli-
wych. To zresztą problem zarówno Pol-
ski, jak i całego zachodniego świata, któ-
ry wprowadza nową urawniłowkę: każ-
dy może być pisarzem, wykładowcą, każdy
może mieć wiele płci itd. Ta urawniłowka
ma na sztandarach różnorodność i się jej
domaga, ale w istocie ją niszczy.

**Czy to znaczy, że wolność i liberalizacja,
których tak pragnęliśmy, mają swoje
negatywne strony, swoich przegranych
i wykluczonych?**
– Tak. Z jednej strony doświadczamy na Za-
chodzie bezprecedensowej liberalności spo-
łeczeństwa obywatelskiego w odniesieniu
do orientacji seksualnych, przekonań reli-
gijnych i różnych form zaangażowania oby-
watelskiego. Z drugiej – równości kulturo-
wej i prawnej towarzyszą nowe nierówno-
ści i dyskryminacje. Głównym przegranym
jest rosnący międzynarodowy proletariat
usługowy, który pozostaje rozproszony. Nie
chronią go związki zawodowe ani prawo
pracy. Przegranymi są miliony uchodźców
i duża grupa ludzi starych, która nie nadąża
ani finansowo, ani cywilizacyjnie, szczegó-
lnie na prowincji.

**Niedawny wielki raport Sierakowskiego
i Sadury o stanie świadomości Polaków
pokazuje, że ta polska modernizacja mo-
że kulawo, ale postępuje – odchodzimy
od tradycyjnych form: Kościoła, rodziny,
ról społecznych. Lecz co w zamian? Co
mogłoby przejąć funkcje integrujące
i ochronne?**
– Z pewnością jest wielu nieobecnych: ro-
dzice, dziadkowie, inteligencja, związki za-
wodowe, różne stowarzyszenia, które taką
funkcję pełniły... Ale to jest problem global-
ny, nie tylko Polski.
Coraz częściej słyszy się głosy intelektu-
alistów dotyczące koncepcji globalnej soli-
darności. Socjolog Heinz Bude mówi o soli-
darności jako podstawowej kategorii współ-
czesności. Jeszcze przed pandemią filo-
zof Peter Sloterdijk mówił o komunitary-
zmie jako wzajemnej ochronie w skali glo-
balnej. Ale jak realnie, praktycznie reago-
wać na globalne egzystencjalne wyzwania,
jak te idee przełożyć na geopolitykę, insty-
tucje międzynarodowe i krajowe, na prawo
– nikt tak naprawdę nie wie. Są tylko pytania
egzystencjalne. Czym jest dobre życie? Jak
powinna wyglądać przestrzeń publiczna?
Jak chcemy kształtować nasze relacje? Jak
uznać roszczenia innych?

**Obie matki – ta poświęcająca się i odległa,
emocjonalnie martwa, oraz ta wystar-
czająco dobra, żywa – mogą nam w czymś
pomóc albo zaszkodzić.**
– Lekcja „martwej matki” jest taka, że ona
musi kiedyś umrzeć, aby inna osoba mogła
zostać pokochana – ale to umieranie starego
i pokochanie nowego powinno być powol-
nym, łagodnym procesem, zachowującym
ślad tamtej miłości. Tak aby ona żywała to,
czemu musimy zrobić miejsce.

**Jestem ciekawa tego doświadczenia,
jak ja sama to zniosę. W życiu trzylatki
zajmuję naczelne miejsce i zdaje mi
się, że tak będzie zawsze. I dlatego, żeby
za pięć czy dziesięć lat nie obarczać jej
bagażem pretensji, frustracji, oczekiwań,
już od teraz będę myśleć o tym łagodnym
przemijaniu. Przykleję sobie w głowie
żółtą karteczkę, że moja rola ma swoje
granice. Że kiedyś zamienię się tylko
w ślad pamięci. ●**



*Ewa Kobylińska-Dehe

• psychoanalytyczka, filozofka i kulturoznaw-
czyni, profesorka w International Psychoanaly-
tic University w Berlinie oraz Instytucie Filo-
zofii i Socjologii PAN. Członkini Niemieckiego
i Polskiego Towarzystwa Psychoanalitycznego.
We Frankfurcie nad Menem prowadzi własną
praktykę psychoanalityczną



**Ewa Kaleta

• reporterka, publicystka, specjalizuje się
w trudnych wywiadach z nietatnymi ludźmi
o najprostszych i najważniejszych sprawach,
prowadzi podcasty „Balkoniara” i niedawno
uruchomiony „Nad czym się tu rozwodzić”.
Rozmowy matek po rozstaniach”

*Po mamie nie mam prawie nic.
Tylko żal do ojca, że wszystko tak szybko wyrzucił*

Umarła mi nagle

DOROTA WODECKA

Mama umarła w czerwcu. Obroniłam magisterkę i pierwsze, co zrobiłam, to zadzwoniłam do domu, by powiedzieć, że cztery z plusem i że niepotrzebnie się bałam, bo pytanie o mutacje, „nagle, skokowe zmiany w strukturze DNA”, którą definiuję do dziś i nawet w nocy, a po drugiej stronie głos, nawet nie ojca, tylko sąsiadki: „Twoja mama jest w szpitalu, nic ci nie powiedzieli, bobyś nie podeszła do obrony, tylko pojechała do niej”.

Pojechałam od razu, z uczelni, w stroju zwanym wtedy galowym. Na popołudnie zapowiedziana impreza, piętro rodzinnego akademika zaproszone plus grono przyjaciół, wąskie jak zawsze, ale zamiast krojenia salatkki pociąg i szloch nie do opamiętania. Staliśmy z Jaśkiem w ostatnim wagonie, przez drzwi widziałam umykające tory i myślałam, że one coś z moim życiem mają wspólnego, ale wtedy jeszcze nie wiedziałam co. Zanim do Mamy, to jeszcze do laboratorium w centrum Opola, do Ciotki, bo nie wiem, jak dojść do tego szpitala, co się stało właściwie i kiedy i dlaczego jest tutaj, a nie w Przemyśle. Opieram się o autoklaw albo to Ciotka się opiera w białym, poplamionym odczynnikami fartuchu, a ja siedzę na szafce, obok moje papierosy Caro w czerwonej paczce, i słyszę: „Dorotko, strasznie mi przykro, ale lekarze mówią, że twojej mamie zostały trzy miesiące życia”.

Nie pamiętam, jak doszłam do szpitala, na chodnik w nieznanym wtedy mieście świeciło słońce, a mamę widzę jak przez mgłę, na łóżku, bo już wydaje mi się duchem, skoro mi zmarła godzinę temu, w laboratorium, przy autoklawie.

- Jak ci poszło?
- Dlaczego nie powiedziałaś?
- To nic, córcia, zaraz będę zdrowa.
- No tak, na pewno będzie dobrze.

I tego typu kłamstwa przez kolejne cztery miesiące.

• • •

I to wszystko, a nawet więcej wróci do mnie, kiedy już się rozsiądę u Waldka Bawółka rezydującego na Saskiej Kępie w mieszkaniu Moniki i Pisarza. Na stole wedlowskie kasztanki, wiśnie w czekoladzie, obiad, który przytargałam nam z baru mlecznego, i piwo, rzecz jasna, bo Waldek pije je w ogromnych moim zdaniem ilościach, za co go czasami nie znoszę. Ledwo zjadam swoją porcję, kiedy on zaczyna starą śpiewkę: „Po co ten wywiad, o czym, nie ma sensu”, i znów kołomyja, jaką przechodzimy trzeci albo czwarty już raz. Tylko że tym razem jestem potwornie zmęczona i nie znajduję powodów i sił, by go do naszej wspólnej roboty przekonać. Może rzeczywiście, kto miał przeczytać „Skrawki dla Iriny”, przeczytał, a reszta niech żałuje.

Wtedy, z końcem lutego, chcę go publicznie zrugać za marudzenie, że w Ciężkowicach go nie poważają, mają za menela i tym podobne historie, które przeżywa na okrągło w życiu i w literaturze. To trochę schizofreniczne swoją drogą, że w rodzinnym miasteczku postrzega siebie, że jest „te, poeta tylko głowa nie ta”, a na blurbie „Skrawków” Jan Gondowicz obwieszcza, że „Waldemar Bawółek jest teraz szpicem czołówki w dziedzinie sztuki opowieści”.

Waldek odżegnuje się po tysiącokroć, że nie jest żadnym pisarzem, co mnie się zdaje kokieterią albo asekuracją, bo raz, że go wydają, a dwa, że pisze nieźle, a dla mnie to nawet wspaniale. No i dostaje nagrody, tudzież może sobie przez miesiąc pomieszkować w mieszkaniu Szymborskiej.

Mieli swoje życie w literaturę, życiopisaniem to nazywa – albo ja to określenie teraz wymyślam, nieważne.

Z tego mielenia wychodzą postaci ciężkowickich ptaków niebieskich, którym życie się trochę posypało, tak w każdym razie z perspektywy wielkomiejskiej można je czytać, chociaż w wielkich miastach takich żyć też nie brak. Ale tu są bardziej zakamuflowane i mogą nie wystawiać się na osąd publiczny, co w małych miasteczkach, gdzie wiedzą wszyscy wszystko i o wszystkich, jest to trudniejsze.

Wychodzą też postaci, które były Bawółkowi życzliwe, a nawet takie, które kochał, czasem jakaś erotyczna historia się zdarzy, jednak na pierwszy plan przepycha się pośród tych wszystkich osobliwości Matka Królowa, Matka Bogini, Matka Jest Tylko Jedna. I to z jej powodu Waldek nie czuje, że praca pisarska może go w małomiasteczkowej społeczności afirmować, wywyższać czy przysparzać szacunku.

„Moje pisanie nie jest mi potrzebne do pocucia społecznej wartości, bo moja wartość polega na tym, że się matką opiekuję sumiennie i całodobowo. Natomiast pisarstwo wywyższa mnie o tyle, że mam poczucie, że nie jestem człowiekiem bez wartości, bo potrafię coś w życiu zrobić mimo tego, że żyję na marginesie tych Ciężkowic. No bo jestem outsiderem, nie ma co ukrywać” – znajduję notatki w swoim archiwum, raczej szczęśliwym przypadkiem, bo nie mam głowy, by swoją robotę metodycznie archiwizować, to po pierwsze, a po drugie, po co to komu.

Tak czy owak, Waldek, uczyniwszy bohaterem „Skrawków” pisarza, tak jak i ów zdaje sobie sprawę, że lepiej do swej profesji nie podchodzić z estymą szczególną, bo ostatecznie najważniejszym dla zaistnienia książki okaże się nalepianie znaczków na koperty, które wydawca roześle do zaprzyjaźnionych krytyków. Niektórzy przeczytają, a inni nie, bo już w skryncie kolejne przesyłki z kolejnych wydawnictw.

• • •

Dobra, Waldek, nie chcesz, to nie gadamy. Ale prywatnie ci powiem, że jestem na ciebie zła za opisanie śmierci twojej mamy na fejsie – wyrzucam niespodziewanie dla samej siebie, bo jakie ja mam prawo mieć do niego złość, i to jeszcze z powodu jego matki. Może poczułam w sobie, że on o mojej pisze i moją wydaje na fejsbukowy ogląd publiczny, ale te racjonalizacje to przychodzą mi do głowy teraz. Co wtedy we mnie wstąpiło, nie wiem, ale rozumiem, że Waldek nie rozumie, o co mi chodzi. Bo on naprawdę nie ogarnia świata społecznego albo udaje. Pytam więc, kiedy, do cholery, pojmie, że na fejsie przyjaciół nie ma, ino w realu, i że nie może wszystkiego na śmieciowym fejsbuku rozgłaszać. Jak można napisać, że matka przed śmiercią... Dobra, nie, koniec.

• • •

Dyktafon, prawie słowo do słowa:

Waldek, z tym swoim małopolskim zaśpiewem: Bez uprzedzenia! Rozumiesz? Umarła mi bez uprzedzenia. Szydę trochę, bo może tak łatwiej rozmawiać: A co, miała ci powiedzieć: Waldziu, zaraz umrę?

Waldek szydery nie słyszy, bo on chyba już tak ma, że dopiero po rozmowie analizuje jej przebieg i wtedy katuje siebie, że naopowiadał głupot, czyli był „za bardzo” prawdziwy. Ale ja też tak mam i miliony ludzi, więc w zasadzie nie ma tematu.

– Cała historia polega na tym – wspomina – że ja jak zwykle rano udawałem się do niej, bo wiesz, pomagałem jej wstać, ubrać się, łóżko pościelić, zrobić śniadanie i wszystko przebiegało w typowym rytuarze. Mama się pyta, czy dzisiaj wybieram się do miasta, bo potrzebuje kilku rzeczy. Byłem trochę niechętny...

– Nie czuj się winny – wtrącam.

– Ale czuję się.

Ty? Jej wylewu? Przestań sobie to robić.

– Tak. Ale widzę, że jest lista sprawunków, to idę do tego sklepu. I zostawiam ją w zajebistej kondycji. W życiu by mi nie przyszło do głowy. Nie wiem, jak to nazwać, nie umiem, mimo że niekiedy umiem. I wracam do domu, patrzę, a ona w tym samym miejscu siedzi, ogląda telewizję, oddana rzeczywistości codziennej. Poszedłem do siebie do pokoiku, a na stole w kuchni zostawiłem wszystkie wiktuały, które potem musiałem poukładać w swoich miejscach. I nagle słyszę potworne wycie – pierwszy raz doświadczyłem w tym domu takiego wrzasku. Myśle, kurwa, co się stało, zaglądam do pokoju, patrzę, mama leży obok łóżka i wyje. Normalnie to zawsze do mnie mówiła: Waldziu, co tam? Co kupiłeś fajnego? Rozłożyłeś te zakupy? Co będziesz robić? A teraz leży obok łóżka, usta wykrzywione, jak to po udarze, i łaskawie na mnie patrzy, że ja się pojawiłem i jej pomogę. I takie ma piękne oczy. Ale, kurwa, co ja miałem zrobić, powiedz?

Racjonalizuję: Zadzwoń po pogotowie?
– Musiałem po sąsiada polecieć, by pomógł mi ją przetransportować na łóżko. Ona spędziła chwilę jeszcze czasu na tej podłodze, bo co ja miałem zrobić? I jedyne, co potrafiła do mnie wyszeptać, to to, że chce...

Wiem, co powiedziała, bo ty to napisałeś na fejsbuku. I ja właśnie tego nie pojmuję i jestem na ciebie zła.

– Dlaczego?

Bo uczyniłeś z jej fizjologii umierania sprawę publiczną.

– Ale dlaczego ludzie mają czegoś takiego nie wiedzieć?

A sądzisz, że ona chciałaby, by wiedzieli?

– W takiej sytuacji to już chyba nie ma znaczenia. Ludzie powinni wiedzieć o takich rzeczach, tak mi się wydaje. Czy nie?

No to mu teraz wyjaśniam, że jego mama nie była tylko bohaterką literacką. Była kobietą, z którą rozmawiałam nieraz, zadbaną, czytającą książki z ciężkowickiej biblioteki, i nie chciałam czytać na fejsbuku pośród przypadkowych ludzi o fizjologii jej umierania. Ale Waldek wie swoje.

– Oczywiście, że zrobiłem to z premedytacją. Chciałem, żeby ludzie się dowiedzieli, jak wygląda śmierć. Że to nie jest przeżycie mistyczne, metafizyczne, tylko zwykła fizjologia. Rozumiesz, nie?

Być może, jakbyś to napisał w książce, nie poczułabym, że ją odzieras z intymności. Bo fejsbuk jest ekshibicjonistyczny z zasady, a ty w ten egotyczny ściek wrzucasz dosłowność śmierci swojej mamy.

– Brakło dyskrecji? Może masz rację, bo nagle odezwała się do mnie mamy znajoma i napisała, że nie chciałaby mieć takiego syna. Może czuła jak ty...

Znów empatyzuję, bo żal mi go, że tak się ufnie na tym fejsbuku odsłania: Ty to z bólu i z samotności, wiem, mówię.

– Ale ja to wciąż roztrząsam! To jest niemijająca sytuacja. Ja ciągle wracam do tego, ile ja rzeczy, kurwa, nie zrobiłem, żeby ją ocalić. Jak ja się zachowywałem nieracjonalnie.

A wtedy klik i to moja, a nie jego umiera. Po czterech miesiącach od czerwca, kiedy ani razu się do niej nie przytuliłam i ani razu nie powiedziałam, że ją kocham, kłęczę przy szpitalnym łóżku, obejmuję jej przykryte koldrą nogi i wciąż nic nie mówię, tylko myślę, z głupią nadzieją, że może to jest jednak tak jak w „Życiu po życiu”, a to znaczy, że ona patrzy na nas z góry i widzi, że jej brat trzyma ją za prawą rękę, a ja w tych nogach szepczę, nie powiem teraz co, bo głupio mi się do tego przyznawać. Ona zaś trochę wcześniej szepcze: Tato – ale nie wnika, czy sen to, czy mara, bo jej tato, a mój dziadek zmarł, kiedy miała kilkanaście lat. Pielęgniarki zapaliły przy łóżku gromnicę i teraz to już na pewno rozumiem, jeśli rzecz jasna unosi się nad łóżkiem, że jednak umiera, choć dwa dni wcześniej albo trzy lekarz mówił do niej: Ewa, wszystko będzie dobrze, prawda Dorotko? – i patrzył na mnie wyczekująco, a ja kiwałam potakującą głową.

Mam usta pełne czekoladek ze stołu Waldka, polykam je taśmowo, chyba kompulsywnie i nie wiem, czy chce mi się właśnie wymiotować od tego wspomnienia, czy od słodczy.

I ja, pięćdziesięcioczworoletnia kobieta, wyrzuję na faceta, którego ledwo znam, emocje tamtej dwudziestotrzyletniej dziewczyny, której on nie zna, a ja ledwo pamiętam.

– Ja powinnam, kurwa, przez te cztery miesiące leżeć przy niej na łóżku i nic więcej nie powinno mnie obchodzić!!!

– A ja powinienem to zrobić w ostatnich pięciu minutach – wtrąca natychmiast. – Czyli położyć się koło niej, głaskać ją po włosach, trzymać za rękę i, kurwa, być z nią, a nie łązić jak ten debil po kuchni i rozkładać te wszystkie produkty, które kupilem wcześniej – wyrzuca pretensję do siebie on, sześćdziesięcioletni plus jeden.

Nie ma instrukcji obsługi, uspokajam Waldka, ale siebie uspokoić nie umiem. I ostatecznie nie

wiem, czy i jego uspokajam w tamtej chwili, bo on dalej swoje:

– Że ja nagle, jak ten idiota, w oczekiwaniu na pogotowie odszedłem rozkładać te wszystkie produkty, zamiast ją trzymać za rękę, głaskać i mówić: mamuś, wszystko będzie dobrze. Ja tego nie umiałem. A ty czego nie umiałaś? – pyta i robi się grubo, bo oboje płacemy. Czy łzami, to nie wiem, ale na pewno. Opowiadam Waldkowi o tym, co mnie gnienie od trzydziestu lat. Ona na tapczanie, ja siedzę w jej nogach, moje córki śpią.

– Przytul się do mnie – prosi Mama jakoś tak płaczliwie, a ja zaciskam usta, wciągam policzki do środka i zastygam w strachu, że przytulę się jak tysiące razy przed tamtym czerwcem, w lyżeczki, mój brzuch do jej pupy albo odwrotnie, i się rozplaczę, że zawyję jak mama Waldka, więc nie ma mowy, nie, bo przecież tak pięknie wszyscy twardzielimy, i niech tak zostanie. Więc ucinam: daj spokój, zrywam się z tapczanu i nawet nie pamiętam, dokąd mnie nogi niosą, ale na 46 metrach kwadratowych to pewnie nie za daleko.

■

*Przytul się do mnie – prosi
Mama jakoś tak płaczliwie,
a ja zaciskam usta,
wciągam policzki do środka
i zastygam w strachu*

● ● ●

Nie wiem, jak to się stało, że obcy człowiek, którego odwiedzam służbowo, staje mi się na kilka godzin tak bliski. Może tak właśnie się dzieje w pociągach, kiedy ludzie są skazani na kilka godzin w jednym przedziale? Nigdy takiego gawędziarstwa nie lubiłam, ale teraz odmieniam „ja” przez wszystkie dni tygodnia. Nie wstydzę się, bo i on nie wstydzi się mówić o sprawach, które jednak skrywamy. Na przykład o tym, że wciąż rozmawia ze swoją mamą, co przyznaję i mnie czasem przychodzi do głowy, ale jednak jakaś blokada mnie powstrzymuje w pół słowa, albo raczej na początku zdania. Bo zdołam tylko: mamu. I koniec. Cenzor autokompromitacji. A on dialoguje!

– Zawsze wiedziała, po co przychodzę do naszej kuchni. Co, Waldziu, przyszedłeś po słodkie? Taaak. Co, będziesz sobie kolacyjkę robił? Taaak. Pytam teraz o to za mamę i odpowiadam jej na głos, werbalizując moją tęsknotę za nią.

Brzmi hardkorowo, ale chcę wiedzieć, czy taka rozmowa pomaga, bo może to jest jakiś sposób na obecną nieobecność.

– Pewnie, że pomaga. Czekasz na odpowiedź i chociaż wiadomo, że się, kurwa, nie doczekasz, to jednak, jak mówisz, od razu jest lżej i robi się bardziej rodzinnie.

Brnę dalej, bo mam osobiste powody, mimo że oboje jesteśmy już naszą bliskością wyczerpani. On co rusz wychodzi na balkon na papierosa, ja zjadam wszystkie czekoladki, orzeszki i ciastka.

– A wyrzuciłeś już jej rzeczy czy nie umiesz?

– Wyrzuciłem zaraz po tygodniu. Po co miałem je trzymać? Jak ja ją mam w głowie, to mam przedmioty pamiętać? No daj spokój. Przedmioty? Ubrania? Co to są przedmioty, no powiedz.

– Czasami jeszcze pachną – odpowiadam, bo wiem na pewno. Zanim mi odpowie, znów wyjdzie na balkon, a wtedy ja czuję, że teraz to już tylko chciałabym zasnąć na jego rozmemlanej kanapie.

– Przecież zapach domu świadczy o tym, że ona w nim żyje, jest – możliwe, że słowa Waldka mnie budzą, albo tak sobie to teraz wyobrażam. – Po co mi jej ciuchy sprzed 40 lat, które wi-

siały w szafie i których w ogóle nie nosiła. Wolałem je oddać ludziom potrzebującym. Największy problem miałem z pilnikiem do paznokci, którego używała przez 30 lat. Pozbycie się tego pilnika było naprawdę traumatyczne, ale wypierdoliłem, ponieważ wolę pamiętać mamę z tego, co mam w głowie, a ten pilnik to by mnie tylko rozklejał, rozczulał, byłby dla mnie świadectwem straty. A ty coś masz?

No właśnie nic prawie. Żal do ojca, że wszystko tak szybko wyrzucił. Nigdy z nim o tym nie porozmawiam, ale wtedy jestem pewna, że on chce jak najszybciej o niej zapomnieć. Teraz przy Waldku tamta pewność wyparowuje, a nawet myśl mi przychodzi do głowy, że może i ojciec cierpiał w milczeniu, które mam po nim. I miał z jej rzeczami to samo co Waldek z pilnikiem.

Mnie zostaje tylko sukienka, którą 25 lat później włoży moja córka. Nie umiem opisać Waldkowi, co czułam, patrząc na nią, możliwe, że to jedna z historii, która nadaje się tylko do przeżycia. Ale on nie zraża się moim milczeniem, tak jak ja nie zrażałam się jego, i zastanawia się na głos, czy czasem nie zobaczyłam swojej mamy w swojej córce, tak jak on widzi swoją w swojej i w swoim wnuku. Nie wiem, chyba nie, odpowiadam wtedy. Dziś wiem, o co szło, ale zostawmy to. Mój żal nie ma intelektualnej głębi i mimo wszystko jest infantylny.

● ● ●

I znów Waldek, z dyktafonu i znów to samo od początku, ale teraz słyszę więcej:

– Ja mam umysł analityczny i kontemplacyjny i nie umiem przejść nad tą całą sytuacją do porządku, więc przed każdym zaśnięciem zawsze jest chwila o mamie i pytanie, w którym momencie coś źle zrobiłem. Miałem urodziny 31 marca, a 1 kwietnia mama przed wylewem składała mi życzenia i przepraszała, Waldziu, ja wczoraj zapomniałam. Nic się mamu nie stało, nie ma żadnej tragedii z tego powodu. I za chwilę dopiero tragedia. Umarła 2 kwietnia. Jak papież. I nawet o tej samej porze.

Proszę cię, wtrącam, bo jednak resztki chłodnej racjonalności udaje mi się mimo wszystko zachować, ale Waldek, zdaje się, nie słyszy mego wtrącenia, by się trochę ogarnął z tą papieską koincydencją, bo ciągnie:

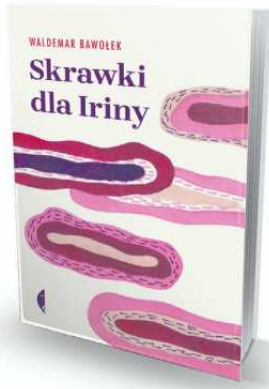
– Jest mi przykro, że nie umiem zaradzić tej całej sytuacji i że zacząłem wątpić, że ona z tego wyjdzie, chociaż nikła nadzieja była. A wątplenie graniczące z pewnością to jest, kurwa, chujowe uczucie.

– Dlaczego? – wypowiadam na przekór, bo przecież się zgadzam.

– Bo stoi po drugiej stronie nadziei – kwituje Waldek.

Puszczam jego słowa mimo, ale kiedy je teraz wklepuję, zaczepiam się na dniu, w którym moja mama umarła mi nagle i jeszcze za swego życia. Na paczce papierosów na szafce, na Ciotce w laboratoryjnym fartuchu, na autoklawie i promieniu światła wpadającym przez okno i na tamtej dziewczynie, którą pozbawia nadziei mordercza siła jednego zdania. ●

„Skrawki dla Iriny” – wydane przez Czarne rozliczenie Waldemara Bawółka z męskością i w ogóle życiem dostępne w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl





SILNY ZAPACH PRZEMOCY

Ochrona dzieci w Polsce: dziesięć razy okazało się, że rodzice nie są zdolni wypełniać swojej roli, ale dajemy im szansę jedenasty raz

Z DR **ANNA KRAWCZAK***,
ANTROPOLOŻKĄ, WSPÓŁZAŁOŻYCIELKĄ
INTERDYSCYPLINARNEGO ZESPOŁU
BADAŃ NAD DZIECIŃSTWEM, EKSPERTKĄ
FUNDACJI DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ,
ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Rozmawiamy cztery dni po śmierci kolejnego dziecka zakatowanego przez opiekunów. Coś, co nazywa pani „rytualnym tańcem”, czyli wzmożenie mediów, opinii publicznej, polityków, powoli się wycisza. Pani słowa – „śmierć Kamila niestety niczego nie zmieni” – brzmią dziś jeszcze bardziej gorzko.

– Trzeba też jasno powiedzieć, że gdybyśmy tym razem zachowali się inaczej i postanowili przejść do realnej ochrony dzieci, zamiast odbywać rytualne spory, kogo w pierwszej kolejności ukarać, to po tych

kilku dniach i tak niewiele by się zmieniło. Dlatego że to, co proponują profesjonaliści, czyli podejście systemowe do polityk społecznych mających na celu ochronę dzieci, to zadanie na lata. Nie wystarczy machnąć różdżką i wymienić jeden wadliwy element. Co więcej, nie możemy też obiecać, że wprowadzając zmiany systemowe, sprawimy, że żadne dziecko już nie zginie.

To co można?

– Na pewno zminimalizować liczbę przypadków. A mamy z czego schodzić. W Polsce z powodu krzywdzenia umiera co roku około trzydziściorga dzieci.

Wszystkie przypadki nagłośnionych śmierci dzieci z ostatnich lat – Blanki z Olecka, Zuzi z Torunia, Hani z Kłodzka – są do siebie bliźniaczo podobne. Ich

rodziny były objęte opieką społeczną. Dlaczego narzędzia, które mamy, się nie sprawdzają?

– Bo zależą od ludzi, którzy się nimi posługują.

Te dzieci, o których pani powiedziała, z bardzo wysokim prawdopodobieństwem w systemie nastawionym na ochronę dziecka można by było uratować. Ponieważ są to przypadki, które – zabrzmi to okropnie – bardzo dobrze odpowiadają na takie narzędzia jak na przykład arkusz czynników ryzyka. Nie mamy go w Polsce, ale on funkcjonuje w wielu krajach anglosaskich i dobrze się tam sprawdza. Innym arkuszem posługują się pracownicy socjalni, innym pracownicy ochrony zdrowia, innym szkoła, bo widzą dziecko pod różnymi kątami. Na przykład nauczyciel nie obejrzy dziecka bez koszulki, ale lekarz już tak.

Z kolei pracownik socjalny ma wgląd w sytuację domową, czego nie ma ani lekarz, ani nauczyciel. Arkusze te są wystandardizowane, a ich wspólnym celem jest spisanie czynników ryzyka, które w danej rodzinie występują, i określenie ich natężenia.

Jednym z czynników, który się sprawdzi, jest na przykład to, czy w domu, w którym mieszka dziecko, przebywa osoba wcześniej karana. Oczywiście czym innym jest przestępstwo skarbowe, a czym innym znęcanie nad bliskimi, ale to ostatnie jest bardzo wysokim czynnikiem ryzyka. Inny ważny punkt – czy w danej rodzinie dzieci już wcześniej były zabezpieczone poza rodziną i co się dalej z nimi działo, czy wróciły do rodziny, a opiekunowie wypełnili postanowienia planu pomocy? Czy na przykład od siedmiu lat przebywają w placówce opiekuńczo-wychowawczej, co oznacza, że

opiekunowie są niewydolni wychowawczo i brakuje im determinacji, żeby się zmienić.

To jest bezsprzecznie flaga wysokiego ryzyka, której w Polsce nie stosujemy.

Jak to?

– Podam przykład, który pochodzi z analizy orzeczeń sędziów rodzinnych przeprowadzonej kilka lat temu w województwie łódzkim.

Proszę sobie wyobrazić rodzinę, w której jest dziesięcioro dzieci. Jedno z nich już nie żyje. Pozostała dziewiątka przebywa w placówkach albo w DPS-ach, bo mają liczne niepełnosprawności. Rodzi się dziecko jedenaste i co się dzieje? Zostaje w rodzinie, która otrzymuje jedynie nadzór kuratorski. Nie jest zabezpieczone poza rodziną bezpośrednio z oddziału położniczego, choć powinno. I mówię to nie jako osoba, która kwestionuje orzeczenia sądowe, tylko jako praktyczka, która posługuje się kwestionariuszami, o których teraz rozmawiamy. Czyli mimo że dziesięciokrotnie okazało się, że rodzice nie są zdolni do wypełniania swojej roli, uznajemy, że za jedynastym razem może im się uda.

Skoro arkuszy oceny ryzyka nie mamy, to co mamy?

– Mamy procedurę Niebieskiej Karty, którą wszczynają się, kiedy w rodzinie zostają zaobserwowane przemoc – fizyczna, psychiczna, seksualna – albo zaniedbania, choć ta ostatnia jest bardzo często pomijana. Możemy zgłosić sprawę do prokuratury, na policję. Złożyć wniosek do sądu rodzinnego o wgląd w sytuację rodziny. Pytanie, co z tego wyniknie. Pracownicy socjalni muszą też zaznaczyć w tabelkach, jaki jest powód zabezpieczenia dziecka poza rodziną, jeśli już do tego dojdzie. Ale tu jest pewien haczyk, bo w tych tabelkach można zaznaczyć tylko jeden powód. Dlatego mamy bardzo niskie wskaźniki zabierania dzieci z powodu przemocy. Bo jeśli w rodzinie jest choroba alkoholowa rodzica, nieleczone choroby psychiatryczne drugiego rodzica, przemoc fizyczna i seksualna, to najczęściej zaznacza się tylko chorobę alkoholową. Oczywiście osoby, które pracują na pierwszej linii, doskonale wiedzą, że to ogromne uproszczenie, jednak nie mają wyjścia.

Absurdalne! Dlaczego można zaznaczyć tylko jeden powód?

– Bardzo zasadne pytanie, ale nie znam odpowiedzi.

Czy nauczyciele, pediatrzy, sędziowie rodzinni są szkoleni z tego, jak rozpoznawać oznaki krzywdzenia u dzieci?

– Pediatrzy wiedzę z zakresu krzywdzenia dziecka, zespołu dziecka maltretowanego, dziecka potrąsanego mają w programie specjalizacji. Ale nauczyciele, lekarze jako tacy, a już na pewno sędziowie rodzinni nie mają obowiązku dokształcać się na tym polu. Nie ma żadnego zapisu, który by im nakazywał na przykład raz w roku aktualizować wiedzę, która by potem była sprawdzana jakimś testem. Z drugiej strony są miejsca w Polsce, gdzie ten system działa bardzo dobrze. Od pierwszego szczebla, tego gminnego, czyli asystentów rodzinnych i pracowników socjalnych, po ostatni, czyli sąd, jest wysoka reaktywność, duży poziom wiedzy, pracuje się zespołowo. Lecz 20 kilometrów dalej jest powiat czy miasto, w którym to zupełnie nie działa.

Od czego to zależy?

– Podstawową bolączką polskiego systemu ochrony dziecka jest to, że nie ma jednoznacznie wyznaczonej przez państwo roli. To znaczy wiemy, gdzie jest sektor wspierania rodziny, i to jest właśnie ten szczebel gminny, ale nie mamy czegoś takiego jak odrębny sektor ochrony dziecka. Do prowadzamy w ten sposób do sytuacji, że rolą ludzi, którzy pracują z rodziną, czyli na przykład asystentów rodzinnych, jest niedopuszczenie do tego, żeby rodzina się rozpadła. A z drugiej strony oczekujemy od

nich, że jeżeli w tej rodzinie będzie się działo źle, to podejmą działania interwencyjne. Czyli interwent i „pomagacz” to jedna i ta sama osoba! Na świecie te dwie role zwykle się rozdziela po to, żeby nie powstawał konflikt interesów. I żeby ludzie mieli jasność, co należy do ich obowiązków.

Rozumiem, że to rozdzielenie polega na przykład na tym, że osobne są role asystenta rodziny i asystenta dzieci, który jest wykwalifikowany do pracy z nimi i reprezentuje je w sądzie.

– Tak, ale to może mieć bardzo różną formę. W Wielkiej Brytanii są też lokalne komitety ochrony dziecka, które zajmują się sprawami dotyczącymi dzieci, ale również szkoleniami profesjonalistów – pracowników ochrony zdrowia, oświaty, pomocy społecznej, sądownictwa. W Polsce to nie istnieje. To znaczy sędzia, który chce się doszkalać, może skorzystać z oferty Stowarzyszenia Sędziów Rodzinnych, pod warunkiem że przeznaczy na to swój wolny czas itd. Nie mamy lokalnych komitetów ochrony dziecka czy jakkolwiek inaczej byśmy je nazwali, bo w ogóle nie mamy myśli, że to jest potrzebne.

Czyli los maltretowanego dziecka zależy wyłącznie od szczęścia?

– I żeby pokazać, jakie to ma skutki, powołam się na taki przypadek. Dziecko rodzi się z cukrzycą typu 1, czyli musi otrzymywać zastrzyki z insuliny. Jednak przez półtora roku ich nie otrzymuje, ponieważ pompa insulinowa, którą dostało w ramach NFZ-u, została przez rodziców spieniężona. Niepodawanie niemowlęciu z cukrzycą typu 1 insuliny przez tak długi czas jest bezpośrednim narażeniem jego życia i zdrowia. Zabezpieczenie powinno nastąpić natychmiast, ale nie następuje, mimo że ta rodzina ma asystenta rodziny i kuratora. Nikomu się nie spieszy. Kurator poucza rodziców, prosi, czy mogliby coś zrobić, oni nie robią nic. Ostatecznie dziecko zostaje zabezpieczone w pieczy, jednak w konsekwencji zaniedbań ma nieodwracalne ubytki na zdrowiu. Wiem, że gdyby ta sprawa wydarzyła się w innym mieście, które mogę nawet wskazać, nigdy by

placówka, w której przebywa obecnie rodzzeństwo Kamila, miała działać na rzecz tego, żeby te dzieci wróciły do matki, prawda? I to nie jest wcale sytuacja jednostkowa. Mamy dzieci w pieczy, w których sprawie toczy się postępowanie prokuratorskie o krzywdzenie seksualne przez opiekunów albo które były maltretowane. Rodzice zastępczy znają akta sprawy, ale ustawa wcale nie mówi jasno, że w takiej sytuacji mogą odstąpić od działań reintegracyjnych. Ba, czasem rodzina zastępcza świetnie wie, że w domu jest przemoc i alkohol, a sąd mimo to nakazuje urlopowanie tam dziecka na weekend. I rodzice zastępczy guzik mogą z tym zrobić.

Niewiarygodne.

– Kolejny raz wraca to, że nie mamy oddzielnej ścieżki ochrony dziecka, czy byłaby to służba ochrony dziecka, ministerstwo dzieci czy pracownicy socjalni dzieci. Mamy magmę, w której wszyscy mają robić wszystko.

Mamy jeszcze urząd Rzecznika Praw Dziecka.

– To stanowisko jest niezwykle symboliczne. Powołaliśmy fasadowy urząd – i odchodzę tutaj od jakichkolwiek przytyków personalnych – który swoją fasadą ma przykryć to, że nie mamy całej reszty, czyli podstawowych mechanizmów chroniących dzieci. I nawet gdyby rzecznikiem była najbardziej kompetentna, empatyczna, fachowa osoba, to jedna w 38-milionowym kraju nie jest w stanie realnie zabezpieczyć dzieci. Ochronę dzieci trzeba rozciągać i przenosić na niższe szczeble, aż do szczebla gminnego. Potrzebujemy do tego rzeszy wykwalifikowanych rzemieślników, a nie jednego bezradnego mistrza.

Jakie kardynalne błędy zostały popełnione w sprawie Kamila?

– Nie mogę tego ocenić, nie mam dostępu do akt. Jednak przeanalizowanie tej sprawy, dokumentacji, porozmawianie z osobami, które przy niej bezpośrednio pracowały, byłoby niezwykle istotne. Tylko mnie by nie interesowało ustalenie, kto zawinił, ponieważ tym zajmuje się prokurator. Intereso-

Dlaczego nie mamy lokalnych komitetów ochrony dziecka?

Bo w ogóle nie myślimy, że to by było potrzebne

do tego nie doszło. System, o którym rozmawiamy, nie jest abstrakcją. Ma przełożenie na los, sytuację, życie i zdrowie konkretnych dzieci.

Co mają w głowie ludzie, którzy zwlekają z podejmowaniem tak ważnych decyzji?

– Nie wiem. Lecz wiem, że taki kurator czy pracownik socjalny powinien mieć z miejsca sprawę za zaniedbanie obowiązków służbowych z ustawy o przeciwdziałaniu przemocy. Jeżeli osoba wykonująca obowiązki służbowe jest świadkiem albo wie, że zdrowie lub życie dziecka jest zagrożone, ma obowiązek interweniować. Jeśli ten obowiązek zaniedba, powinna być od razu pociągnięta do odpowiedzialności. Tu do tego nie doszło, bo nikt nie założył sprawy. Mogłaby to zrobić rodzina zastępcza, ale rodziny zastępcze są w bardzo trudnym położeniu. Ich rola też nie jest jednoznaczna. Czy mają się opiekować dziećmi? Wydawałoby się, że tak. Ale mają też działać na rzecz tego, żeby dzieci wracały do rodziców biologicznych. No trochę trudno sobie wyobrazić, żeby rodzina zastępcza czy

wałoby mnie, co spowodowało, że ta sprawa zakończyła się tragicznie. Który element systemu nie zagrał? Opierając się na doniesieniach medialnych, można przyjąć, że reaktywność na niższych szczeblach była. OPS był zaangażowany, wysyłano wnioski do sądu o zabezpieczenie dzieci, jednak były one odrzucane, czyli być może sąd okazał się tu wadliwym ogniwnem? Ale znów, dlaczego? Czy stoją za tym jakieś praktyki lokalne? Brak szkoleń? Kwestia przekonai? Odpowiedzi na te pytania pozwoliłyby nam zrozumieć, jak możemy usprawnić system tak, żeby kolejne dziecko nie wpadło w „dziurę”, w którą wpadł Kamil.

Dogłębna analiza tego, co nie zadziałało w systemie, jest wdrożona w różnych krajach między innymi pod nazwą „serious case review”. Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę wraz z innymi organizacjami od 2019 r. walczy o to, żeby wprowadzić ją również u nas. Kancelaria Prezydenta nie była zainteresowana, rzecznik praw dziecka odmówił wsparcia projektu. Dlaczego?

– Kolejne pytanie, na które nie umiem odpowiedzieć, dlatego że część społeczna została wykonana – 22 tys. osób podpisało petycję popierającą to rozwiązanie. Nasuwa mi się tu analogia relacji pomiędzy służbami socjalnymi a sądem. Ktoś na tym niższym szczeblu może wykonać swoją pracę w 100 proc. profesjonalnie, ale jeśli zawiedzie ostatnie ogniwo, to ta praca idzie na marne. Nie mówiąc już o poczuciu frustracji i bezsensu.

Co mamy dzięki metodzie „serious case review”, na przykład w Wielkiej Brytanii?

– Przede wszystkim sprowadza się ona do przekonania, że system sam może się uczyć. I że nie po to wdraża się jakąś procedurę, przyjmuje ustawę czy ulepsza rozwiązanie, by znaleźć winnych, ale żeby zrozumieć, jak możemy naprawić swoje błędy, o których mówimy wprost.

W praktyce mamy dwa poziomy – centralny i lokalny. Powiedzmy, że w jakimś hrabstwie ginie dziecko. Informacja o tym idzie do centralnej komisji, która natychmiast prosi o dokumenty dotyczące sprawy, analizuje je i w ciągu kilku dni podejmuje decyzję o zawiązaniu lokalnego multidyscyplinarnego zespołu, w którego skład wchodzi: psycholog, prawnik, pracownik socjalny, pediatra, czasem również psychiatra. Ważne, że to są ludzie stamtąd, a nie jacyś „spadochroniarze” ze stolicy. Zespół robi rekonstrukcję wydarzeń, czyli analizuje dokumentację, rozmawia z osobami, które były zaangażowane, nie tylko z profesjonalistami, również z sąsiadami, z nauczycielami dziecka itd. Stara się zbudować taki model 3D, żeby zobaczyć, co się dokładnie wydarzyło i co zawiodło. W przypadku Daniela Pelki, chłopczyka polskiego pochodzenia, który został zamordowany przez opiekunów w 2012 r. w Wielkiej Brytanii, zawiodło to, że nikt z nim nie rozmawiał, ponieważ nie znał jego języka. Wszystkie informacje o rodzinie, którymi dysponowały służby, bo ta rodzina była obłożona wsparciem socjalnym, pochodziły od głównej narratorki, czyli matki dziecka. I między innymi na kanwie tej sprawy pojawiła się rekomendacja, która została potem wdrożona na prawo, że systemu nie usprawiedliwia to, iż jego przedstawiciele nie znają języka dziecka albo że jest jakaś trudność w komunikacji z nim. W takiej sytuacji trzeba albo zatrudnić tłumacza, albo znaleźć pracownika socjalnego, który potrafi porozumieć się z dzieckiem alternatywnym systemem komunikacyjnym. Nie można dopuścić do tego, żeby dorosły był jedynym właścicielem opowieści. Zresztą z tego, co wiem, Kamil był dzieckiem bardzo słabo się komunikującym, dlatego nikt z nim nie rozmawiał. Gdybyśmy mieli u siebie „serious case review”, być może właśnie powstawałaby rekomendacja, która nie dopuściłaby do powtórzenia takiej sytuacji.

Jak bardzo dzięki tej procedurze udało się obniżyć liczbę dzieci krzywdzonych ze skutkiem śmiertelnym w Wielkiej Brytanii?

– O 96 proc. Jednak chcę zaznaczyć, że są to przede wszystkim dzieci, takie jak Kamil, jak Blanka, jak Zuzia, czyli te, których rodzice już wpadli w systemowy worek. Można się tym rodzinom przyglądać, wyostrzać swoje spojrzenie, uczyć się, jak lepiej identyfikować przemoc, jak reagować. Natomiast jeżeli mamy rodzinę, która miesiąc wcześniej przyjechała do naszego miasta i system jej jeszcze nie wylapał, albo rodzinę, która zewnętrznie bardzo dobrze funkcjonuje i system nie miał powodu, żeby do niej zapukać, ale nagle dochodzi tam do zabójstwa suicydalnego, to wtedy nie jesteśmy w stanie tego przewidzieć, bo system tej rodziny nie widzi. Co nie oznacza, że należy sobie odpuszczać.

Wiele osób pyta: no dobrze, a co ja mogę zrobić, kiedy widzę, słyszę, że dziecko w moim otoczeniu jest krzywdzone?

– To, co możemy, bardzo zależy od tego, kim jesteśmy. Bo co innego może zrobić są-

siad, a co innego nauczyciel. Nauczyciel ma możliwość założenia procedury Niebieskiej Karty, której sąsiad nie rozpocznie. Ten przywilej ma również policja, pracownicy socjalni i pracownicy ochrony zdrowia.

Co jeszcze może zrobić nauczyciel, który ma wątpliwości, czy złamana ręka to efekt potknięcia w czasie zabawy, czy pobicia przez opiekuna?

– Jako Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę staramy się namawiać instytucje, które pracują z dziećmi: szkoły, przedszkola, placówki opiekuńczo-wychowawcze, kluby sportowe, szpitale do przyjęcia polityk chroniących dzieci, na które składają się różne elementy. Jednym z nich są tzw. procedury interwencyjne w sytuacji, kiedy podejrzewamy albo stwierdzamy krzywdzenie dziecka. Mają one jasno rozpisane kroki postępowania, które są dostosowane do prawa obowiązującego w danym sektorze. Podpowiadają, kiedy złożyć wniosek do ośrodka pomocy społecznej, kiedy do sądu rodzinnego, kiedy do prokuratury, a kiedy na policję i co w tych wnioskach powinno się znaleźć. Istnieją też pewne sytuacje, w których zastosowanie procedury interwencyjnej nie jest wyłącznie naszą dobrą wolą, ale obowiązkiem, za którego niedopełnienie grozi kara pozbawienia wolności. Taką sytuacją jest na przykład wykorzystanie seksualne osoby poniżej 15. roku życia.

Czy te procedury już gdzieś działają?

– Jest już trochę placówek, które przyjęły takie rozwiązania. Problem polega na tym, że to jest cały czas dobrowolne. Dlatego tak mnie frustruje, kiedy słyszę urzędników czy polityków, którzy po śmierci Kamila twierdzą, że „szkoła zrobiła wszystko, co mogła, w ramach prawa”. No dobrze, ale czy osoba, która to mówi i reprezentuje na przykład Ministerstwo Edukacji, kiedykolwiek zatroszczyła się o to, żeby na szkoły nałożyć obowiązek działań chroniących dzieci, tak żeby pracownicy oświaty wiedzieli, co mają robić? No nie.

Gdyby nauczyciele Kamila byli przeszkoleni z rozpoznawania oznak krzywdzenia u dziecka, toby mogli zobaczyć na przykład to, co zobaczyła doświadczona psycholożka i diagnostka dr Teresa Jadczak-Szumilo, która na podstawie klasowych zdjęć Kamila stwierdziła, że chłopczyk ma typową dla dziecka maltretowanego amimiczność twarzy, czyli tak zwaną twarz maskę.

– To jest dokładnie ta wiedza z zakresu identyfikacji symptomów przemocy, którą powinni posiadać wszyscy pracujący z dziećmi. Jeśli dziecko przychodzi całe posiniaczone i ma wszystkie kończyny polamane, to nie jest fizyka kwantowa, żeby zauważyć, że coś się stało. Ale jeżeli jest wycofane, kuli się, wydziela silny zapach w sytuacji pobudzenia, które bardzo często świadczy o wykorzystaniu seksualnym, to żeby móc to zauważyć, trzeba o tym najpierw wiedzieć.

Co może zrobić sąsiad, sąsiadka, rodzic w klasie, który podejrzewa, że znajome dziecko jest krzywdzone?

– Sąsiedzi mają tę przewagę na przykład nad nauczycielami, że obserwują dziecko w sytuacji domowej. Słyszą, widzą interakcje pomiędzy dorosłym i dzieckiem i w momencie krytycznym mogą wezwać policję, czego szkoła z założenia nie robi. To sąsiad wie, że w mieszkaniu obok trwa libacja i są małe dzieci, dla których nikt z obecnych tam osób nie jest bezpiecznym dorosłym, co jest bezpośrednią przesłanką zagrożenia życia lub zdrowia dziecka. Można też anonimowo zgłosić sprawę do OPS-u, informując, co nas niepokoi.

Jednak wiele osób, widząc i słysząc krzywdzenie, nadal nie reaguje. Dlaczego tak jest?

– Powody są bardzo różne. Mamy na przykład politykę społeczną, która polega na

gettoizacji, czyli na robieniu skupisk mieszkań komunalnych, socjalnych. Jeżeli w jednej kamienicy zakwateruje się rodziny, z których każda zмага się z bardzo poważnymi problemami, deficytami, dysfunkcjami, to reaktywność tych osób może być obniżona, dlatego że mogą mieć niski próg tolerancji na przemoc, co nie bierze się zni-

Sędzia w Polsce może się doksztalić, jak pomagać dzieciom w rodzinach dysfunkcyjnych, ale musi na to poświęcić prywatny czas

kąd. Jeśli nasze dzieciństwo było przemocowe, jeśli wynieśliśmy z niego przekonanie, że nie zasługujemy na troskę, a także że świat postrzega nas jako takich, to bywa, że kiedy sami zostajemy rodzicami, nie jesteśmy w stanie dobrze wykonywać funkcji rodzicielskich. Nie dlatego, że nie chcemy, ale dlatego, że nie potrafimy. Dla dorosłego, który wzrastał w bezpiecznym przywiązaniu i wysoko funkcjonuje, świadomość, że można dziecko przypalać papierosem, jest nie do przejścia. Ale dla osoby, dla której prawdą o świecie jest to, że można się wzajemnie krzywdzić, można sobie okazywać miłość poprzez uderzenia pogrzebaczem, dowiedzenie się, że ktoś inny pozostawia trzyletnie dziecko w domu i idzie w Polskę na dwa dni albo wyrzyna swojemu dziecku kępki włosów z głowy, ponieważ taki ma sposób podnoszenia go z podłogi, nie jest czymś zaskakującym.

Są rodziny, które nie mają takich doświadczeń, a też nie reagują, bo „nie będą się wtrącać” albo „na pewno MOPS i policja wiedzą o tej rodzinie, więc nie ma co zgłaszać”.

– Z tym przekonaniem jest akurat łatwo walczyć, mówiąc, że istotny jest tu efekt kumulatywny. W centrach pomocy dzieciom prowadzonych przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę pracujemy wyłącznie z dziećmi, które zostały skrzywdzone. I po tej stronie bardzo dobrze widać, ile wysiłków pojedynczych osób, które często w ogóle o sobie nie wiedziały, złożyło się na to, żeby takie dziecko dostało w końcu pomoc. Czasami to jest na przykład dziesięć wniosków złożonych przez sąsiadów, OPS, kuratora, asystenta rodziny itd. I ostatnim trybikiem wprawiającym całą maszynę w ruch jest pismo ze szkoły albo z izby przyjęć.

O wiele większy problem miałabym z tym, jak na przykładzie sprawy Kamila wyjaśnić ludziom, że reagowanie ma sens. Bo tam ta reaktywność była, wnioski były składane. I to są najbardziej frustrujące sytuacje, kiedy ludzie mówią: „Ale myśmy wykonali naszą pracę. Jak chcesz nas przekonać, że jeżeli zrobimy to kolejny raz, osiągniemy inny wynik?”.

I co pani na to odpowie?

– Zaczniјmy myśleć systemowo. Stwórzmy system ochrony dzieci z prawdziwego zdarzenia. Nie wierzę w sens nowelizacji kolejnych ustaw. System trzeba zbudować od nowa. Muszą się w nim znaleźć osoby, które będą skupione tylko na dziecku, kolejne tylko na rodzicach, oraz takie, które będą dawać wsparcie tym, którzy z tymi dziećmi i rodzicami pracują, czyli musi powstać system superwizji, którego też nie mamy.

Co musiałoby się zmienić w mentalności społecznej, żeby taki system mógł powstać?

– Na pewno powinniśmy pożegnać się z ideą „władzy rodzicielskiej”. My możemy nawet nie wiedzieć, że taki konstrukt jest pojęciem prawnym, który reguluje relacje pomiędzy dorosłym i dzieckiem, ale to nie ma znaczenia, bo i tak w tym żyjemy. Dziecko w ustawodawstwie, lecz także w przekonaniu społecznym nie jest postrzegane jako podmiot, który ma swoje prawa, w tym prawo żądania od państwa ochrony i tego, żeby na przykład mogło dożyć 18. roku życia. Pojęcie „władzy rodzicielskiej” musimy zastąpić „odpowiedzialnością rodzicielską”.

Petycję do wszystkich partii politycznych o włączenie kwestii bezpieczeństwa dzieci do programów wyborczych podpisało w tej chwili niewiele ponad 10 tys. osób. Petycję o zakwalifikowanie artysty Janna na Eurowizję – prawie 100 tys. Myślę o tym, jak daleka droga przed nami, żeby ten temat stał się ważny naprawdę, a nie tylko deklaratywnie.

– Ja bym wolala zrobić inne ćwiczenie myślowe. Jestem przekonana, że gdybyśmy w tej chwili założyły petycję o przywrócenie kary śmierci w Polsce, zebrałybyśmy dziesiątki tysięcy podpisów. Bo nam się wciąż wydaje, że najprostszą drogą do

ochrony dziecka jest surowe karanie. Nie jesteśmy nauczeni myślenia, że zmiana jest procesem i że jedyna realna szansa na poprawę sytuacji nie wiedzie poprzez wzmożenie i gwałtowne emocje, tylko przez spokojne, metodyczne przeanalizowanie przyczyn oraz wspólny, partycypacyjny model przygotowania odpowiedzi na pytania – jakim społeczeństwem chcemy być? Jakiego świata chcemy dla wszystkich dzieci? Nie tylko swoich. ●



***Anna Krawczak**

• antropolożka, współzałożycielka Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem IEIAK UW, certyfikowana praktyczka Trust-Based Relational Intervention TBRI, współautorka szkolenia MENTOR dla kandydatów na rodziny zastępcze zawodowe, niezawodowe i rodzinne domy dziecka. Związana z Fundacją Dajemy Dzieciom Siłę

Jerzy Stuhr
BIEG
PO LINIE
O sztuce, polityce i świecie
rozwawiała Maria Malatyńska
MANDA

Jerzy Stuhr,
Bieg po linie

Już w sprzedaży!

Szczerze o karierze i osobistych dylematach. O Wałęsie i Stalinie. O Witkacym i Gombrowiczu. Mimo trudnych tematów aktor w wyjątkowy sposób i z przymrużeniem oka komentuje ostatnie lata swojego życia.

empik salony / online / aplikacja

REKLAMA 34251832

RAPER W LEWACKIEJ SZUFLADZIE

To także osoby z mojego pokolenia sprawiły, że Konfederacja jest trzecią siłą polityczną.

Z **MATEUSZEM WARDYŃSKIM***,
BIELSKIM RAPEREM, ZNANYM
POD PSEUDONIMEM **ASTHMA**,
ROZMAWIA **DAMIAN NOWICKI**

„Krytyka Polityczna” nazwała cię „wszystkim, czego być może część z nas oczekiwała od Maty, ale nie otrzymała”.

– Nie wiem, czego „Krytyka Polityczna” chciała od Michała Matczaka. Jeżeli po nagraniu zaangażowanego utworu o uzależnieniach wśród młodzieży Mata zrobił reklamę dla McDonald's, to jego sprawa, a inni nie mają prawa mówić mu, co ma robić z własnym życiem. Niespełnione oczekiwania są z zasady błędne, ponieważ ktoś je sobie wyrobił. Ludzie żyją wyobrażeniem, dopóki się nie zawiodą. Najciekawsze i najpiękniejsze rzeczy są wynikiem najróżniejszych doświadczeń, które się dzieją organicznie, a nie zgodnie z wytyczoną ścieżką kariery.

Na swoim „manifestie” rapujesz o homofobii wobec osób LGBT, brutalności policji czy wyroku TK wobec aborcji. Jednocześnie, mimo że poruszasz tematy i historie, które rezonują, nie chcesz być nazywany „głosem pokolenia”. Dlaczego?

– Nie uważam, że jestem w stanie opowiedzieć o całym spektrum społecznym, jakim jest pokolenie. No bo czym mam być głosem? Jakiego pokolenia? Na depresję chorują nastolatki, ludzie w moim wieku, a także starsi. To samo dotyczy przemocy policji czy autorytarnych zapędów polityków, które dotyczą ludzi w każdym wieku. Czy to w przypadku osobistych przeżyć, czy tych związanych ze społeczeństwem po prostu mówię, co myślę. Fajnie, że ktoś się ze mną zgadza, lecz to także osoby z mojego pokolenia sprawiły, że Konfederacja, z którą raczej mi nie po drodze, jest trzecią siłą polityczną.

Ale w mainstreamie nie znajdują zbyt wielu artystów, którzy śpiewają czy ra-

pują o palowaniu protestujących przez policję czy niemocy wobec zbliżającej się katastrofy klimatycznej. „Na bank to pierdolnie, jak nic się nie zmieni/ Kto chce, uwierzy/ Możemy być jednymi z ostatnich na ziemi”. Albo: „Nieważne, kto rządzi krajem/ Bo to my jesteśmy podzieleni, oni razem/ Jedno pokolenie już czekało na centralę/ Więc może- my przybić grabę

albo dać się jebać dalej, amen”. Jestem w stanie wyobrazić sobie, że słuchając takich wersów, dla niektórych stajesz się „ich” głosem.

– Kiedyś po koncercie we wrocławskim Transformatorze podszedł do mnie chłopak i powiedział, że kilka lat był w ciężkiej depresji, a zaczął się z niej wygrzebywać po tym, jak trafił do niego „Manifest”. Do dzisiaj było to

jedno z najpoważniejszych doświadczeń w moim życiu, jeżeli chodzi o artystyczną interakcję z ludźmi. Ale znowu: doceniam, że moja wrażliwość z kimś rezonuje, jednak określenie „głos pokolenia” kojarzy mi się z odpowiedzialnością, której nie czuję i nie chcę. To, że mówię o problemie, z którym ktoś się utożsamia, nie oznacza, że mam czy znam rozwiązanie.

Z nagłówków tobie poświęconych wynika, że „rapujesz o progresywnych rzeczach”. Czujesz się zaszufładowany jako „lewacki raper”, który powinien mówić głośno o dzisiejszych bolączkach?

– Nikt nie ma prawa wymagać od dwudziestokilkulatka, który robi muzykę, by zmieniał świat i działał na rzecz jakiegoś celu bardziej, niż on sam chce czy potrzebuje. Ludzie będą mnie wsadzać do szuflad i nic z tym nie zrobię, lecz sam uznaję, co powinienem robić. Do tego dochodzą media, które wszystko podgrzewają i polaryzują. Nie mam zamiaru pełnić jakiegokolwiek politycznej funkcji, niezależnie czy z lewej, czy z prawej strony.

Śledząc polską popkulturę, mam wrażenie, że bycie zaangażowanym czy poruszanie kwestii społecznych, jak choćby zdrowie psychiczne, jest zwyczajnie intratne. Gdzie twoim zdaniem kończy się moda, a zaczyna szczerłość przekazu?

– Czy mówienie o zdrowiu psychicznym może być intratne? Jak najbardziej. Natomiast myślę, że jest wiele innych kwestii, takich jak te związane z seksualnością, których ludzie poruszać nie chcą, bo to szkodzi. Szczerłość figuruje niezależnie od mody, trendy umierają, a prawda zostaje. Uważam, że uważni ludzie wyczuwają prędzej lub później, że ktoś wykorzystuje mówienie o zdrowiu psychicznym czy sprawach społecznych dla własnego interesu bądź robi to naprawdę z serca. Jednocześnie dzisiejsza rzeczywistość gwarantuje na tyle ciężkie przeżycia, że nie dziwiłoby mnie, że wszyscy walczą z wewnętrznymi demonami, chorobami czy zaburzeniami.

Może wyjdę na dziadę, ale trochę irytuje mnie dzisiejsza moda na obkurkane lata 90. oraz nastolatki, którzy za absurdalne pieniądze kupują hipsterskie koszulki z młodym Snoop Doggiem, 2Pacem czy Ice Cubem, nie znając szerszego kontekstu czy historii gangsta rapu.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

– A ja mam pasek JP [„jebać policję”], choć nie słucham Firmy [grupa muzyczna wykonująca uliczny rap]. Nie będę winić nastolatków za to, że nie mają świadomości, że 30 lat temu był taki zespół jak amerykańskie N.W.A. i że to byli prekursorzy rapu, ponieważ to przeważnie ich nie obchodzi. Muzyka, filmy i sztuka dostosowują się do świata, w którym żyjemy. Dzisiaj młodzież ma inną wrażliwość oraz wykonawców aktualnych wobec społecznych okoliczności, które im towarzyszą. Co więcej, oni żyją w przestrzeni, w której ta wiedza nie jest jakkolwiek wpływowa. Te płyty i ci artyści, nawet jeżeli są niezwykle istotni w historii rozwoju muzyki, stają się zaledwie symbolem i marką. Jedni są świadomymi, głodnymi wiedzy odbiorcami kultury, drudzy nie, a koszulki to koszulki.

Oldskulowy, uliczny hip-hop w swoim DNA ma wpisaną dominację i walkę. Tam, gdzie w podziemiu ludzie rapują o drodze na szczyt, sukcesie i bogactwie, ty nawijasz o słabościach, środowisku, emocjach i strachu. Nie masz problemu z szacunkiem środowiska, w którym działasz?

– Nie jestem przedstawicielem żadnego oldskulowego ani ulicznego nurtu. Świadomie dobrałem środki wyrazu podczas debiutu, użyłem takich, a nie innych słów, ale nie są to jedyne tematy, które poruszam w twórczości. Nigdy też nie miałem w planie robić tego samego utworu przez całe życie. Miałbym mieć problem w środowisku, dlatego że różni ludzie rapują o różnych rzeczach? Są raperzy, którzy kładą wersy o wspomnianej „drodze na szczyt i sukcesie”, raperzy, których słucham i których darzę wzajemnym szacunkiem, a inna tematyka tego nie wyklucza. Jeżeli chodzi o wrażliwość, to myślę, że bliżej mi do amerykańskiego rapera Tylera, The Creatora niż do Pei, z pełnym szacunkiem do obu panów. Nawet kiedy epizodycznie obracałem się wśród lokalnych scen hip-hopowych rodzinnego Bielska czy Krakowa, nigdy nie czulem się ich integralną częścią. Raczej kroczę własnymi ścieżkami.

Rapujesz o solidarności i społecznej jedności, ale czy branża odpowiada na to równie entuzjastycznie? Czy polskie środowisko hip-hopowe jest tolerancyjne np. wobec imigrantów czy osób LGBT?

– Generalnie środowisko polskiej sceny hip-hopowej z roku na rok jest coraz szersze i pojawia się więcej artystów z różnym backgroundem i poglądami. To, że muzyczni weterani wciąż są obecni i dalej tworzą, dowodzi jedynie, jak różnorodna poglądom i ideologicznie jest ta scena.

Środowisko to dla mnie piękni, wrażliwi i piekielnie zdolni ludzie, z którymi się trzymam. Nie mam w zwyczaju dopuszczać do siebie ludzi nietolerancyjnych. Czy tacy są w branży? Zapewne tak, jak w każdym innym środowisku.

A miałeś do czynienia z jakimiś homofobicznymi akcjami przez twój styl, orientację lub makijaż?

– Makijażu raczej nie mam, za bycie bi wpierdolu nie dostałem, noszę się raczej luźno, a paznokcie maluję, jak mam ochotę, i poza sporadycznymi komentarzami na ich temat nic mi nie przychodzi do głowy.

A nadal grasz ze swoim ojcem w zespole?

– Niestety, nie, bo coraz rzadziej bywam w Bielsku, ale za każdym razem, gdy odwiedzam rodzinne strony, to wpadam do nich na próby i słucham, nad czym pracują.

Powiedziałeś, że twoi rodzice słuchali tradycyjnego amerykańskiego rapu

i tym przesiąknąłeś. Rodzice cię wspierają w karierze?

– Całe życie czuję od nich wsparcie, a im bardziej wchodziłem w hip-hop, tym bardziej wiedziałem, że mogę na nich polegać. Bardzo wiele rzeczy zawdzięczam właśnie im. Biblioteka muzyczna jest jedną z nich, choć hip-hop nie był gatunkiem, który królował w naszym domu. Nine Inch Nails czy Chrisa Cornella poznałem dużo wcześniej, niż – powiedzmy – Gang Starr.

A więc dorastałeś w domu z kochającymi rodzicami, pośród tolerancji do różnorodnej muzyki. Jednocześnie wspominałeś, że „Manifest”, czy w ogóle przygoda z hip-hopem, jest pewnego rodzaju buntem. Przeciwno czemu?

– Okres poprzedzający wydanie „Manifestu” był dla mnie wyczerpujący emocjonalnie i fizycznie. Tak samo jak sytuacja w Polsce i na świecie z 2020 r., która dała mi popalić. „Manifest” zawarł mój gniew wobec wszystkich negatywnych rzeczy, które wypełniały moją rzeczywistość. To sprzeciw wobec marazmu, apatii, kłamstwa.

Kogo i jakich?

– Wszystkich, którzy czynią zło. Od polityków po zwykłych ludzi, którzy to powielają. W „Manifestcie” krytykowałem rzeczywistość, która mnie otacza, oraz struktury ucisku i polityków, którzy odpowiadają za jej kształt.

„Ej kurwy z PiS-u/ To wojna, a nie czas kompromisów/ Brak długopisu/ Manifest w uderzeniach beatu/ Wymierzony w polityków”.

– Tak. Zwracam się bezpośrednio do polityków i ludzi odpowiedzialnych za tworzenie prawa. Dlatego też publicznie wytknąłem im błędy, nadużycia, propagandę i systemowe patologie. W założeniu chciałem wyczerpać temat tą płytą, mieć poczucie, że powiedziałem względem pewnych rzeczy wszystko, co chciałem. O ile się to udało, to tak w okolicach premiery albumu przeżyłem najgorsze wydarzenia swojego życia, o tym jest moja druga płyta, „nowe życie”, która właśnie wyszła. Jest bardzo osobista, o wszystkim, co wydarzyło się po „Manifestcie”, jak znalazłem się w miejscu, w którym jestem, jak wyglądało dochodzenie do siebie i leczenie traum, szukanie swojego miejsca, no i co dalej. „Nowe życie” to będzie płyta drogi opowiedziana rozdziałami, bo każdy utwór to mój kolejny krok w drodze do Gdyni. Będzie to bardzo zróżnicowany gatunkowo i stylistycznie krążek. Ale głównie to historia o miłości wobec innych oraz samego siebie.

We wszystkich twoich utworach, które znalazłem, nie słyszałem narzędzi współczesnego rapu, z Auto-Tune’em (korektor głosu) na czele. Czy to przywiązanie do starej szkoły hip-hopu?

– Absolutnie nie, bo to nie jest jedyna muzyka, którą robię. To, że w „Manifestcie” nie ma wielu narzędzi charakterystycznych dla współczesnego rapu, nie oznacza, że nie używam ich w innych projektach czy twórczości, nad którą aktualnie pracuję.

Zresztą w przypadku utworów „się zmieniło trochę” czy „peto” jest pełno współczesnych narzędzi. Podbitki na Auto-Tune są nawet w kawalku „el ch*po”, jeśli się dobrze wsluchać. Nigdy nie zadeklarowałem się jako artysta używający wyłącznie jednego środka wyrazu czy instrumentu w obrębie konkretnego stylu. Na przestrzeni dwóch następnych płyt też się nie zapowiada, bym zatrzymał się przy jednej stylistyce. W procesie tworzenia po prostu idę za sercem i gdzie mnie poniesie, tam wyląduję.

Jeżeli dobrze się orientuję, to twój młodszy brat ma teraz 14 lat. Czy pracując nad nową muzyką, czujesz się odpowiedzialny za to, co on, ale także inni tak młodzi słuchacze mogą wynieść z twojej twórczości?

– Wychodzę z założenia, że dopóki mój brat nie ma żadnego przypału w związku z tym, co robię, to jest git (*śmiech*). Pracując nad muzyką, nie myślę o innych rzeczach poza nią. Nie uważam, że tworzę treści szkodliwe dla młodzieży, więc nie zajmuje mi to głowy.

A co sądzisz o Maliku Montanie, który kobiety nazywa „żdzirami” i „sukami”, feminizm określił chorobą psychiczną, a swoich fanów niegdyś nakłaniał do internetowego linczu wobec 19-letniej aktywistki, która go publicznie skrytykowała.

– Muzyka to jedno, zachowanie to drugie. Słuchałem Malika od gimnazjum, jak większość moich rówieśników, tak samo jak słucham 2 Live Crew. Piosenek o seksie, i to świetnych, jest na pęczki. Polecam „Just Don’t Bite It” N.W.A. Nie popieram natomiast wszelkich, w moim mniemaniu szkodliwych zachowań, które mogą ranić ludzi w jakiegokolwiek twórczości artystycznej. Zarówno u osób prywatnych, jak i publicznych.

Równoległe z karierą rapera szedłeś w kierunku aktorstwa, które na krótki moment zaprowadziło cię nawet do szkoły aktorskiej. Skąd taki pomysł i czy chcesz dzielić czas między kamerą a mikrofonem?

– Do szkoły aktorskiej w Krakowie chodziłem po wyprowadzce z Bielska. Granie było dla mnie ważne i zaangażowałem się w nie równie mocno, za w hip-hop aż do momentu, gdy stanąłem przed wyborem, w co wejść na 100 procent. Wiadomo, co wy-

brałem, lecz aktorstwo nie jest całkowicie skreślone. Zdarza mi się jeździć na castingi i sporadycznie występować, choćby w trzecim sezonie serialu „Belfer”, który ukaże się w tym roku.

Zalóżmy, że „nowe życie” okaże się ogromnym sukcesem i zadzwonią przedstawiciele, powiedzmy, KFC albo Coca-Coli z bardzo intratnym kontraktem reklamowym. Wziąłbyś?

– Od sześciu lat nie jem mięsa, więc kurczaki i cola odpadają. Czy wziąłbym inny deal reklamowy? Zależy, jaki wleci na stół.

A wierzysz jeszcze w zmianę, w swoje manifesty?

– „Manifest” był dla mnie lustrem rzeczywistości sprzed dwóch lat. Oprócz komentarza są tam moje wyobrażenia i obawy o przyszłość w Polsce i na świecie. Wierzę, że ratowanie świata trzeba zacząć od siebie, i tym byłem zajęty przez ostatni czas. Okres powstawania albumu „nowe życie” był dla mnie trudny z wielu powodów. To, o czym rapowałem na „Manifestcie”, w moim mniemaniu wyłącznie się pogorszyło. Ludzie świetnie się bawią i wszędzie widzę „The End of the World Party” [impreza końca świata].

Moim zdaniem na ten moment nie zanosi się na to, aby cokolwiek uległo polepszeniu w sprawach społecznych. Czuję, że wisi nad nami jakaś kurtyna, a po obu jej stronach stoją ludzie, którzy dawno przestali się komunikować. Jesteśmy coraz głębiej w dupie, od muru w Białowieży po wojnę, inflację, papieża i milion innych rzeczy. Ta świadomość mnie nie opuszcza, choć przeżywam aktualnie najlepsze chwile swojego życia. ●

*ASTHMA (Mateusz Wardyński)

• raper młodego pokolenia pochodzący z Bielska-Białej. Zdobywca nagrody Lech Polish Hip-Hop Music Awards w kategorii odkrycie roku oraz 1. miejsca w zestawieniu Same Sztosy 2020! Radia Kampus. Jego debiutancka płyta „Manifest” spotkała się z powszechnym uznaniem zarówno krytyków, jak i publiczności. Druga płyta pt. „nowe życie” ukazała się 19 maja

wyborcza | magazyn wyborezej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiecezorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFYCY: Dariusz Filipek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski
FOTODYDZIA: Sylwia Tukendorf

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Opozycjo, docień organizacje społeczne

WYBRALIŚMY,
WIĘC SIĘ WTRĄCAMY

Im więcej ludzi myślących tylko, jak przeżyć z dnia na dzień, tym lepiej dla PiS.

Bartłomiej Nowotarski

Powiedzieć, że październikowe wybory parlamentarne będą najważniejsze od 1989 r., to nic nie powiedzieć. Lepiej je nazwać wyborami stulecia, nie tego, które minęło, lecz tego, które trwa – XXI wieku. Zdecydują bowiem o rozwoju Polski.

Nie my pierwsi stajemy przed takim wyzwaniem. Słowacy w 1998 r. odesłali do historii rządy autokraty Meciar, ponieważ swoją nacjonalistyczno-ksenofobiczną polityką blokował im drogę do Unii Europejskiej. W dwa lata później uczynili to samo Serbowie z rządami Miloševicia, sprawcy czystek etnicznych. W tym samym czasie w Chorwacji demokratyczna opozycja i organizacje społeczne utworzyły koalicję przeciwko nacjonalistycznemu autokraty Tudžmanowi, który zaczął wtrącać do życia państwa przeszkody na drodze cywilizacyjnego rozwoju.

Istnieją trzy nieodzowne motory społecznego rozwoju. Po pierwsze, potencjał każdego człowieka – kapitał indywidualny. Po drugie, potencjał współpracy z innymi – kapitał społeczny. Po trzecie, służące obu tym potencjałom instytucje włączające, a nie dyskryminujące.

Jeszcze w latach 90. Polki i Polacy dobrze zainwestowali w swój kapitał indywidualny. Posłali dzieci do szkół i na uniwersytety. Populacja studentów wzrosła z 400 tys. do ponad 2 mln; aż 65 proc. zaczęły stanowić kobiety. Założyli ok. 1 mln małych i średnich biznesów. Gorzej poszło kreowanie kapitału społecznego z powodu wyjątkowo niskiego zaufania do obcych (21 proc.), w tym do partnerów w biznesie (ufa im zaledwie 35 proc.). Polska gospodarka traci na tym rocznie blisko 300 mld zł (badania Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu oraz Eurobarometru).

A zatem wyzwaniem dla polskiego społeczeństwa na najbliższą dekadę jest budowa kapitału społecznego. Rządy PiS mogą nam tę szansę na lata odebrać. Tracić będą wszyscy, którzy zainwestowali w kapitał indywidualny: wykształcenie, zdrowie itp., czyli co najmniej dwa pokolenia rodaków. Dlaczego? Ponieważ do rozwoju społeczno-gospodarczego nieodzowne są instytucje włączające, emancypacyjne, a nie dzie-

jące, dyskryminujące lub skorumpowane, w efekcie eksploatujące część społeczeństwa. Instytucje, do których bezstronności i profesjonalizmu ludzie mają podstawowe zaufanie.

W koncepcji państwa PiS – utrzymania władzy jak najdłużej – takich instytucji być nie może, albowiem ludzie mający kapitał społeczny, czyli rozwinięta klasa średnia, nie będą głosować na prawicowo-populistyczny autokratyzm. Tylko Polacy tkwiący w społecznej pułapce niedorozwoju, słabo wyedukowani, wystraszeni i permanentnie na siebie napuszczani będą poszukiwać patrona obiecującego im złudne poczucie bezpieczeństwa kosztem praw i wolności.

PiS wie, że świat Zachodu wkroczył znów, po dziesiątkach lat, w epokę niepewności i wojny w Europie. Stara się te okoliczności wykorzystać. Jest wiele – jak mówi premier Morawiecki – „politycznego złota”. Nie trzeba już mocno straszyć „zazerkami uchodźców”, LGBT, migrantami na granicy z Białorusią, bo ogólnie czasy są niepewne. Polaków gnębi drożyzna, a inflacja, z której ona wynika, jest „złotem” miliardowych dochodów rządu przeznaczonych na pozabudżetowe fundusze zaspokajające pazerność partii Kaczyńskiego, Ziobry czy Bielana. Naukowcy pracujący nad zjawiskiem strukturalnego niedorozwoju usług publicznych w krajach rządzonych przez podobny do PiS populistyczny autokratyzm (przebadano 56 krajów) udokumentowali, że taka wyrachowana polityka sprawia, że subiektywnie więcej znaczą dla ludzi transfery typu 500 plus czy trzynaste emerytury niż publiczne inwestycje w zdrowie czy edukację.

Każda władza czerpie legitymizację z ekonomicznej pomyślności kraju oraz z wiarygodności i bezstronności państwowych instytucji. Jeśli pierwszego nie może, a drugiego nie chce, pozostaje jej zepchnąć społeczeństwo do stanu, w którym ludzie obiorą strategię przetrwania podobną do realsocjalizmu lat 70. czy 80. („Alternatywy 4”), a zatem żadnej presji na władzę ani na instytucjonalne zmiany wywierać nie będą.

Od 2020 r. Polska spada najszybciej na świecie w rankingach jakości demokracji i stoimy na granicy autokracji wyborczych. Nie tylko zostały już unicestwione instytucje egzekwujące odpowiedzialność władzy pomiędzy wyborami, ale także same wybory nie trzymają standardu „równego pola gry” między rządzącymi a opozycją – nie są uczciwe. W tym spadku wyprzedziliśmy już Węgry, Brazylię i Turcję.

Pierwszą lokatę za rok 2022 zajmą zapewne Węgry – z powodu wyborów parlamentarnych oszukańczo przeprowadzonych przez ekipę Orbána i rządzącą partię Fidesz. Na fałszowaniu głosów w urnach nikogo za rękę nie złapano. Za to Fidesz rozwinął tzw. turystykę wyborczą: ponad 150 tys. wyborców Orbána wożono autobusami do komisji wyborczych wszędzie tam, gdzie należało wygrać (bo każdy mógł się rejestrować, gdzie chciał). Orbán urządził też gerrymandering, co doprowadziło do aż 30-procentowych różnic w wielkości okręgów wyborczych, tak że więcej mandatów było do zdobycia tam, gdzie Fidesz był słabszy, a mniej – gdzie silniejszy.

W Polsce niszczenie instytucji przeznaczonych do kontrolowania władzy widać jak na dłoni: podzieleni na partię Kaczyńskiego i Ziobry partyjni sędziowie Trybunału Konstytucyjnego ugrzęźli w niemocy i beczynności nawet względem układu rządzącego, partyjna Krajowa Rada Sądownictwa wykluczona została z międzynarodowych struktur, zaczął się proceder „awansu za wyrok” – a to tylko najbardziej spektakularne przykłady zdewastowania państwa przez PiS.

Jednak żadne państwo nie pojedzie bez zaufania obywateli do bezstronności i profesjonalizmu jego instytucji. Jeszcze w latach 2010-12 aż 60 proc. polskich obywateli uważało sądy za bezstronne. Dziś (wg Eurobarometru) ufa w to zaledwie 24 proc. rodaków, a spośród biznesmenów tylko 18 proc.

To istny dramat, ponieważ – jak pokazują światowe badania – to w właśnie w sądach, a ogólnie w instytucjach odpowiedzialnych za sprawiedliwość, obywatele upatrują ostatecznego obrońcę przed krzywdą i nieuczciwością. A bez zaufania do bezstronności państwa nie ma kapitału społecznego.

Wybory w demokracji są w niektórych okresach dla rozwoju społeczeństw kluczowe. Ale demokracja to przede wszystkim styl życia i sposób na życie. Ma być alternatywą dla przemocy i dominacji jednych nad drugimi. Jak wyraził się Abraham Lincoln: „Demokracja to alternatywa dla gwałtu, a nie wojna”.

Srodowisko partii PiS nie odnalazło się w demokratycznej kulturze. Według Raportu V-Dem z 2022 r. w Polsce toksyczna polaryzacja społeczna (gdzie adwersarzy uznaje się za wrogów) osiąga już stopień toksycznej polaryzacji politycznej. Od 2010 r. obie polaryzacje wzrosły aż o 30 proc. Bardziej rosły tylko w Turcji i Brazylii (45-50 proc.). Obie nie wzięły się jednak z przyczyn społecznych. Najgorsze, że były i są strategią PiS, która odziera „swoich” od „wrogów”. Nienawistna retoryka (wzrost w Polsce o 40 proc.)

oraz urzędowa dezinformacja i kłamstwa (wzrost aż o 60 proc.) tym polaryzacji służy. A to z kolei ma wspierać zabójczą dla społeczeństwa politykę zero konsultacji i zero tolerancji dla innych poglądów niż nasze. Z powodu wyjątkowo negatywnego nastawienia obecnej władzy do innych racji spadliśmy w kategorii tolerancji z 33. na 126. miejsce w świecie.

PiS zastawia na społeczeństwo pułapki cywilizacyjne. Pierwszą z nich społeczni ewolucjoniści określają jako „ewolucyjny regres”. Dzieje się tak, kiedy władza schlebia przede wszystkim (bo liczy na ich głosy) najbiedniejszej, najgorzej wyedukowanej, stąd pokrzywdzonej przez los części społeczeństwa.

Władza nie myśli o instytucjach, które pozwolą się jej wydobyc z zapaści, lecz utwierdza ją w poczuciu krzywdy. Nie tworzy, a wręcz rujnuje dobrej jakości usługi publiczne (zdrowie, edukacja itd.) z dwóch zasadniczych powodów: po pierwsze, z uniwersalnych instytucji welfare state korzystałoby tak-

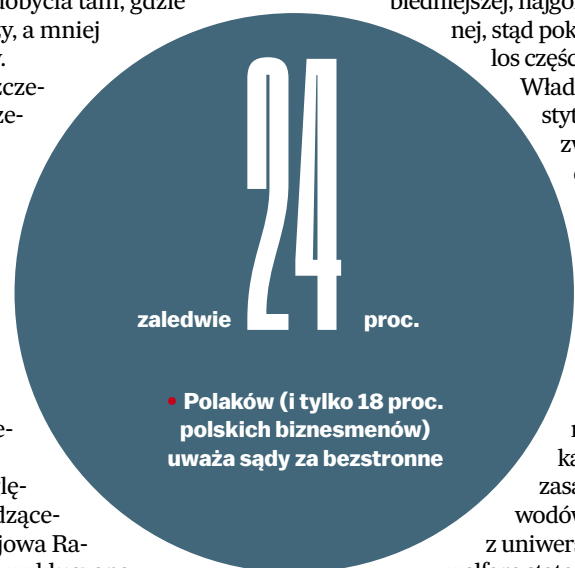
że krytycy władzy (dla autokratów to czyste marnotrawstwo), po drugie, kupowanie wyborców transferami społecznymi stałoby się mniej efektywne.

Wskutek takiej polityki dziś jesteśmy jednym z najbardziej schorowanych społeczeństw Europy, a także mamy jeden z najwyższych wskaźników postcovidowych nadmiarowych śmierci: w 2021 r. ich liczba przekroczyła o 154 tys. średnie zgony z ostatnich 50 lat, co plasuje nas w Europie na 3. miejscu od końca. Obecni studenci skarżą się, że w szkołach średnich po 2015 r. nie można było nawet na lekcji WOS porozmawiać o polityce z powodu strachu nauczycieli przed kuratorami.

Wyborcy w dobrze funkcjonujących demokracjach nie odpłacają się rządowi głosami za różne podarki, ponieważ słusznie oczekują, że natura demokracji sprawi, iż jakiś rząd ich w końcu zauważy. Z kolei naturą rządów takich jak PiS jest kupowanie sobie poparcia w sposób celowany, co współczesna nauka ekonomii politycznej nazywa elegancko kooptacją. Trzeba kooptować tylko takie poparcie, jakie potrzebne jest do wygrania wyborów.

W Polsce realizuje się znane od 1927 r. zjawisko „zdrady klerków”, zawsze grawitujących wokół autokratycznej władzy. Ten typ reżimu przyciąga mnóstwo szumowin, które – zobowiązane kulturowo swoje zawodowe etyki – tworzą razem z władzą moralny chlew. Zjawisko dotyczy głównie ludzi uznanych zawodowo i profesyjnie (nauczycieli, prawników, dziennikarzy, lekarzy itp.). Lekarze i prawnicy niemieccy często opowiadali się za Hitlerem, ponieważ widzieli szansę na przejęcie klientów po żydowskich kolegach.

Oprócz elit trzeba też kooptować selektorat, czyli środowiska wyborców skłonne



do kooptacji. Za taką eksploatację muszą jednak zapłacić ci po drugiej stronie spolaryzowanego społeczeństwa. Wszyscy cierpią drożyznę, ale miliardowe dochody państwa ze świadomie tolerowanej inflacji idą np. na „wilę plus” ministra Czarnka. Wszyscy płacimy podatki, lecz podarki z nich dostaje tylko część społeczeństwa. Lasy państwowe są skarbem całego narodu, jednak wtedy, gdy stoją, a nie stają się głównie surowcem, na którym mogą zarobić „swoi”. To samo z okradanym Funduszem Sprawiedliwości (dla ofiar przestępstw) czy Funduszem Solidarności (dla osób z niepełnosprawnościami).

Są kraje, które tego typu korupcyjne renty ciągną także z eksploatacji znacjonalizowanych złóż ropy (Wenezuela Cháviza i Madury). Podobną politykę nazywa się wyzyskiem przez polaryzację, a jej efekt – społecznie zubożającym, ponieważ nie tylko wyzyskuje się część społeczeństwa, ale także mrozi lub niszczy potencjały gospodarcze i społeczne.

To druga pułapka zastawiona na społeczeństwo – pułapka permanentnego niedorozwoju. A instytucje, które uprawniają takie praktyki, są typowymi instytucjami „wyłączającymi”, z logiką działania bliższą mafii niż demokratycznego państwa, z logiką neapolitańskiej camorry opisaną przez Henry’ego Monnier’a jeszcze w 1863 r., gdzie – jak pisał – dzięki protekcji patrona można było dobrze sprzedać nawet ślepą kłacz, gdyż kupiec bał się ten mankament zauważyć. Rząd PiS wraz ze swoimi mediami sprzedaje takie konie obywatelom codziennie.

Jest też trzecia, chyba najpoważniejsza, pułapka. Władza, która nie radzi sobie z kryzysami gospodarczymi – mimo propagandy sukcesu i stałego rozdawnictwa pieniędzy – ma jeszcze jedną szansę potwierdzenia swojej społecznej legitymacji. To ufność obywateli, że instytucje państwa są w swych procedurach w praktyce bezstronne, autonomiczne i profesjonalne, więc można się do nich odwołać w poszukiwaniu sprawiedliwości. Chodzi nie o instytucje polityczne, lecz o te, które prawo stosują: sądy, prokuraturę, administrację publiczną.

Według badań (European Social Survey 5 i 9 oraz New Europe Barometer) nawet w Skandynawii zaufanie do instytucji politycznych nie przekracza średnio 50 proc. (w Polsce 25 proc.), a do instytucji egzekwujących prawo wynosi średnio ok. 70 proc. (w Polsce mniej niż 40 proc., a przed 2015 r. – 55 proc.). Zaufanie do sądów w państwach nordyckich przebiega próg 70 proc. (w OECD – 55–60 proc.). W Polsce – jak już pisałem – jest na poziomie 24 proc. W Polsce od 2014 r. wg Banku Światowego zaufanie do wszystkich instytucji państwa razem wziętych spadło aż o 15 proc.

Dwie rzeczy są niezwykle interesujące. Po pierwsze, w Europie mały wpływ na zaufanie do państwa ma pogląd obywateli na temat nierówności społecznych, różnica między krytykami a ludźmi usatysfakcjonowanymi stanem zaufania do państwa nie przekracza 5 proc. Natomiast satysfakcja z państwa rośnie aż o 35–40 proc., gdy obywatele uznają instytucje za fair, bezstronne. Po drugie, bezstronne instytucje (głównie sądy i prokuratura) są dla obywateli tak istotne, że skłonni są bardziej znosić różne kryzysy gospodarcze. Obie wartości bowiem kompensują się wzajemnie.

Jednak istotą państwa PiS są instytucje stronnice – pod kontrolą władzy. Zatem w sytuacji kryzysowej, bez dodatkowego zaufania obywateli do bezstronności instytucji, aby dłużej utrzymać władzę, trzeba zepchnąć społeczeństwo do rezerwatu „upośledzonych aspiracji”, do skansenu ludzi myślących tylko o tym, jak przeżyć z dnia na dzień, do skansenu społeczeństwa zamkniętego, paternalistycznego, ksenofobicznego, ze słabym szkolnictwem i ochroną zdrowia. Konieczna jest jakaś „feudalna klatka” dla Polaków, aby prawicowy populizm stale wygrywał wybory. Pojawi się więcej instytucji „wyłączających”, aby nikt nawet nie myślał, nie czuł interesu w presji na rządzących na progresywne zmiany. Na długo utracimy szansę na kapitał społeczny Polak i Polaków.

Przez wiele ostatnich lat naukowcy próbowali uporządkować wiedzę o erozji demokracji w świecie. Schemat jest podobny: atak – za pomocą „strategii salami” – na wszystkie instytucje egzekwujące odpowiedzialność i kontrolujące władzę, aby zapewnić bezkarność za łamanie konstytucji i korupcję. Po objęciu władzy autokracja obala reduty obrony demokracji, zaczynając albo od niezależnych sądów (w tym konstytucyjnych), albo od organizacji społeczeństwa obywatelskiego dostarczających obywatelom niezbędnych do wyborczych decyzji informacji (media, NGO-sy). Od dwóch jednak lat naukowcy zaczęli koncentrować się bardziej na siłach witalnych obrony demokracji, checks and balances, autonomicznej administracji publicznej czy redukcji obywatelskiej. Dwa wnioski są podstawowe: po pierwsze, demokracje muszą nauczyć się blokować siły antysystemowe w ich marszu po władzę (łatwo je rozpoznać np. po agresywnym i nietolerancyjnym języku). Po drugie, założyciele poszczególnych redut muszą przybywać sobie z odsieczą.

Koreańczycy z Południa obronili w 2017 r. demokrację, gdy do masowego protestu („marsz świec”) dołączyli parlamentarzyści z oskarżeniem prezydent Park Geun-hye o nadużycia władzy i korupcję,

a sąd konstytucyjny wydał wyrok skazujący. W zeszłym roku zrobili podobnie Czechy, kładąc kres populistycznym rządóm oligarchy Babiša. Od 2017 r. zaczęły współgrać założony na Facebooku Ruch Miliona dla Demokracji, polityczna opozycja, sąd praski (uznał covidowy stan wyjątkowy za ograniczenie praw obywatelskich niezgodne z konstytucją), a dziennikarze tropili przekręty na masękach. W Polsce nadal mamy nieskolonizowane przez PiS media, patrzące władzy na ręce organizacje społeczeństwa obywatelskiego, niezależnych i odważnych sędziów, Senat i dość autonomiczne samorządy. Prosi się o większą koordynację, przynajmniej wzorem Słowacji

(OSO). W Senegal OSO zapraszały polityków na wspólne śniadania, w Serbii pomogły w wyborze Vojislava Koštunicy na lidera kampanii (późniejszego prezydenta), na Słowacji zinstytucjonalizowano współpracę polityków i OSO w formie komitetu sterującego oraz stałego „okrągłego stołu” demokratów.

Chodziło tam o przywracającą demokrację koalicję strategiczną, a nie detaliczno-programową. Przyszłość demokratycznych krajów nie należy tylko do polityków. Nad Polską nie może dalej ciążyć wyłącznie wersja liberalnej demokracji jako jedynie reprezentatywnej, gdzie politycy mówią: wybraliście nas, to się teraz nie wtrącajcie. Przez ostatnie 30 lat nie było prawdziwego zrozumienia roli społeczeństwa obywatelskiego w budowaniu demokracji dobrej jakości. Nie wiedząc, „z czym to się je”, polityka tolerowała OSO głównie jako zleceniobiorców publicznych usług. W efekcie organizacje politycznie zaangażowane stopniały do 5 proc. populacji OSO.

W Wielkiej Brytanii w 1998 r. ustalono zasady partnerskiej współpracy we współzarządzaniu krajem w tzw. English Compact. W Szwecji, Norwegii, Danii uczy-

Wciąż mamy nieskolonizowane przez PiS media, patrzące władzy na ręce organizacje społeczeństwa obywatelskiego, odważnych sędziów, Senat i samorządy lokalne.

To aż się prosi o większą koordynację

cji z lat 1997–98 w formie „okrągłego stołu” demokratów. Tak czy owak, w rankingach naukowców dwa pierwsze miejsca w obronie demokracji przypadły sędziom i samorządom terytorialnym.

Pisząc o koalicji demokratów, nie mam jedynie na myśli jednej listy w wyborach. Oczywiście ona jest ważna; na takiej liście każdy będzie mógł odnaleźć kandydata swojej partii i na niego właśnie zagłosować, przysparzając punktów całości. Sceptycy przywołują Węgry i porażkę zjednoczonej opozycji w zeszłorocznych wyborach, ale tego przykładu nie należy nadużywać, bo tam koalicja demokratów toczyła kampanię w warunkach przypominających Rosję Putina. Lider opozycji Márki-Zay dostał na wystąpienie w tzw. publicznej telewizji zaledwie pięć minut, i to w środę rano, natomiast Orbán przemawiał tam godzinami i codziennie. Poza tym koalicja demokratów przegrała, ponieważ przyjął skrajnie prawicową, nacjonalistyczną partię Jobbik, którą Orbán później rozbił, przejmując jej antysemickie i wrogie ludziom LGBT hasła, co przeciągnęło jej wyborców do silniejszej partii rządzącej. Lecz w Serbii przeciwko Miloševićowi w 2000 r. w przedwyborczej koalicji udało się zjednoczyć 18 partiom. W Senegal w 2000 r. – aż 19. Na Słowacji siedem partii zawarło pakt przeciwko Mečiarowi.

Wszędzie tam porozumienia trwały jednak dzięki współpracy polityków z organizacjami społeczeństwa obywatelskiego

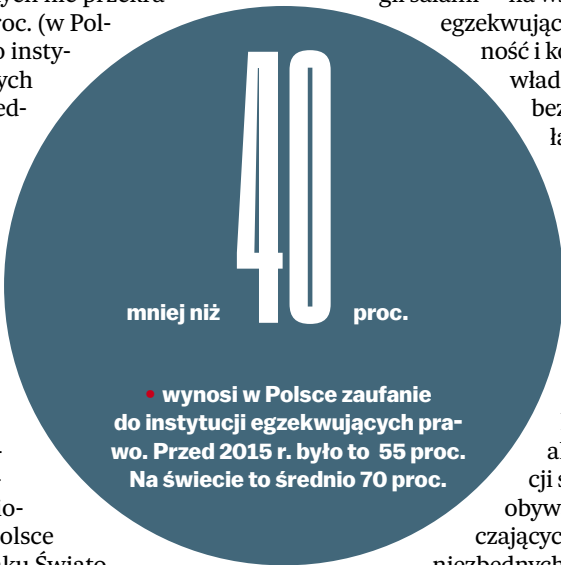
niono podobnie na początku XXI wieku. W Polsce przychodzi zatem także najwyższy czas na partnerskie współzarządzanie krajem. Najlepiej będzie zacząć współpracę jeszcze przed wyborami. Abyśmy już, gdy przyjdzie wybierać, poculi powiew demokracji lepszej jakości niż dotychczas. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Bartłomiej Nowotarski

• prawnik konstytucjonalista, politolog, prof. Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu, specjalizuje się w kryzysach demokracji. Uczestniczył w transformacjach demokratycznych Polski, Tunezji i Egiptu



Mężczyźni z małych wiosek nie mogli nigdzie uciec.
Niczym w czasach stalinowskich zostali wyciągnięci na front

Grzegorz Przebinda



NIEZNOŚNY LOS BURIATY

Jonathan Littell latem ubiegłego roku opublikował w wolnej rosyjskiej Meduzie reportaż z Buczy. Uderzyła mnie w jego tekście, co podejrzewałem po ujawnieniu zbrodni w Buczy, „klasowa nienawiść” leżąca u jej podłoża. Takie dzisiejsze neoleniowskie „kradnij nakradzione”, będące kalką marksistowskiej „ekspropriacji ekspropriatorów”. Z uzupełnieniem, że ta arcyzbrodnicza nienawiść najeźdźców do stosunkowo zamożnych, zasiedlających letniskową Buczę Ukraińców przejawiała się ze strony ludzi głównie z głębokiej Azji, których sami napadnięci określali często jako „Buriatów”.

Pisze Littell tak: „Próby wyjaśnienia tej masakry w Buczy prowadzą do jednostki wyróżnionej po wycofaniu się spod Kijowa osobiście przez Władimira Putina – 64. Samodzielnej Brygady Strzelców Zmotoryzowanych. Jednostka ma siedzibę w okolicach Chabarowska i jest w dużej mierze obsadzona przez najbiedniejsze warstwy tego rozległego regionu: etnicznych Rosjan

i różne syberyjskie mniejszości spokrewnione z Mongołami; tych, których miejscowi ogólnie nazywają »Buriatami«. To jednak nie etniczność, lecz przynależność społeczna odgrywa tu rolę: oprócz zwykłej ideologicznej nienawiści do tzw. ukraińskich nazistów okupanci obwodu kijowskiego stali się tak okrutnie zahartowani za sprawą resentymentu klasowego”.

Buriaci owi pojawili się w Ukrainie rzeczywiście jeszcze w marcu 2015 r., początkowo w liczbie sześciuset, przybywając tam pociągiem wojskowym do obwodu donieckiego, gdzie rok wcześniej doszło do jednej z najkrwawszych bitew w Donbasie. I już tej wiosny 2015 r. zaczęto ironicznie mówić w Ukrainie o „donbaskich górnikach z twarzami Buriatów”. Do dziś przetrwał w sieci jeszcze bardziej prześmiewczy, a potem złowrogi termin „bojowi Buriaci Putina”. Po 24 lutego Buriaci owi zaczęli się wyprawiać na wojnę jako żołnierze kontraktowi niczym na krwawe saksy, dokonując na czasowo zajętych terenach potwornych zbrodni i grabieży, śląc

też masowo – a było ich wtedy w Ukrainie około 5 tys. – do swej małej, wynędzniałej ojczyzny, położonej na peryferiach świata, elektryczne czajniki, pralki i wszelkie inne, niewidziane dotąd na ich oczu dobra.

Ale niedługo w ślad za tymi ładunkami AGD zaczęły przybywać do Buriacji także i cynkowe trumny – ów osławiony „Ładunek 200”. Po pięciu miesiącach wojny Buriacja zajmowała drugie po Dagestanie miejsce podług liczby zabitych, w sumie było to 300 osób, jak na małą republikę liczba naprawdę znacząca.

Ale jednocześnie to Republika Buriacja i Kraj Zabajkalski wysunęły się na czoło regionów Federacji Rosyjskiej, gdy chodzi o liczbę „otkazników”, czyli tych, którzy odmawiali pójścia na putiński front. Jeszcze w pierwszej połowie lipca 2022 r. ponad pół tysiąca żołnierzy z Buriacji odstąpiło od udziału w zbrodniczej wojnie, rozwiązało – mimo olbrzymich trudności stawianych im przez oficerską biurokrację na froncie – kontrakty z wojskiem, a wielu z nich wróciło cało i zdrowo

do domu. Informowała o tym Aleksandra Garmażapowa, szefowa antyreżimowej fundacji Wolna Buriacja.

Przestrzegam więc tutaj wszystkich, aby nawet w obliczu zbrodni tak niewyobrażalnych jak owa w Buczy nie obwiniać o nią całego narodu Buriatów, chociaż w tej kwestii naopowiadał niedorzeczności nie kto inny jak papież Franciszek I jeszcze jesienią ubiegłego roku, w rozmowie z jezuitami z czasopisma „America Magazine”. Konstatując tam najpierw sprawiedliwie, „że to państwo rosyjskie jest najeźdźcą, a Ukraińcy męczennikami”, sformułował swoim zwyczajem przy okazji tezę w zamierzeniu powszechną, że „najbardziej okrutne oddziały, choć pochodzą z Rosji, nie są złożone z ludzi z rosyjskiej tradycji, ale z Czeczenów i Buriatów”. Kajać się musiał potem za to cały oficjalny Watykan, a przeciwko pierwszemu sprawiedliwemu osądowi zaprotestowała z kolei putińska Rosja.

• **Ukraińscy jeńcy wojenni usuwają gruzy z uszkodzonego budynku w Hłowajsku na wschodzie Ukrainy** FOT. DMITRY LOVETSKY/AP

Ja sam z Buriacją we wschodniej Syberii za Bajkałem, ze stolicą w Ułan Ude, mam skojarzenia osobiste, mimo że kraju tego nigdy w życiu nie widziałem i za Putina na pewno oglądał nie będę. Ale zetknąłem się, choćby pośrednio z religią i kulturą Buriatów, a także z ludźmi stamtąd chłodną, jak pamiętam, wiosną 2004 r., gdy Adam Michnik zaprosił mnie w szerokim gronie na wyjazd do Petersburga na sesję dyskusyjną polsko-rosyjską. Odbывała się w duchu kolejnego „polsko-rosyjskiego porozumienia”, lecz jeśli służby młodoputiniowskie nagrały ją i przechowały, to zachował się tam na pewno dowód, że w swoim niedługim wystąpieniu wspomniałem także i o potrzebie zapraszania na podobne zjazdy naszych sąsiadów Ukraińców. Gospodarze zbyli to grzecznym, dyplomatycznym milczeniem, acz przyjmowano nas nader gościnnie – pamiętam, że nawet przebogaty, olśniewający swym przepychem Ermitaż zwiedzaliśmy w towarzystwie przewodnika już bardzo późnym wieczorem, a właściwie nocą. Specjalnie bowiem otwarto go na użytek „kolegów z Polski”, abyśmy mogli podziwiać malarstwo i wnętrza bez zbędnego tłoczenia się w międzynarodowej ciżbie, w godzinach publicznego funkcjonowania tego światowego muzeum.

Gdy już wszyscy powyjeżdżali, sam zostałem nad Nową przez parę owocnych dla mnie dni, a po powrocie napisałem esej o buddyjskich Kalmukach, Tuwińcach i właśnie Buriatach w Petersburgu. Mają tam swoją świątynię buddyjską, do której jedzie się z centrum metrem do stacji Staraja Dieriewnia, położonej już nieomal nad Zatoką Fińską. Ów buddyjski dacean stoi na skrzyżowaniu Prospektu Primorskiego z Aleją pod Lipami, fasadą zwrócony ku Wielkiej Newce, jednej z odnóg delty rzeki Newy. Pierwsza buddyjska kolonia w Petersburgu powstała już na początku XX w. A po manifestacji Mikołaja II z 1905 r., gwarantującym wolność sumienia i wyznania, buddyści mogli wreszcie wybudować nad Nową upragnioną świątynię. Inicjatorem był ówczesny dałajlama Tybetu, który w Sankt Petersburgu uzyskał pomoc wybitnych tybetologów, m.in. sławnego malarza Nikołaja Rericha, i tak w 1913 r. buddyjski dacean Gunzeczowej otwarł dla wiernych swe podwoje. W połowie lat 30. zaczęły się jednak w stalinowskim ZSRR aresztowania buddystów. Chruszczow też ich nie rozpieszczal ani przychodzący po nim Breżniew. Dopiero dzięki ustawie Gorbaczowa o wolności sumienia odzyskali oni w latach 90. swój petersburski dacean.

W 2004 r. młoda buddystka z Kalmucji objaśniała mi istotę swojej modlitwy: „Robię to, by wszyscy ludzie żyli w harmonii”.

A w podziemiach tej gościnnej świątyni Buriaci prowadzili wtedy jadłodajnię, częstowali zieloną herbatą z mlekiem, za ówczesne cztery ruble. Można ją było wypić w towarzystwie mnichów w bordowych habitach, przy dźwiękach muzyki z Tybetu.

Istnieją i dziś Buriaci, którzy ostro widzą już teraz, po „częściowej mobilizacji” z 21 września, egzystencjalne zagrożenie dla swego półmilionowego narodu. Przytoczę tu wstrząsający raport z 3 listopada 2022 r. autorstwa Igora Isajewa – „Ukraińca w Polsce”, jak się sam przedstawia: „Mój naród jest wysyłany na rzeź w Ukrainie – pisze mieszkająca w Europie Buriatka – dla zaledwie półmilionowego ludu zamieszkującego okolice Bajkału łapanka na wojnę to »czystka etniczna«. Dziś Buriaci wspominają żyjącego 100 lat temu jasnowidza Barnaszcze, który przewidywał rewolucję, kolektywizację, żelazne ptaki na niebie... i ucieczkę Buriatów do Mongolii. Noc z 21 na 22 września to w Buriacji odpowiednik francuskiej nocy św. Bartłomieja [rzeź katolików na francuskich ewangelikach]. Po przemówieniu Putina władze w jedną noc wcieliły do wojska pięć tysięcy mężczyzn – przeważnie z rejonów zamieszkałych przez rdzennych mieszkańców. W jednej z wsi zabrano wszystkich mężczyzn.

Umieralność wśród młodych chłopców z republiki w ostatnich miesiącach wzrosła o 93 proc. (w Petersburgu o 3 proc., a w Moskwie o 0 proc.). Buriacja zajmuje drugie miejsce wśród rosyjskich regionów pod względem liczby zabitych, ustępując pod tym względem tylko Dagestanowi. Z ogólnodostępnych źródeł wiadomo, że na wojnie w Ukrainie zginęło dotąd 336 osób z Buriacji (stan na koniec października). Tymczasem z położonego obok obwodu irkuckiego, gdzie mieszka ponad dwukrotnie więcej ludzi, pochodzi 78 zidentyfikowanych zabitych. W przeciwieństwie do wielkich miast mężczyźni z małych wiosek nie mogli nigdzie uciec. Niczym w czasach stalinowskich w środku nocy przyszli po nich mundurowi, wyciągnęli z łóżek i zabrali płaczącym żonom”.

Dobrze, iż nie zapomina o nich mieszkający w Polsce Ukrainiec Igor Isajew – byłoby równie dobrze, gdybyśmy sami także o tych Buriatach pamiętali i nie piętnowali ich „grzechem pierworodnym” już za samo pochodzenie. Tyle że niestety to straszliwe piętno wypala na ciele i duszy swego niedużego narodu nie kto inny jak sam zwierzchnik buddystów Rosji i Buriacji Damba Ajuszczejew, który jako jeden z pierwszych poparł zbrodniczą „specjal-

ną operację wojskową”, mówiąc, że Rosja „powinna mieć teraz mocne i godne zaufania zaplecze budowane z pomocą Sachiusanów, to jest buddyjskich bóstw”. I konkludował z emfazą: „Z nami są wielcy Chambo Lamowie i z nami jest Budda”. A niebawem pochwalił się nawet na swoim FB zdjęciem z bratankiem, który stracił właśnie na ukraińskiej wojnie jedno oko... Trudno mi się powstrzymać od uwagi, że sam zwierzchnik buddystów Rosji i Buriacji stracił już bez wątpienia oczu dwoje.

Opłakując z kolei wszystkie ukraińskie dzieci zabite pod bombami Putina, ufając nadto gorąco w powrót do rodzin czy w ogóle do Ukrainy tych kilkunastu tysięcy dzieciaków, które zostały wywiezione do Rosji, a tam – często przymocą „usynawiane” i rasyfikowane w du-

ż napisem „Sława Ukrainie!”, a na wschodzie – rosyjską, biało-niebiesko-czerwoną z inskrypcją: „Niet Putinu i niet wojnie!”. I jeszcze całkiem na zachodzie, już poza zasięgiem owego słońca w zenicie, taki napis: „Sława Ukrainie! Gierojam sława!”.

W taki sposób pojętna dziewczynka wypełniła polecenie nauczycielki, aby „wykonać rysunek dla poparcia naszych żołnierzy”. Tyle że pani dyrektorka po nauczycielskim donosie – ku wieczystej, niechby i pośmiertnej hańbie owych „pedagogiń”! – doniosła na biedną Maszę policji. Po długich perypetiach dziewczynka została odebrana ojcu i umieszczona w jakimś „domu opieki dla nieletnich”. Jej ojciec Aleksiej Moskalow, który wychowywał córkę sam, zarabiał dotąd na życie hodowlą ptaków ozdobnych. Po tym jak Masza wykonała ów rysunek, służby odszukały na fo-

bie aresztanką bransoletkę, po czym zniknął z oczu służb dosłownie w przeddzień wyroku. Kibicowałem gorąco, ażeby mu ta śmiała ucieczka z Rosji – z pomocą ludzką, a i Bożą – się powiodła i aby zjawiała się wkrótce przy nim, już w wolnym świecie, dzielna Masza. Niestety, już nazajutrz zatrzymali Moskalowa w białoruskim Mińsku – w mieszkaniu, gdzie się ukrywał przed ostateczną ucieczką na Zachód – zdradziło go nieopatrzne włączenie komórki.

Tymczasem Maszę odwiedził w miejscu uwięzienia, jeszcze przed procesem, adwokat ojca, przez którego przekazała najbliższemu rysunki z pieskiem i królikami oraz liścik z przejmującymi akapitami i kończący się takim ściskającym serce wyznaniem:

„Bardzo cię kocham, dziękuję ci za wszystko, co dla mnie robisz. Gdy Tobie jest źle albo się martwisz, to ja też choruję i jest mi źle. Wierzę, że wszystko będzie dobrze i jeszcze będziemy ze sobą razem. (...) Dumna jestem. Tak, tato, mogę powiedzieć, że jestem dumna ze swojego ojca. Pełnego dumy, mądrego, upartego, który tak mocno kocha swoją córkę. I love you, jesteś moim bohaterem”.

Nie wszyscy, jak widać, Buriaci i nie wszyscy, jak widać, Rosjanie podlegać będą po tej wojnie ze wszechmiar koniecznej deputinizacji. Mnie samemu stale dźwięczy w głowie uniwersalna maksyma Apostoła Pawła: „Nie ma Żyda ani Greka, nie ma niewolnika ani wolnego...” (Ga 3:28). Nie ma i winy, nie ma i odpowiedzialności totalnie zbiorowej... W biblijnej Sodomie i Gomorze był jak wiadomo jeden tylko sprawiedliwy mąż – Lot. I dlatego oba miasta zostały unicestwione. Na próżno błagał Abraham Boga o litość dla Sodomy, bo nie znalazło się w niej tak pilnie poszukiwanych przez patriarchę owej garstki dziesięciu sprawiedliwych.

Tyle że dzisiaj wśród zbrodniczych „stu kontrprzykładów” ze strony najeźdźców – o których pisze Ola Hnatiuk w swej gorącej polemice z Adamem Michnikiem i o. Ludwikiem Wiśniewskim na temat katów i ofiar na tej wojnie – można jednak odnaleźć w gronie Rosjan, Buriatów i przemilczanych tutaj tylko z braku miejsca Czechenów znacznie więcej osób aniżeli tylko tamta wymagana przez Jahwe w obliczu Lota dziesiątka sprawiedliwych. ●

Umieralność Buriatów wśród młodych chłopców wzrosła o 93 proc.

Bo stali się mięsem wojennym

chu antyukraińskim – nie zapominajmy i o tych, choć nie tak licznych, dzieciach Rosji, równie potwornie przez ową putinowską horde pokrzywdzonych i poniżonych. Oto głośny ostatnio w całej Europie przypadek Maszy Moskalowej, dwunastoletniej dziewczynki z Jefremowa, 150 km na południe pod Tułą, która na lekcji rysunków w miejscowej szkole wykonała kredką jeszcze w kwietniu 2022 r. antywojenny i głęboko przejmujący proukraiński malunek. Powinien on wejść już na zawsze do historii malarstwa w tej naszej całej XXI-wiecznej Europie od Atlantyku aż po Ural (wolny już w nieodległej, daj Boże, przyszłości). Na rysunku widzimy w centrum dziewczynkę trzymaną za rękę przez młodą mamę w zgrabnym żółto-niebieskim kombiniezonie, która stara się powstrzymać otwartą w kierunku wschodnim lewą dłonią nadlatujące stamtąd dwie rakiet. A z góry przygląda się temu wszystkiemu żółte słońce, które samo widzi już na dole jeszcze dwie flagi – na zachodzie niebiesko-żółtą

rach społecznościowych jej ojca „nieprawyślnie komentarze” i jeszcze dodatkowo karykatury Putina. Najpierw Aleksiej Moskalow zapłacić musiał grzywnę ze swoich niewielkich dochodów ptasznika, a po roku wszczęli przeciw niemu już sprawę kryminalną, umieszczając go wstępnie w areszcie domowym, nadal bez córki. Tymczasem z Maszą, ciągle trzymaną w jakimś państwowym ośrodku, owe dzielne putinowskie służby z FSB przeprowadzały śledcze i pouczające rozmowy.

Pod koniec marca tego roku okazało się podczas procesu, że Aleksiej Moskalow zamieszczał w sieci także posty o mordowaniu niewinnych ludzi w Buczy, o głośnym w swoim czasie bestialskim zabiciu bombą latem 2022 r. ukraińskich jeńców w Jelenowce (Oleniwka) pod Doniekiem, a reżim putinowski określał jawnie jako „terrorystyczny”. Skazali go za „powszechną dyskredytację armii” na dwa lata zwykłej kolonii karnej, ale i w takiej Aleksiej siedzieć nie zamierzał i odpijał so-



Z KRESÓW OCALONE

ZBIÓRKA PAMIĄTEK I OPOWIEŚCI KRESOWYCH

Muzeum Ziemi Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej, oddział Muzeum Narodowego w Lublinie, zwraca się z gorącą prośbą do osób pochodzących z Kresów i ich rodzin o podzielenie się wspomnieniami i pamiątkami z życia na tych terenach.

Akcja ma formę zbiórki prowadzonej stale w pałacu Lubomińskich w Lublinie (plac Litewski 3). W dniach 25–27.05 zapraszamy do terenowego punktu zbiórki w Muzeum Narodowym w Szczecinie

+48 726 022 100

zbiorka@mnwl.pl

www.ocalone.mnwl.pl



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Moc

Jak spółki skarbu państwa „przyczyniają się do promocji agendy, która jest sprzeczna z wartościami, które deklaruje obecnie rządząca prawica”.

Michał Rusinek



Niedawno zakończył się w Poznaniu międzynarodowy kongres Impact. Można na nim było posłuchać Nassima Taleba, Natalie Portman czy Valerie Jarrett, ale też Mateusza Morawieckiego, Janusza Cieszyńskiego czy Adama Niedzielskiego. Wydarzenie miało więc charakter ekumeniczny.

Jednak tylko z pozoru. Za futurystyczną, mieniącą się feerią optymistycznych kolorów powierzchnią kongresowych ekranów trwała bowiem zaciekle walka dobra ze złem. I trzeba było wprawno oka posłanki Anny Marii Siarkowskiej, by ją dostrzec i wydobyć na światło dzienne. Jeszcze przed rozpoczęciem Impaktu alarmowała ona na Twitterze: „Twarzą konferencji została N. Portman. Nie tylko aktorka, ale także proaborcyjna i progejowska aktywistka”. Na ten pelen troski i niepokoju alarm natychmiast zareagował tygodnik „Do Rzeczy”, któremu udzieliła wywiadu. Czytamy w nim: „Uważam, że skandalem jest to, że spółki Skarbu Państwa oraz poszczególne ministerstwa, które objęły patronat nad tą imprezą, współfinansują, bądź żyrują swoim dobrym imieniem wizytę tej pani w Polsce – mówi poseł Suwerennej Polski Anna Maria Siarkowska”. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że redakcja tego periodyku zaciekle broni się przed lewacką modą na feministy. Zaciekle, acz wybiórczo, bo Natalie Portman jednak nie została nazwana aktorem, gdy pada pytanie, czemu Siarkowska skrytykowała udział aktorki w kongresie. Ta odpowiedziała, że ministerstwa i spółki skarbu państwa „przyczyniają się do promocji agendy, która jest sprzeczna z wartościami, które deklaruje obecnie rządząca prawica. Gdyby dziś u władzy była lewica, to wizyta tej pani nie byłaby dla mnie zdziwieniem, jednak w obecnej sytuacji jestem zaskoczona”. Po pierwsze, posłanka Siarkowska już drugi raz unika posłużenia się nazwiskiem Natalie Portman, być może z obawy, że skala nim sobie usta i będzie musiała iść do spowiedzi, używa za to eufemistycznego zaimka, mającego podobną funkcję jak „Sami-Wiecie-Kto” z „sami-wiecie-jakiej” książki. Po drugie, o żadnym ekumenizmie nie może być mowy, bo rządząca obecnie prawica powinna przecież zapraszać prawicowe gwiazdy. Proponowalbyśmy na przykład Stevena Seagala. Mogłby wiele powiedzieć o Rosji, molestowaniu i sztukach walki wręcz.

Siarkowska opatrzyła wprawdzie swój tweet zdjęciem Natalie Portman, na którym ma ona czapkę z odrażającym napisem „Make America Gay Again”, ale to nie „ta pani” jest obiektem ataków posłanki, lecz premier Mateusz Morawiecki, który rok wcześniej na tej samej imprezie fotografował się z Yuvałem Noahem Hararim „głoszącym poglądy, przy których faszyzm to igraszka”. „W ubiegłym roku krytykowałam postawę premiera, w tym roku również to robię. Nie zmieniam zdania” – mówi Siarkowska tak dobitnie, że aż słyszymy skrzypienie podnoszonej przyłbicy.

Może to jednak nie była krytyka, lecz ostrzeżenie dla Mateusza Morawieckiego, że

świadomie lub nieświadomie wspiera progejowską aktywistkę i aborjonistkę? Ba, folowerzi posłanki Siarkowskiej na Twitterze przypomnieli, że także Żydówkę („co z tego, że pochodziła z Polski?”, „nawet nie Amerykanka”, „prawdziwe nazwisko Herszlag”, „słusznego pochodzenia”). Dobrze, że żaden z nich nie zauważył, że jej mąż nosi nazwisko Millepied, czyli w wolnym tłumaczeniu: Stonoga, bo to nazwisko wyjątkowo źle się kojarzy zwolennikom Zbigniewa Ziobry. Jeden z komentatorów napisał gorzko (choć umiarkowanie poprawnie): „Zawsze mi w Star Wars nie pasowała”. I dotknął sedna sprawy. Dotknął go także minister Adam Niedzielski – przemawiający w charakterze supportu przed spotkaniem z Natalie Portman, przy pełnej już sali tych, którzy przyszli zająć miejsca wcześniej – gdy powiedział, że zaraz wystąpi księżniczka Amidala. Przypomnijmy: jest to kluczowa postać kosmicznej sagi George’a Lucasa. Sagi, która tylko z pozoru przedstawia uproszczony, baśniowy, czarno-biały świat, złą i dobrą stronę Mocy. W rzeczywistości jest historią o przetrzaskaniu się demokracji w tyranie. „Demokracje przekształcają się w dyktatury, ale nie na zasadzie przewrotów – mówił Lucas w wywiadzie udzielonym magazynowi „Time” w 2002 r. – Lud żręka się demokracji na rzecz dyktatora”. Dyktator przejmuje władzę w demokratycznych wyborach trochę też dzięki dworskim intrygom. Zdobywa coraz więcej uprawnień, by skuteczniej bronić suwerenności państwa, powoła umacnia swoją władzę, aż staje się autokratą. Brzmi znajomo, prawda?

Dzieje się to wszystko nie tylko na oczach, ale też przy współudziale Amidali: zostaje ona wpłątana w intrygi Palpatine’a, który wykorzystując jej dobrą wolę, zostaje kancle rzem, a w końcu – tyranem, Mrocznym Lordem Sithów. A więc Amidala to postać niewątpliwie szlachetna, ale i tragiczna: nieświadomie przyłożyła bowiem rękę do rozpadu demokracji, o którą walczyła. I dzięki temu jest zarazem postacią prawdziwszą, mniej baśniową, jakby z lepszej literatury wyjętą.

Wygląda na to, że posłanka Siarkowska powierzchownie rozumie „Gwiezdne wojny”, dlatego krytykuje (lub ostrzega) premiera, że mija się na jednej imprezie z kimś, kto jest po – że tak powiem – innej stronie Mocy, kto mógłby zagrozić w pocie czoła budowanemu imperium Zjednoczonej Prawicy, rozsiewając wywrotowe idee, a przede wszystkim, kto nosi czapeczkę z hasłem parodiującym slogan Donalda Trumpa, w którym przymiotnik „great” zastąpiony został nienawidzonym „gay”. Być może to właśnie Siarkowska ustrzegła premiera przed sфотографowaniem się z Natalie Portman, bo byłby to jednak kompromitujący epizod w bohaterskim biogramie Morawieckiego, nie do wycięcia nawet mieczem laserowym. Sфотографował się z nią za to minister Cieszyński, ale on już wielokrotnie wykazał, że nie jest mu straszną żadna kompromitacja.

Tymczasem wystąpienie księżniczki Amidali na Impakcie nie miało ani charakteru wywrotowego ani konformistycznego: nie starała się przeciągnąć nikogo na jasną stronę Mocy, ale też nie sprawiała wrażenia, jakby układała się z ciemną stroną i wzmacniała autorytarne rządy. Wbrew obawom Siarkowskiej nie powiedziała nic ani o LGBT, ani o aborcji; za to mówiła o walce o równość kobiet, o godzeniu pracy aktorki z rolą matki, o produkowaniu filmów i niechęci do muzyki country oraz o ulubionych pisarkach: Virginii Woolf, Elenie Ferrante, Rachel Cusk czy Oldze Tokarczuk. Nie powiedziała też nic o psychiatrii dziecięcej w Polsce, która za sprawą polityki rządu Mateusza Morawieckiego jest dziś w oplakany stan. Przenaczyla jednak cały dochód ze sprzedaży polskiego tłumaczenia swoich „Bajek” dla dzieci – przetłumaczonych przeze mnie i wydanych przez wydawnictwo Znak – właśnie na psychiatrię dziecięcą. Bo zamiast mówić, że jest źle, lepiej zrobić coś dobrego, prawda? Chyba na tym właśnie polega Moc. ●

Jak zasłużyć na dymisję

Bycie beznadziejnym, głupim albo głęboko niemoralnym już nie wystarczy.

Marcin Matczak



Hitler budzi się w środku Berlina, otrzępuje kurz z munduru i próbuje przywołać do siebie nastolatka, który gra obok w piłkę w koszulce z nazwiskiem na plecach. „Hitlerjugend Ronaldo!”, krzyczy, ale nie daje to efektu. Wychodzi więc na główną ulicę i podchodzi do kiosku z gazetami. Na jednej z nich dostrzega datę: rok 2015. Mdlęje.

Tak zaczyna się książka Timura Vermesa „On wrócił”. Adolf jakimś cudem trafia do współczesnego Berlina, potem do telewizji i robi polityczną karierę. Jego tezy są atrakcyjne, o ile nie mówi nic o Żydach.

Ludziom nie przeszkadza, gdy atakuje media („Głuchy spisuje to, co powiedział mu ślepiec, wioskowy głupek to redaguje, a jego koledzy z innych redakcji to kopiuja”). Nie widzą problemu, gdy mówi o czystości rasowej („Niemcy obecnie segregują odpady dokładniej niż rasy”). Nie rażą ich słabe dowcipy („Gdybym wtedy wiedział, jak tanie jest zatrudnianie Polaków, mógłbym przeskoczyć ich kraj”).

Nagle jednak popełnia błąd: ktoś nagrywa go, gdy zdenerwowany wymierza kopniaka natrętnemu psu. To przeraża wszystkich. Ludzie wybaczą rasizm i zamiar ludobójstwa. Ale kopnięcie psa? Ciekawe, do czego ten potwór jest jeszcze zdolny?

Książka Vermesa to kpina ze współczesnego wyborcy, żyjącego emocją, nie racjonalnością. Mnie skojarzyła się z ministrem Błaszczakiem i zaginioną ruską rakieta. Co trzeba zrobić, żeby ludzie w Polsce się oburzyli i zażądali czyjejs dymisji? Bo u nas, jak w prześmiewczej książce, bycie beznadziejnym, głupim albo głęboko niemoralnym już nie wystarczy.

Kopniaka wymierzonego psu nie uważam za występki blady – obecnie jest to, i słusznie, przestępstwo. Co jednak w polskiej polityce byłoby jego odpowiednikiem? I czy jest jakaś różnica między takim kopniakiem a sprowadzeniem zagrożenia dla życia tysięcy ludzi?

Wielkie, ale abstrakcyjne przekręty ostatnich lat nie skończyły się dymisjami: Sasin nie poleciał za wybory kopterowe i 70 milionów, Ziobro za wyrzucenie w błoto miliardów złotych na unijne kary, Czarnek za aferę w NCBiR. Dymisja spotkała Mejsję i Piebiaka. Oczywiście w porządku dziobania byli niżej. Ale obaj byli podejrzewani o rzeczy, z którymi łatwo się utożsamić emocjonalnie (oszukiwanie konkretnych dzieci, zorganizowany hejt wobec konkretnych osób). Marnowanie pieniędzy może wynikać z głupoty, a ją da się wybaczyć, jeśli ktoś się kocha, tak jak elektorat PiS swoich polityków. Bycia emocjonalnym potworem wybaczyć się nie da.

Rakieta, która przeleciała przez pół Polski, na szczęście nikogo konkretnego nie skrzywdziła. To współcześnie ozna-

cza, że jakby nie istniała – nie ma emocjonalnej nici, którą wyborcy PiS mogą się z tą rakieta powiązać. Nie przeraża ich racjonalne „co by było, gdyby?”. To wymaga myślenia zbyt oderwanego od emocji. W jakimś sensie ta rakieta jest dla nich tylko odrobinę mniej abstrakcyjna niż łamanie konstytucji – tak nam się zmienił świat.

Emocje rządzą, a resztę wyjaśnia teoria selektoratu, według której celem autorytarnych polityków nie jest dbałość o dobro wspólne, ale utrzymanie się przy władzy. Jak czytamy w „Poradniku dyktatora” Smitha i Bueno de Mesquity, teoria ta zakłada, że o decyzjach władzy – na przykład o tym, kogo i za co dymisjonować – decyduje relacja rządzących do dwóch grup. Pierwsza, węższa, to „zwycięska koalicja”, ci, którzy ze zwycięstwa wyborczego korzystają, zasiadając w ministerstwach i spółkach skarbu państwa. Druga, szersza, to „selektorat realny”, ci, którzy na zwycięską partię głosowali. Reszta z nas, czyli selektorat nominalny, władzy nie obchodzi.

Decyzja o dymisji w tym uniwersum nie jest nigdy powodowana tym, że ktoś zaszkodził dobru wspólnemu. To dobro jest jak białoruski balon zwiadowczy, poza radarami PiS. Dymisja jest za to uderzeniem w członka „zwycięskiej koalicji”, a więc partyjnej arystokracji. Jedyne, co ją może uzasadnić, to utrata wsparcia ze strony selektoratu realnego. Innymi słowy – nie wyrzucamy swoich, chyba że nasi wyborcy będą chcieli wyrzucić nas, jak my kogoś nie wyrzucimy.

A ci wyborcy nie postrzegają działań Czarńka czy Ziobry jako szkodliwych. Po pierwsze, te działania są zbyt abstrakcyjne, a po drugie, tym wyborcom, jak nawińe sądzą, nie szkodzi. Szkodzą lewakom (Czarnek) i unijczykom (Ziobro). Im bardziej pierwszy popada w oszołomstwo, a drugi w antyunijność, tym dla realnego selektoratu PiS lepiej. Emocje zapewnione, a szkoda w ich ocenie abstrakcyjna, czyli żadna. W pewnym sensie więc, im gorzej Czarnek i Ziobro robią to, co robią, tym lepiej robią Partii.

Z tej perspektywy niewielki sens mają opozycyjne wnioski o wotum nieufności kierowane do sprawców zbrodni abstrakcyjnych, nie emocjonalnych. Debatą nad takim wotum wzmacnia ich, zamiast osłabiać. Łatwo im pokazać emocje (odcięcie kasy lewakom czy doważenie Unii), a opozycji trudno powiązać z emocjami straty, których ogromu i tak nikt nie potrafi sobie wyobrazić.

Ma sens atakowanie za zbrodnie przeciwko zwyczajnym, ludzkim emocjom, ale im bliższy współpracownik, tym większa musi być zbrodnia. W przypadku tych najbliższych w grę wchodzi chyba tylko pedofilia.

Niestety, nie będzie też dymisji za samobójstwo Mikołaja czy śmierć Kamila, choć tu o emocje nietrudno. Ale nie ma jednego polityka sprawcy, nie ma na kim tych emocji zawiesić, do kogo przypisać oskarżenia o bycie potworem. Odpowiedzialność jest zbyt rozmyta, by tłum wymierzył polityczną sprawiedliwość, nawet jeśli wielu z nas dokładnie wie, kto zawińił.

Ktoś może myśleć, że dopóki ludzkie emocje mają dla władzy znaczenie, nie jest źle. Skoro Kaczyński musi się liczyć nie tylko z opinią najbliższego kręgu, ale także realnego selektoratu, można ufać, że do rzeczy najgorszych nie dojdzie. Mnie to nie pociesza – bycie potworem w stosunku do tych, którzy ciągle umierają za naszą wschodnią granicą, daje się przed selektorem PiS medialnie ukryć, więc dla nich nie istnieje. A wielkie przekręty, ta pogarda dla wspólnego dobra, powinny ludzi oburzać jeszcze bardziej niż kopniak wymierzony psu. Jednak nie oburzają, i to jest bardzo smutny znak naszych czasów. ●

Filozof nie przeprasza

Od rana pił piwo, aż zasnął. Im więcej wypił, tym bardziej był precyzyjny w myśleniu i mówieniu, jak Miłosz czy Bauman

Palikot*

Nie miał zębów. Kilka zepsutych. Po-tem sobie wstawił. Dwa palce obcięte i przyszyte przez prowincjonalnego chirurga w Grajewie – krzywe. Fizyczny dowód rękodziela. Lubiał śmierdzieć potem. Ekscytowało go to, jak tym smrodem szokował. Mył się rzadko i nieczęsto golił. Ewentualnie w jeziorze, ale bez mydła. Pachy miał nieogolone. Włosy wyrastające z nosa. Krzaczaste brwi jak u Chruszczowa.

Ale kobiety za nim szalały. Miał wiele żon. Wciąż zgłaszają się kolejne, które były rzekomo jego żonami. Żoną ostatnią. Dużo różnych dzieci z wielu związków. Od rana pił piwo, aż zasnął. Im więcej wypił, tym bardziej był precyzyjny w myśleniu i mówieniu, jak Miłosz czy Bauman. Latem dwa miesiące mieszkał w łódce na jeziorze i tam pisał książki, łapiąc ryby. Napisał ich dużo – kilkanaście. Wszystkie wyjątkowe.

Cezary Wodziński, 1959-2016.

tarne” [Houellebecq] to literatura dla mieszczan.

Cenił kulturę rosyjską, bo jako jeden z niewielu w Polsce nie był uprzedzony, a to rzadkość. Doktorat napisał z Szestowa i jako pierwszy tłumaczył nieznane książki tegoż, wydając je w podziemiu antykomunistycznym. Na potrzeby przedstawienia Janusza Opryńskiego „Bracia Karamazow” przetłumaczył raz jeszcze to dzieło Dostojewskiego, a jest ono ogromne. Przedstawienie wybitne. Tłumaczenie też; chuligańskie, z Powiśla.

Jako pierwszy po polsku opracował „Sentencje delfickie” wydane przez Łazienki Królewskie w Warszawie, kierowane wówczas przez Tadeusza Zielniewicza. Podarował ręcznie napisane tłumaczenie dialogu „Gorgiasz” [Platona] kilku swoim przyjaciołom, każdemu mówiąc, że to jedyna wersja.

Codziennie prowadził dzienniki. Powstały z tego tysiące stron spisanych pięknym, kaligrafowanym piśmem. Lubiał pieśni gruzińskie, Noha-

ly czołówki na ten temat. Rzecz niesłychana we współczesnym świecie.

Stało się tak, bo przez lata ciągnął się spór dość zasadniczy, a mianowicie – dlaczego jeden z najbardziej niezwykłych umysłów XX wieku poparł nazizm i nawet wstąpił do NSDAP? Setki jego uczniów prowadziło o to spór całymi dekadami. I teraz spodziewano się, że ta publikacja wyjaśni motywy Heideggera. Rzecz bowiem nie tylko w tym, że w latach 30. był rektorem z rekomendacji NSDAP oraz że wygłosił słynną mowę rektorską, udzielając intelektualnego wsparcia Hitlerowi, ale być może najbardziej w tym, że nigdy tego nie wyjaśnił lub – jakby chcieli niektórzy – nigdy za to nie przeprosił. Milczał.

Kto znał Wodzińskiego, ten wiedział, że on na wezwanie, aby „myśliciel przeprosił”, mógł zareagować tylko siekierą. Myśliciel nie przeprasza. Myślenie nie przeprasza. Myślenie jest poza dobrem i złem. To oczekiwanie go wręcz osobiście obrażało. To było jak zdrada kultury europejskiej. I taka jest ta jego książka; dialektyczna, lo-

Podarował ręcznie napisane tłumaczenie dialogu „Gorgiasz” kilku swoim przyjaciołom, każdemu mówiąc, że to jedyna wersja

giczna, błyskotliwa, nieustępliwa i żarliwa zarazem. Nie znajdziecie tam odpowiedzi na to pytanie, dlaczego milczy. Czarek by się do tego poziomu nigdy nie zniżył.

Zanim jednak powstała książka o „Czarnych zeszytach”, kilka lat wcześniej Cezary Wodziński napisał „Kairosa”, chyba najbardziej uwodzącej z jego książek. Esej o spotkaniu Paula Celana i Heideggera w słynnej Hütte – chacie Heideggera. Jak wiadomo, to spotkanie było nie lada sensacją; spotkali się bowiem: Żyd niemieckojęzyczny, najsłynniejszy ówczesny poeta piszący po niemiecku, i najbardziej znany filozof, były rektor we Fryburgu, były członek NSDAP. Obaj nic do siebie nie powiedzieli, ani słowa.

Celan, wychodząc, wpisał do księgi gości słynne już zdanie: „W oczekiwaniu na nadchodzące słowo...”. I wielu, w swojej naiwności, uważało, że chodziło poecie o „przepraszam”. Matkę Celana zabili faszysty na jego oczach w Czerniowcach. Słynna „Fuga śmierci” to był, jak powiedział Adorno, koniec poezji, niemożliwej już po Auschwitzu.

Oczywiście trzeba nie rozumieć za grosz poezji i myślenia, żeby zdanie napisane przez Celana w domu Heideggera rozumieć w ten sposób (że chodziło o „przepraszam”). Ale bez wątplenia jakieś słowo wisiało w powietrzu. Może to niepowiedziane właśnie. Słowo – „to, co niewypowiedziane”. Może o to chodziło, a nie o trywialne „przepraszam”. Cały „Kairos” to próba odczytania mówienia w niemówieniu. Usłyszenia tego, co

niepowiedziane. Dialektyka niepowiedzianego. Bardzo starogrecka z ducha.

Spór o Wodzińskiego i Heideggera trwa, czego najlepszym dowodem są dwa tomy Walerii, i jest on sporem na całej masie osi. Jest to w gruncie rzeczy spór o „istotę myślenia”, o „bycie myślenia”.

Kiedy umierał, zdecydował, aby go skremować i rozsypać prochy w jeziorze Niegocin, gdzie lubił łapać ryby. Sandacze. Było to po wojnie jezioro zamknięte jako teren wojskowy. Niezwykle piękne, bez zabudowy, z czystą wodą. Było też ulubionym jeziorem Göringa.

Stawiliśmy się rano w dwadzieścia kilka osób. Bliskich przyjaciół. Synów. Między innymi Krzysztof Środa, Tadeusz Szawiel, Krzysztof Majchrzak. I Justyna. Ówczesna żona. Justyna z urną i jednym z synów wypłynęła na środek jeziora i zawodząc, rozrzuciła garściami prochy. Wiatr stumańczył pył w jakiś rodzaj bryli jak rój pszczoł czy też nimf. Według [Roberto] Calasso pszczoły i nimfy to odmiany tego samego; poznawczego obłądki spowodowanego odbiciem w wodzie.

Potem poszliśmy do restauracji, na pewien rodzaj stypy, do Młocin, gdzie była jego ulubiona knajpa, i zjedliśmy, tak jak on jadł, świetne sandacze.

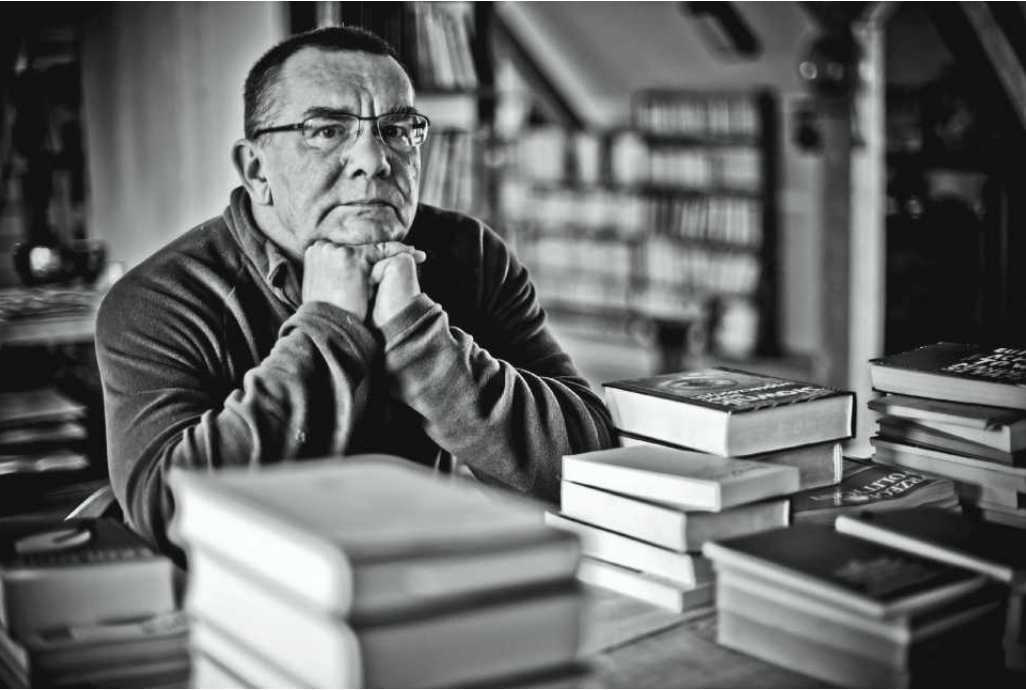
Matka Cezarego, jak się później okazało, zażądała od Justyny połowy prochów, bo resztę chciała pochować. I pochowała – na cmentarzu na Bródnie, na mszy z księdzem. Na ten pogrzeb nie poszedłem.

Zdumiony tym podziałem, opowiedziałem tę historię Bronisławowi Komorowskiemu, który znał i cenił Cezarego, a jest moim niedalekim sąsiadem na Suwalszczyźnie. – Janusz – odpowiedział – w Kurlandii wiele rodzin to praktykowało, aby mieć bliskich, choć w części przy sobie, a że rodziny były liczne, to i na osiem części dziełom zmarłego.

Gdy po raz pierwszy startem się z Cezarym, obaj byliśmy w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, gdzie ja pisałem doktorat z Husserla, a on słynną habilitację „Heidegger a problem zła”. I gdy po latach spotkaliśmy się znówu w Ubliku, gdzie mieszkał na Mazurach, wspólnie z jego wydawcą, prof. Stanisławem Rośkiem, to mnie zapytał: – To o co, Janusz, znów się zetrześmy tym razem? Jak widać, temat był oczywisty. ●

***Janusz Palikot** – ur. w 1964 r. w Biłgoraju, przedsiębiorca, polityk. Poseł na Sejm w latach 2005-15 (z list PO, potem z list własnego Ruchu Palikota, później-szego Twojego Ruchu). Był m.in. współwłaścicielem wydawnictwa słowo/obraz terytoria i wydawcą konserwatywnego tygodnika „Ozon”. Z wykształcenia filozof

FOT. ADAM KOZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL



Na wykładach były tłumy. Trzeba było zwiększać sale, bo goście by się nie zmieścili. Przychodziło po kilkaset osób. Był mówcą charyzmatycznym, wbijał w fotel. Zawsze mówił do konkretnych ludzi na sali. To było starcie z nimi.

Był bezwzględny. Atakował wszelką małostkowość, niski poziom, koturnowość, mieszczkański ton. Żadnego przypodobywania się; siła, logika, konkret. Ludzie wariowali na jego punkcie. Nie tylko kobiety. Kilku młodych dominikanów rzuciło klasztor po seminarium z nim. Książę Piemontu podarował mu wieżę w rodzinnym pałacu. Prezydent Kazachstanu chciał go na siłę zatrzymać na zawsze w ojczyźnie Kazachów.

Konfabulował o wszystkim. O odnalezionych w Tbilisi dziełach zebranych Platona, o nieznanych wierszach Różewicza, o tajemniczych tekstach. Pisał erotyczne listy do żon wszystkich swoich przyjaciół i próbował je uwieść. Teksty tak perwersyjne, że przy nich „Cząstki elemen-

vice, Amy Winehouse. Prowadził regularną korespondencję listami z Zygmuntem Baumanem.

No i bronił Heideggera.

Jedna z „rzekomych” żon, Waleria Szydłowska-Hmissi, wydała dwa tomy na temat: „Cezary Wodziński in memoriam” (Heidegger, Wodziński, „Czarne zeszyty”, faszyzm). Przedsięwzięcie o ogromnej, trzeba powiedzieć, skali. Więc dyskusja siłą rzeczy wróciła. Jeszcze habilitacja z Heideggera uszłaby mu płazem, ale wydane pod koniec życia i napisane jednym palcem, bo reszta ciała była już sparaliżowana, rozważania na bazie „Schwarze Hefte” – „Metafizyka i metapolityka” – wywołały burzę.

Heidegger prowadził te dzienniki latami, jest to ogromna liczba tomów, kilkadziesiąt, wciąż publikowane są nowe. Autor zastrzegł też sobie, aby ich wydanie nie nastąpiło wcześniej niż 30 lat po jego śmierci (1976). Była to tak oczekiwana i głośnie publikacja, że największe gazety Europy zamieści-

40 milionów Nowych Europejczyków

Negocjatorzy wypiją hektolitry kawy

Myli się ten, kto sądzi, że Ukraina podąża za Unią ślepo i bezrefleksyjnie

Matlak

Jeśli coś w wiosennym Kijowie zaskakuje, to atmosfera odpężenia. Czuje się tak, jakby wojna miała się ku końcowi, choć przecież tak nie jest. Ludzie są spokojni, restauracje raczej zatłoczone, ulice i bary pełne młodych.

O tym, że trwa wojna, przypominają żołnierze na przepustkach. Tacy jak ten spotykający się z dziewczyną w pięknym soborze sofijskim, kołebce ruskiego prawosławia. Albo jak ten wychodzący z drugiej ważnej kijowskiej świątyni – Monastynu Michajłowskiego. Młodziutki, gdybym nie zobaczył protezy, pomyślałbym, że dopiero wybiera się na front.

Sam monastyr zupełnie inny niż ten poświęcony św. Zofii – po tym, jak w latach 30. zburzyli go bolszewicy, odbudowano go dopiero w 90. Wygląda odrobinę kiczowato – intensywne niebieskie fasady, wnętrza ociekające złotem, a wisienką na torcie jest neon XB (od „Христос Воскрес!”, „Chrystus Zmartwychwstał!”) nad postacią Jezusa. To ta cerkiew trafiła do wszystkich mediów, gdy pojawił się tam niespodziewanie prezydent Joe Biden. Dziewięć – to już tyle! – lat wcześniej, w czasie Euromajdanu, urządzono w niej szpital polowy dla Ukraińców walczących ze zbirami Janukowycza. Obok monastynu znajduje się natomiast monumentalny sowiecki gmach, w którym dziś mieści się ministerstwo spraw zagranicznych Ukrainy, a przed rozpadem Związku Radzieckiego była to siedziba Komunistycznej Partii Ukrainy – zastąpienie prawosławia komunizmem miało mieć wymiar architektoniczny i urbanistyczny, nie tylko polityczny. Świadomość, że jest się w kraju w stanie permanentnej wojny, powraca, gdy idzie się wzdłuż muru grodzącego monastyr, obwieszonego zdjęciami żołnierzy poległych po 2014 roku.

Na sam Majdan – plac Niepodległości – dochodzę kładką pod wielkim monumentem Włodzimierza Wielkiego, któremu Rosjanie najchętniej wyrobili by paszport Donieckiej Republiki Ludowej, byle tylko odsunąć myśl o ciągłości między Rusią Kijowską a Ukrainą. Atmosfera sielankowa – dobra kawa z automatu, wata cukrowa, spacerujące rodziny, oblegany przez młodzież lokal Pi-janej Wiśni. I choć na samym Majdanie

zastają mnie syreny alarmu lotniczego, nikt nawet nie przyspiesza kroku w poszukiwaniu schronu.

Kilkaset metrów dalej wszystkie organy rządowe i parlamentarne poza walką z najeźdźcą zajmują się celem, dla którego zginęli ci ze zdjęć z muru monastynu – wstąpieniem do Unii Europejskiej i NATO. Dzielnica rządowa jest zamknięta, wszystkie budynki obłożone workami z piaskiem.

Ta wojna zrosła się z akcesją. Prezydent Zelenski złożył wniosek o członkostwo już czwartego dnia rosyjskiej inwazji. W czerwcu 2022 roku Unia nadała Ukrainie status kraju członkowskiego, teraz batalia trwa o to, by możliwie szybko rozpocząć negocjacje akcesyjne (Zelenski chce, by zaczęły się przed końcem roku i nie jest to wykluczone). Choć mało kto w Brukseli jest chętny do rozmów o konkretnej dacie wstąpienia Ukrainy, wiadomo, że to potrwa – negocjacje Polski zajęły ponad cztery lata.

Integracja z Unią to wybór zarówno strategiczny, jak i uczuciowy – wybór Zachodu, demokracji i kapitalizmu zamiast Wschodu, autokracji i post-sowieckiej oligarchii. Ale myliłby się ten, kto by sądził, że Ukraina podąża za Unią ślepo i bezrefleksyjnie.

Jednym ze stałych punktów na mapie Kijowa jest hotel Radisson, do którego przeniosło się wielu zagranicznych mieszkańców Kijowa ze względu na schron urządzony na -2 poziomie parkingu. Alarmy przeciwlotnicze są szczególnie uciążliwe nocą, bo wtedy trwają długo, często dwie-trzy godziny, więc komfortowy schron hotelowy z łózkami i przekąskami wydaje się szczególnie wartościowy. To w loby tego hotelu poznałem Timofieja Miłowanowa, rektora Kijowskiej Szkoły Ekonomicznej (znakomitej, jako profesor ekonomii w Pittsburghu zbudował ją na amerykańskich wzorcach), byłego ministra gospodarki w pierwszym rządzie za prezydentury Zelenskiego.

Miłowanow uważa, że Unia mimo dobrych intencji często źle ocenia ukraińskie potrzeby i nieumiejętnie dąży do deoligarchizacji kraju. Kolejne instytucje powoływane na prośbę Brukseli nie przyczyniają się do zmniejszenia skali korupcji, bo decydujący jest kontekst – a ów to sowiecki model załatwiania spraw – przez znajomości i łapówki. – Nawet studia na Harvardzie

nie uchronią przed powieleniem tego modelu, jeśli jest się przyzwyczajonym do takiego załatwiania spraw – mówił Miłowanow. Jego zdaniem integracja Ukrainy z Unią to musi być przede wszystkim zmiana kulturowa, a nie budowa kolejnych instytucji.

A przecież gigantyczna i fundamentalna ze względu zarówno na ustrojową wagę, jak i poprzez skalę reforma wymiaru sprawiedliwości to zaledwie ulamek pracy, jaka czeka Kijów i Brukselę, by doprowadzić do zjednoczenia tego ponad 40-milionowego kraju z 450-milionową Unią. Wiele wskazuje, że to będzie rewolucja nie tylko dla Ukrainy, ale również dla Brukseli.

Do Unii wejdzie duży i dumny naród o kulturze prawosławnej. Grecja i Bułgaria nie miały tego ciężaru

Choć na razie unijne działania koncentrują się na dziewiątym piętrze Dyrekcji ds. Sąsiedztwa i Rozszerzenia, gdzie mieści się specjalna jednostka ds. Ukrainy – którą kieruje Polka Anna Jarosz-Friis – to skutki akcesji rozniosą po całej Brukseli. Rozumianej nie dosłownie, jako siedziba unijnych instytucji, ale metaforycznie. Bo zmiana będzie instytucjonalna (unijne urzędy, agencje, jednostki nabiorą nowego kształtu), geopolityczna (nowy układ sił w Unii i jej radykalne przesunięcie na Wschód), kulturowa (do Unii wejdzie duży i dumny naród o kulturze prawosławnej – Grecja i Bułgaria nie miały tego ciężaru) oraz – a może przede wszystkim – mentalna: integracja Ukrainy z Unią wydarzy się za sprawą silnej tożsamości narodowej, a nie opozycji wobec niej, jak w przypadku państw Europy Środkowej.

Zacznijmy od instytucji. Pojawienie się nowego dużego kraju nimi zatrzęsie. 43 miliony obywateli przełożą się na około 55 posłów do Parlamentu Europejskiego (chyba że nastąpi zmniejszenie ogólnej liczby posłów – dziś traktatowe maksimum to 751), czyli nieco więcej, niż ma Polska, nieco mniej niż Hiszpania. Większe znaczenie pojawienie się Ukrainy będzie miało w Radzie UE, w której, gdy akt prawny musi mieć poparcie 55 proc. krajów członkowskich (dziś jest ich 15 o populacji ponad 65 proc.), jeszcze bardziej liczy się populacja. Nie trzeba być matematykiem, żeby wyliczyć, że Polska z Ukrainą będą w niej miały moc Niemiec.

Instytucje będą wymagały zmian, tym bardziej że poza Ukrainą do Unii szykuje się jeszcze Moldawia i Gruzja (choć w obu przypadkach nacisk putinowskiej Rosji jest bardzo silny i może poskutkować oddaleniem się od Unii) oraz pięć krajów Bałkanów Zachodnich – Albania, Bośnia i Hercegowina, Macedonia Północna, Czarnogóra i najtrudniejszy przypadek – Serbia. Takie rozszerzenie to już rewolucja wymagająca zmiany sposobu podejmowania decyzji w Unii.

O ile zmiany instytucjonalne będą wymagały setek godzin nocnych negocjacji i hektolitrow kawy wypitej przez

zespoły negocjacyjne krajów kandydujących i Unii, to prawdziwa rewolucja dokona się w geopolityce.

Przesunięcie Unii na Wschód radykalnie zmieni położenie krajów Kaukazu i Azji Centralnej, które już rakiem wycofują się z miłosnych uścisków z Rosją. Można się spodziewać przeorientowania Partnerstwa Wschodniego właśnie na kraje Kaukazu i Azji Centralnej, co przypieczętuje rozpad rosyjskiego projektu imperialnego.

A jest jeszcze wewnętrzna równowaga sił. Z przystąpieniem Ukrainy do Unii wzmocni się Europa Środkowa, która stanęła murem za Kijowem po rozpoczęciu inwazji i ostrzegała przed imperialnymi ambicjami Putina. Oslabi się poczucie konieczności podążania za francusko-niemieckim tandemem – porażka polityki zarówno niemieckiej, jak i francuskiej w obliczu rosyjskiego imperializmu daje Europie Środkowej mandat do większej pewności siebie przy negocjacyjnych stołach Brukseli. Co nie znaczy, że nie trzeba być realistą: Ukraina potrzebuje zwłaszcza niemieckich przedsięwzięć, by podnieść się po wojnie, więc Polacy i inne narody naszej części Europy będą musiały włożyć duży wysiłek, by przełożyć wspólne z Ukraincami uczucia i stosunek do Rosji na trwałą wspólnotę interesów.

Kto wie, czy największą zmianą nie będzie właśnie podejście do sprawy narodowej. Do tej pory, głównie za sprawą kompromitacji nacjonalizmu niemieckiego (a także w wersji francuskiej spod znaku Vichy), projekt europejski, choć nie był wrogi narodom, które go tworzyły, uważał dumę z osiągnięć ojczyzny za coś wstydliwego, pieśń przeszłości. Tymczasem Ukraina z tożsamością narodowej uczyniła wehikuł swej europejskości – to właśnie poczucie wspólnoty sprzęgnięte z wiarą w demokrację i Zachód daje energię do walki.

Nie będzie zatem klimatu dla wstydliwego zastępowania flag narodowych flagą europejską – a jednocześnie może się okazać, że dylemat między Europą ojczyzn a Europą federalną jest fałszywy. Europejska konfederacja jest połączeniem obu tych wizji i chyba nie ma możliwości, żeby było inaczej.

Jest jeszcze jedno miejsce na mapie Kijowa, które daje do myślenia. To ambasada USA. Budynek oddalony od centrum, otoczony wysokimi blokami. Chwilę przed inwazją ambasada była ewakuowana, a dziś jest kolejnym miejscem, w którym życie wydaje się toczyć spokojnie, jak gdyby nic się nie zdarzyło. Sala spotkań nosi imię senatora McCaina, a jej wnętrze pełne jest jego zdjęć z Kijowa – z czasu, gdy przyjechał do ukraińskiej stolicy wspierać ówczesną rewolucję godności.

I choć Joe Biden wydaje się demokratyczną wersją zasadniczego McCaina, a Ukraina skutecznie się broni w dużej mierze dzięki wsparciu Ameryki, to ów surowy weteran z Wietnamu i Kapitolu zdaje się nam mówić ze zdjęć: Europejczycy, weźcie się w garść. Następnym razem będziecie się bronić sami. ●

Michał Matlak

Za zaproszenie do delegacji Senatu RP do Kijowa dziękuję profesorowi Kazimierzowi M. Ujazdowskiemu i prezesowi Fundacji dla Nauki Jakubowi Czułbicie.

OGŁOSZENIE

Ukraińcy w Unii
pod tym hasłem opowiadamy o Ukrainie w Unii Europejskiej

wyborcza.pl PARTNER: European Parliament

Projekt realizowany we współpracy z Parlamentem Europejskim

34247871

Ozytam ostatnie strony książki Beaty Dżon-Ozimek i Michała Olszewskiego o pewnym ornitologu, a przy okazji esesmanie z Auschwitz, ale – jak w jej tytule, „Ptaki krzyczą nieustannie” – sójki szaleją w koronach drzew i trudno mi się skupić. Po chwili nadlatują dwie sroki i gonią za wiewiórką, umyka ile sił. Kiedyś były trzy, lecz jedną upolował kot.

Może przyleciały, bo usłyszały wydobywające się z kart książki „dju, dju, dji, bitt, bitt bitt sibs”? Günther Niethammer notuje skrupulatnie od najmłodszych lat śpiew ptaków, analizuje, bada. Chyba je rozumie. Może sójki chcą mu coś powiedzieć?

Książkę odkładam po raz pierwszy po czterdziestej stronie i patrzę hen przed siebie. Autorzy piszą o masakrach dokonywanych w „Niemieckiej Afryce” przez wojsko cesarskie na ludach Herero i Nama i o jednym z pierwszych obozów koncentracyjnych na świecie, na półwyspie Haifischinsel. Niemieccy lekarze przeprowadzają tam eksperymenty. Odcięte głowy Herero i Nama posłużą za jakiś czas do badań rasowych Eugenowi Fischerowi, współtwórcy późniejszej koncepcji eksterminacji Żydów i Cyganów. A Günther, jak cała jego rodzina, kocha południowo-zachodnią Afrykę. Niegdyś mieli tam farmę, więc gdy po maturze odbywa pierwszą młodzieńczą daleką podróż, czuje się, jakby wracał do domu.

Od głównej historii życia wartownika i ornitologa w Auschwitz dzieli mnie co najmniej sto stron, a już znów muszę się zatrzymać i wziąć głęboki oddech. Czytam o Kongresie Ornitologicznym w Oksfordzie w 1934 r. Wielkie święto naukowców, zjeżdża się cały ornitologiczny świat, przybywają również Günther oraz James Henry Fleming, ojciec kanadyjskiej ornitologii. Kanadyjczyk, posiadacz największej kolekcji ornitologicznej na świecie, kładzie trupem ostatniego gołębia wędrownego i jest z tego dumny. Co rusz jakiś badacz zestrzeliwuje ostatni gatunek ptaka. Obok masowej Zagłady ludzi gdzieś na marginesie dokonuje się zagłada ptaków.

Trudno uwierzyć, że esesman może mieć jakieś inne życie. Mógłby być wcześniej choćby zakonnikiem, ale jeśli został esesmanem, to w pamięci większości Europejczyków na zawsze zostanie esesmanem. Tylko nim.

W Niemczech esesman ma więcej żyć. Niethammer był wcześniej autorem jednego z najważniejszych dzieł o ptakach, znany naukowcem. Pierwszy raz słyszę jego nazwisko w jednym z najpopularniejszych niemieckich podcastów, prowadzą go filozof David Precht i dziennikarz Markus Lanz. Prechta pasjonują ptaki. Gdzieś mimochodem wspomina Niethammera i Stresemanna, ten ostatni to słynny „papież niemieckiej ornitologii”. Z polskiej książki dowiaduję się o nim znacznie więcej niż od Prechta i z encyklopedii. I mam wątpliwości, czy zasługuje na miano „papieża”.

Oglądam wywiad z legendą niemieckiej telewizji Frankiem Elstnerem, który u schyłku życia założył fundację dla ratowania wymierających gatunków. Patrzę na wysiłki osiemdziesięcioletniego człowieka, niegdyś showmana, który mimo postępującego parkinsona przemierza afrykański busz i przytula do serca małpy. Chwilę później wiadomości pokazują młodych aktywistów; blokują ulice, przyklejają się do asfaltów, „ratujmy planetę!” – krzyczą. Ich rodzice protestowali przeciwko elektrowniom jądrowym, wywózce radioaktywnych odpadów, wymieraniu lasów.

To nie przypadek, że partia Zielonych urosła w siłę właśnie w tym kraju. Dla Niemców ornitologia, zoologia, świat zwie-



FOT. JACEK TARAN

ESESMAN MIEWA WIĘCEJ ŻYĆ

To nie przypadek, że partia Zielonych urosła w siłę właśnie w Niemczech

Magdalena Parys*

rząt i roślin to trochę coś innego niż dla nas Polaków. Podróżują, badają, współfinansują. To oni mieli słynnych oświeconych braci Humboldtów, od których, zdaniem wielu, zaczęło się prawdziwe przyrodoznawstwo. To nie hobby i nie fanaberie, to wielowiekowa tradycja narodu, który miał czas, środki i wolę, by pokochać nauki przyrodnicze i chcieć wiedzieć o świecie więcej. Dobrze znać ten kontekst, czytając o ornitologu, który został esesmanem.

■
*Od a jak akcjonariusz,
przez d jak dekarz,
skończywszy na położnej
i szewcu – odnoszę wrażenie,
że w tytułach książek ze
słowem „Auschwitz” występują
wszystkie zawody świata*

Niethammer urodził się w niewielkim mieście, „w wykwintnej willi pod okiem położnej i gotowej na wszystko służby”. Ojciec fabrykant, a przy okazji zagorzały monarchista, nie godzi się z Republiką Weimarską, wspiera kilkadziesiąt organizacji kombatanckich. Rozpiera go duma, kiedy dorastający synowie wstępują do oddziałów paramilitarnych. Rodzina jest muzyczna; wszyscy śpiewają, grają na instrumentach. Günther ma słuch idealny,

ale woli skupiać się na śpiewie ptaków oraz na odgłosach motorów. Wychwytuje, czy równo pracują. Wszak potrzebne mu będą sprawne i szybkie w podróżach – do tropienia ptaków. Jako najmłodszy z braci – kobiety w rodzinie odgrywają rolę drugorzędne – nie będzie prowadził fabryki, więc może się spełnić na studiach zoologicznych w Tybindze, na najstarszym fakultecie przyrodniczym w Niemczech.

Jest tytanem pracy. Pracuje naukowo, podróżuje, bierze udział w kongresach, nawiązuje kontakty, publikuje artykuły naukowe, wydaje książki. Gdzieś po drodze żeni się z piękną, mądrą dziewczyną, która towarzyszy mu w odkrywczych podróżach (ale i tak skończy jako ofiara swoich czasów). Gdyby nie ona, Günther najprawdopodobniej nie opuściłby polskiego więzienia po paru latach.

Dlaczego do niego trafił?

Zaczynam rozumieć, dlaczego pisanie zajęło autorom pięć lat. Pod koniec lektury stwierdzam, że podkreśliłam ołówkiem połowę książki, na każdej stronie kilka wykrzykników. Mam pytania do autorów. Mam pytania do Wszechświata. W odpowiedzi przylatują do ogródka rozbrykane sójki i sroki.

Od jakiegoś czasu na rynku wydawniczym zapanowała moda na fikcyjne powieści zawierające w tytule słowo „Auschwitz”. Od a jak akcjonariusz, przez d jak dekarz, skończywszy na położnej czy szewcu z Auschwitz, odnoszę wrażenie, że w tytułach występują wszystkie zawody świata. Do obozu przywożono niezawodnie ludzi o tych wszystkich profesjach, lecz rzecz w tym, że owe modne powieści

opowiadają coś, ale niekoniecznie dotyczą z należytą powagą tego. Tego, co w historii Zagłady najistotniejsze: Zagłady.

Jaką rolę może odgrywać szewc w obozie? Większość więźniów nosiła drewnia-ki albo chodziła boso. Niektórzy nieliczni, którzy potrafiли sobie zorganizować buty, często płacili za nie najwyższą cenę. Bo jeśli spodobały się esesmanowi, z pola wracały już tylko one.

A położne? Czy Auschwitz to miejsce do narodzin kogokolwiek? (spoiler: a i owszem, zguglujcie „ciotka Anny Lewandowskiej Auschwitz”). Co robiła położna w Auschwitz? Znam historię niemowlęcia, które przeżyło obóz i od dłuższego czasu zbieram siły na wywiad z tą leciwą panią. Nie mieszka w Europie. Mówi tylko po hiszpańsku.

Ciąg dalszy jej historii na pewno nastąpi, ale nie teraz, bo wszystko dopiero się zaczyna i Günther marzy tylko o jednym, żeby walczyć na froncie. Bardzo chciałby latać, być lotnikiem, a jeśli to niemożliwe, to chociaż zostać zwykłym żołnierzem. Jeszcze nigdy nie czytałam o człowieku, który do ostatnich dni wojny, kiedy inni marzą, by uciec jak najdalej od tych wszystkich Stalingradów, wciąż chce się wykazać.

Chce się wykazać, to ma: przydział do służb wartowniczych w jakimś obozie. Skarży się w listach do braci, że inaczej to sobie wyobrażał. No cóż, na szczęście ma swój zawód! Chodzi z notatnikiem, aparatem fotograficznym, strzelbą i poluje. Na ptaki, rzecz jasna. Wokół Auschwitz-Birkenau naliczy w sumie 128 gatunków.

Jak przebić się z tytułem, w którym nie będzie tanich sensacji o „lotniku z Auschwitz”, za to dużo o ptakach? Nie wiem. Wiem, że autorzy podarowali nam opowieść, która czyni Zagładę jeszcze straszniejszą.

A Günthera życie też nie oszczędziło. ●

***Magdalena Parys** – pisarka, laureatka Europejskiej Nagrody Literackiej, autorka cyklu bestsellerowych thrillerów polityczno-historycznych „Tunel”, „Magik”, „Książę” i sagi pokoleniowej „Biała Rika”. Mieszka w Berlinie

„Ptaki krzyczą nieustannie. Historia Günthera Niethammera, esesmana i ornitologa z Auschwitz”, Michał Olszewski i Beata Dżon-Ozimek – już w dobrych księgarniach, na stronie wydawnictwa Czarne i w formie e-booka na Publio.pl



Thrillery polityczno-historyczne Magdaleny Parys – „Tunel”, „Magik”, „Książę” – dostępne na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booków na Publio.pl



Chile, czyli pycha prawicy kontra pycha lewicy

Czy o nowej konstytucji dla postępowego społeczeństwa marzącego o rozliczeniu spuścizny Pinocheta zdecyduje wróg praw kobiet, antykoncepcji, aborcji oraz fan Pinocheta?

NIE GŁOSUJESZ, TO SIĘ NIE SKARŻ

FOT. ESTEBAN FELIX/AP



Maciej Stasiński

Oztery lata temu przecoczył się przez Chile wielotygodniowy bunt społeczny, który nie tylko pogrzebał prawicowy rząd prezydenta Sebastián Piñery, ale też przy okazji zakwestionował prawie cały dorobek demokratycznych przemian, które nastąpiły po dyktaturze Pinocheta (1973-89). Zbuntowani Chilijczycy, głównie młodzi, zażądali więcej równości, więcej dostępu do dóbr publicznych, takich jak edukacja i opieka zdrowotna, więcej państwa, mniej indywidualnego wyścigu po sukces i bogactwo.

Rok później dymy pożarów wznieconych na ulicach Santiago opadły, ale prawie 80 proc. głosujących Chilijczyków konsekwentnie zażądało nowej konstytucji, która miała zastąpić poprzednią, narzuconą przez dyktaturę wojskową jeszcze w 1980 r. Szans na sprawiedliwsze społeczeństwo upatrywano w nowej ustawie zasadniczej.

Konstytucji napisanej od nowa Chilijczycy chcieli, mimo że już

wcześniej, za demokratycznych rządów Concertación (koalicji socjalistów i chadeków), wyjęto z tej pinochetowskiej najważniejszej autorytarne rygle (m.in. zlikwidowano instytucje senatorów mianowanych i dożywotnich i odebrano armii rolę gwaranta ustroju).

W 2021 r. Chilijczycy wybrali przedstawicieli, którzy mieli nową konstytucję napisać. Pokazali czerwone kartki praktycznie wszystkim partiom i wybrali „nowych ludzi” spoza establishmentu: działaczy społecznych, w tym z dyskryminowanych mniejszości tubylczych, głównie Mapuczów.

Kilka miesięcy później Chilijczycy poszli za ciosem i wybrali nowego prezydenta, młodego lewicowca i byłego przywódcę zbuntowanych studentów Gabriela Borica.

Prezydent i nowy rząd wsparli działalność zrewoltowanego zgromadzenia konstytucyjnego, w którego pracach tradycyjne partie umiarkowanej centrolewicy oraz prawicy miały znikomy udział.

Nowi posłowie przez kilka miesięcy pisali i pisali, mnożąc artykuły i słowa, licytowali się w radykalizmie, aż w końcu uchwalili konstytucję, która m.in. ustanawiała państwo

wielonarodowe, dawała autonomię prawną mniejszości tubylczej, burzyła jednolity wymiar sprawiedliwości, likwidowała senat, sankcjonowała prawo do przerywania ciąży oraz budowała państwo opiekuńcze kosztem prywatnych inicjatyw i własności.

155 posłów konstytuandy dało prawdziwy koncert życzeń i napisało raczej opasłą powieść konstytucyjną niż zwięzły zestaw praw i swobód podstawowych. Projekt liczył 54 tys. słów i był trzykrotnie dłuższy od konstytucji Hiszpanii i czterokrotnie od włoskiej.

Publicysta Carlos Franz wyliczył, że terminy „Chile”, „Chilijczyk” i „Chilijka” padały w niej 77 razy, a „tubylec” i „tubylczy” – 78. Ludy tubylcze, np. Mapucze, były w tekście określone jako osobne narody aż 41 razy (Chilijczyków z mniejszości indiańskich jest blisko 10 razy mniej niż Chilijczyków do nich nienależących). Projekt definiował prawa do kultywowania różnych tożsamości, takich jak narodowe, wspólnotowe, seksualne, a nawet neurofizjologiczne, a prawa przysługujące różnym grupom obywateli były wymieniane 422 razy. Obowiązki obywatelskie zaś, w tym obowiązek głosowania – tylko sześć razy.

I kiedy wydawało się, że lewicowe wiatry pchają Chile niepostrzeżenie w stronę nowego ustroju, w plebiscycie w grudniu 2022 r. Chilijczycy przewagą 62 do 38 proc. głosów nagle nową konstytucję odrzucili.

Zaskoczony werdykt najważniejsze partie od prawa do lewa usiadły do stołu i uzgodniły, że nową konstytucję trzeba napisać od początku. Jej zręby stworzyli wiosną tego roku eksperci konstytucjoniści, a ostateczną redakcją miała się zająć nowa rada konstytucyjna, także wybrana w powszechnych wyborach.

Dwa tygodnie temu wybrano 51-osobową radę.

Miażdżące zwycięstwo odniosła skrajnie prawicowa Partia Republikańska, która, po pierwsze, jeszcze niedawno nie istniała, a po drugie, jako jedyna w ogóle nie chciała nowej konstytucji. Skrajna prawica zdobyła ponad 35 proc. głosów i 22 mandaty. Pozostałe partie prawicowe dostały 21 proc. głosów i 11 mandatów. Cała prawica ma więc teraz ponad trzy piąte procent głosów, co pozwoli jej uchwalić konstytucję wedle własnego uznania.

Na przywódcę najważniejszej partii wyrósł 57-letni wojujący ka-

tolik José Antonio Kast, wielbiciel Pinocheta, przeciwnik prawa do przerywania ciąży i antykoncepcji, małżeństw jednopłciowych oraz równouprawnienia płci, a nawet edukacji seksualnej w szkołach, ojciec dziewięciorga dzieci.

Zwolennicy lewicowej koalicji rządowej prezydenta Borica i najbardziej zagorzali rzecznicy poprzedniej – odrzuconej w referendum – konstytucji zostali pobici na głowę. Uzyskali zaledwie 17 mandatów, czyli mniej niż 21 potrzebnych do weta w radzie konstytucyjnej.

Partie dawnej Concertación, koalicji, która za prezydentury chadeków Aylwina i Freia oraz socjalistów Lagosa i Bachelet przyniosła wiele demokratycznych i zasadniczych reform, w tym zliberalizowała i zdemokratyzowała pierwotną pinochetowską konstytucję, przepadły i do rady nie weszły w ogóle.

Co się stało, że wielkie nadzieje na równiejsze, sprawiedliwsze społeczeństwo przysły?

Komentatorzy orzekli, że Chile rzuciło się niczym wahadło z jednej skrajności lewicowego populizmu w drugą – prawicowy fundamentalizm – a zdroworoządkowe centrum

zanikło. Chilijska opinia miała się zatoczyć i obija się teraz od ściany do ściany.

W istocie rozkład ideowych i politycznych wyborów Chilijczyków zmienił się, ale bynajmniej nie tak radykalnie, jak wskazują wyniki wyborów i referendum. Bardziej niż ideowe wybory w społeczeństwie zmienił się udział obywateli w życiu politycznym. Bo wyniki wyborów odzwierciedlają wolę tych obywateli, którzy postanowili zagłosować. Jednak na to, że są takie, a nie inne, wpływa decyzja obojętnych, że zostaną w domach.

„Nieobecni nie mają racji” – przeciwnicy zwycięzców nie mogą się obrażać, bo sami są sobie winni, że nie poszli głosować. Ale pośrednio mają wpływ na ostateczny wynik, dlatego właśnie, że powstrzymali się od chęci wpłynięcia nań wprost.

Po oddaniu władzy przez juntę Pinocheta i przywróceniu demokracji w 1989 r. głosowanie w Chile było obowiązkowe, a za pozostanie w domu groziła grzywna. Jednak wpisanie się na listę potencjalnych wyborców było już dobrowolne.

W efekcie frekwencja, czyli liczba obywateli, którzy głosowali, w stosunku do tych, którzy mogli głosować, spadała systematycznie i nieprzerwanie: od 95 proc. w pierwszych demokratycznych wyborach w 1989 r., po 17 latach dyktatury wojskowej, do 60 proc. w 2010 r. Państwo praktycznie nie egzekwowało obowiązku głosowania i nie nakładało grzywien na obojętnych. Przy urnach rosła stopniowo zarówno absencja tych zapisanych i uprawnionych, którzy ostatecznie nie szli głosować, jak i liczba tych, którzy w ogóle się nie zapisali – aż do blisko 30 proc.

Wybory kolejno wygrywali prezydenci demokratycznej koalicji Concertación: chadecy Patricio Aylwin i Eduardo Frei, socjaliści Ricardo Lagos i Michelle Bachelet, a w 2010 r. pravicowiec Sebastián Piñera.

Po czym, w 2012 r., zniesiono głosowanie obowiązkowe i wprowadzono dobrowolne, ale za to z automatycznym włączeniem do spisu wyborczego wszystkich uprawnionych, co zwiększyło liczbę potencjalnych wyborców o 4,5 mln. Skutki były bardzo daleko idące.

W kolejnych wyborach wygrywali: w 2013 r. socjalistka Michelle Bachelet, w 2017 r. – pravicowy Sebastián Piñera, w 2021 r. – nowy młody przywódca lewicy Gabriel Boric. Ale tylko w tych ostatnich frekwencja przekroczyła 50 proc. i sięgnęła w drugiej turze 55 proc. (pierwszą wygrał skrajnie pravicowy José Antonio Kast) – tylko dlatego, że przerażona lewica i centrolewica wyjątkowo się zmobilizowały.

Kiedy po wstrząsach 2019 r. przyszło do wyborów konstytuanty (w 2022 r.), do urn znowu poszła mniej niż połowa uprawnionych, choć wydawało się, że nowa konstytucja powinna żywo obchodzić każdego Chilijczyka albo co najmniej znaczną ich większość. Tak się nie stało, a radykalnie lewicowo nastrojona większość nowych posłów

konstytuanty, która miała konstytucję napisać, została wybrana przez zaledwie 43 proc. obywateli.

Co prawda legalność konstytuanty nie podlegała dyskusji (skoro „nieobecni racji nie mają”), lecz oczywiste było, że na całkowicie dobrowolnym głosowaniu, czyli na prawie do obojętności obywatelskiej, skorzystały najaktywniejsze i najbardziej bojowe środowiska radykalnej lewicy.

Parlament, zderzony z rewolucyjnym – czy, jak mówiono, „postępowym” – projektem konstytucji i zmarginalizowany przez zgromadzenie konstytucyjne, które ją napisało, zmienił reguły gry i przed plebiscytem, który miał konstytucję ostatecznie przyjąć, przywrócił głosowanie obowiązkowe.

Nastąpiło trzęsienie ziemi. W grudniowym referendum o awangardowej konstytucji wzięło udział 86 proc. Chilijczyków, czyli dwa razy więcej, niż było tych, którzy rok wcześniej wybierali posłów do jej napisania! A spośród nich odrzuciło ją aż 62 proc. (za było 38 proc.). Tym razem gremialnie wyrazili swoją opinię ci, którzy wcześniej nie szli głosować i byli raczej niechętni radykalnym propozycjom zmobilizowanej lewicy.

Skrajna prawica musi udowodnić, że jest odpowiedzialna i zdolna, inaczej zderzy się z rzeczywistością, tak samo jak poprzednio zderzyła się lewicowa koalicja

Pięć miesięcy później, kiedy 4 maja wybierano nową 51-osobową radę konstytucyjną, która napisze konstytucję od nowa, zagłosowało 82 proc. Chilijczyków – i ponad jedna trzecia z nich dała zwycięstwo radykalnej prawicy. Razem z tradycyjnymi partiami centroprawicowymi cała prawica otrzymała 61 proc. głosów, czyli mniej więcej tyle, ile pół roku wcześniej było przeciwników radykalnej konstytucji. Prawica ma 33 mandaty w 51-osobowej radzie konstytucyjnej.

Koalicja rządowa oraz centrolewica, które poszły osobno, dostały razem 38 proc. głosów, lecz tylko 17 mandatów.

Triumfu prawicy i klęski lewicy dopełniła niezwykła, bo aż 21-procentowa liczba głosów nieważnych.

Jednak nie sama natura prawa do głosowania i arytmetyka wyborcza tłumaczą, co się stało w Chile. O losach kraju w demokratycznych wyborach decyduje nie tylko to, jak i kto głosuje, ale także to, dlaczego i na co.

W czasach społecznych zaburzeń, niepewności, strachu o jutro decydujący wpływ na wybory obywateli zyskują populistyczni demagodzy, niezależnie od tego, czy mienią się obrońcami interesów prostego ludu, jak lubi mówić o sobie lewica, czy prawa i porządku, jak przedstawia się prawica.

Szukające w kampaniach przed plebiscytem za konstytucją czy przeciw niej w 2022 r. oraz w wyborach nowej rady w maju tego roku było bowiem to, że nie mówiono w nich wcale o ustroju ani o zapisach konstytucji. Kampania krążyła wokół bezpieczeństwa, zagrożenia przestępczością i narkobiznesem oraz niekontrolowanej imigracji.

W obu kampaniach klęskę radykalnej lewicy oraz triumf skrajnej prawicy spowodowały demagogiczne zapędy radykałów oraz populistyczna i kłamliwa kampania prawicy. Wielu Chilijczyków w ogóle awangardowej konstytucji nie przeczytało i uwierzyło, że zabierze im ona mieszkania i oszczędności, dostęp do edukacji i służby zdrowia, a także rozbije jedność kraju.

„Najpierw zmobilizowana radykalna lewica, uznawszy się za lepszą moralnie, spisała swoje utopijne tęsknoty, ignorując wszelkie zastrzeżenia opozycji, a potem zderzyła się z opinią obywateli i straszliwie się rozczarowała” – pisze historyk myśli politycznej Ameryki Łacińskiej Carlos Granés.

A opinia obywateli, uprzednio biernych politycznie, od kilku lat martwi się nie tyle pożą-

do zamętu Chilijczycy mają dość awantur i niepewności jutra. Rozglądają się za deską ratunku, za pracą, polisą bezpieczeństwa osobistego, za gwarancjami, że spłacą kredyty oraz dostaną godziwe emerytury.

Te życiowe „problemy zwykłych ludzi” w odróżnieniu od „wydumanych” i „lewackich” zapędów radykałów umiała za uważać i wykorzystać prawica. Środowiska lewicowe, które swoją demagogią przytłoczyły nośne postulaty równościowe, straciły szansę na nowe konstytucyjne otwarcie.

W czasach zamętu kłamstwo i propaganda zyskują niezwykłą siłę rażenia i nawet niewielkie kilkuprocentowe przesunięcie sympatii wyborców może przesądzić o losach kraju na długie lata. Kłamliwa propaganda w brytyjskim głosowaniu o członkostwie w Unii w 2016 r., wybór Jaira Bolsonaro na prezydenta Brazylii w 2018 r. oraz ostatnie „konstytucyjne” głosowania w Chile dowodzą tego niezbicie.

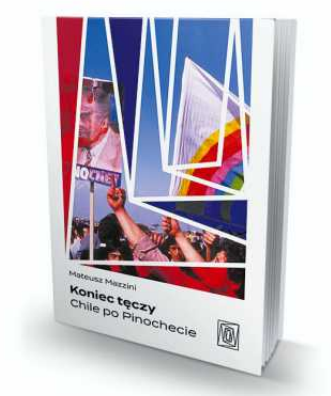
Według politycznej arytmetyki triumfuje dziś prawica, może zrobić w sprawie konstytucji, co chce. Może zignorować żądania uchwalenia nowej i zachować obecną albo posłuchać, ale uchwalić tylko kosmetyczne zmiany.

Jednak jeśli w swoich demagogicznych zapędach zechce się zemścić na pokonanych lewicowych populistach, Chile nie tylko nie dostanie nowej ustawy zasadniczej, lecz też wahadło może popłynąć z powrotem.

Jeśli zrobią konstytucję pravicową albo jakąś nową wersję obecnej, to nie ma mowy, żeby Chilijczycy ją przyjęli w referendum – mówi Paulina Vodanovic, przywódczyni partii socjalistycznej.

Skrajna prawica musi teraz udowodnić, że jest odpowiedzialna i zdolna, inaczej zderzy się z rzeczywistością, tak samo jak poprzednio zderzyła się z nią lewicowa koalicja Borica – zgadza się Granés i dodaje: – Musi zapomnieć o filofaszystowskich ciągotach, połknąć westchnienia do Pinocheta i marzenia o rządach w stylu Bukele w Salwadorze, czyli napisać konstytucję, która nie wystraszy wyborców. Inaczej pycha pravicowa zostanie odrzucona jak wcześniej pycha lewicy. ●

„Koniec Tęczy. Chile po Pinochecie” – reportersko-analityczna opowieść Mateusza Mazziniego już w dobrych księgarniach oraz w formie e-booka na stronie wydawnictwa Szczeliny.



Po latach strajków, buntów, zamieszek ulicznych, po kryzysie pandemii, wobec masowej imigracji i polityczne-

CASA NOSTRA

Łagodny kraj

Włosi odkrywają, dlaczego ich dziadkowie koło domów trzymali łodzie.

Jarosław Mikołajewski

Dziewięć ofiar śmiertelnych na czwartek rano, kiedy piszę te słowa. Wielu zaginionych. 13 tys. pozbawionych dachu nad głową. Wylaly 23 rzeki, w domowych ubikacjach wybija błoto. Dwumiesięczne opady w kilka godzin. W środku suszy nagle ulewę na ziemię, która nie jest w stanie wchłaniać deszczu. Emilia-Romania, czyli okolice Bolonii, Forlì. Wśród przyczyn – wszystkie ludzkie grzechy wobec natury. Wśród nich – bezmyślne, często nielegalne budownictwo, zacementowane studzienki, odpływy. Wśród skutków łagodnych, prawie śmiesznych – zagrożony koncert Bruce’a Springsteena w Ferrarze.

Krótkoterminowo opady mają się zmniejszać. W dalszej perspektywie – na pięć najbliższych lat – przewiduje się niespotykane wysokie temperatury.

Włochy są krajem łagodnym, uśpionym i pozwalającym spać. Do czasu. A wtedy każda anomalia klimatyczna czy geologiczna zbiera ofiary. Trzęsienia ziemi (do których porównuje się dzisiejsze powodzie), trąby powietrzne, ulewę, jak te, które kilka lat temu powaliły w Genui most Morandiego.

„Romagna nostra” – nasza Romania – krzyczy czwartkowa „La Stampa”, wyrażając solidarność, żal i dumę z regionu wyjątkowo bogatego w piękno naturalne, zabytki i ośrodki naukowe. – Na pewno nasza? – pytają dziś Włosi, mądrzy po szkodzie. Żadna z dotychczasowych tragedii nie przerwała łańcucha przestępczych działań wobec ziemi i jej środowiska. Kilkadziesiąt lat temu Elio Vittorini pisał o ziemi zranionej, obrażonej. Kiedy tragedia już się dzieje, przypominamy sobie o tych, którzy nas przed nią ostrzegali. I o dawnych, dobrych zwyczajach – choćby o tym, że jeszcze dwa pokolenia wstecz, na pozór absurdalnie, w pobliżu wiejskich domów trzymano łodzie gotowe do nagłej ewakuacji. ●

NASZA EUROPA

Scenariusze dla Tajwanu

O NIEPODLEGŁOŚCI
ANI SŁOWA

Światu zachodniemu pomogłoby w zrozumieniu Chin, gdyby spróbował odwracać narracje powszechnie przyjmowane za oczywiste. Na przykład o tym, że to Chiny są coraz bardziej agresywne, więc Amerykanie muszą przeciwdziałać. Z punktu widzenia Pekinu jest dokładnie odwrotnie.

Z **MARCINEM JACOBYM**, SINOLOGIEM, KIEROWNIKIEM ZAKŁADU STUDIÓW AZJATYCKICH SWPS W WARSZAWIE, ROZMAWIA **ŁUKASZ GRZYMISŁAWSKI**

ŁUKASZ GRZYMISŁAWSKI: 19 maja w Hiroszynie zaczął się szczyt państw grupy G7. Jego zasadniczym tematem będzie zagrożenie wojną w Cieśninie Tajwańskiej. „Musimy zademonstrować determinację G7 w utrzymaniu porządku międzynarodowego” – ogłosił minister spraw zagranicznych Japonii. Ale dodał: „Ważne jest budowanie konstruktywnych stosunków z Pekinem. Pokój i stabilność w Cieśninie Tajwańskiej, przez którą przepływa duża część światowego ruchu towarowego, są bowiem niezbędnymi elementami dla bezpieczeństwa i dobrobytu całego świata”. Ale dlaczego w ogóle Tajwan według Pekinu musi zostać przyłączony? Czy to tylko akt symbolizujący awans Chin do statusu supermocarstwa, czy też w grę wchodzi inne względy, np. to, że Tajwan to potęga w branży zaawansowanych technologii, zwłaszcza układów scalonych, w czym Chiny pozostają parę dekad za Zachodem?

MARCIN JACOBY: Pierwsza odpowiedź, najważniejsza dla samych Chińczyków z Xi Jinpingem włącznie: decyduje o tym ich przekonanie, że Tajwan pozostający poza kontrolą Chin to aberracja, błąd historii, a zaniechanie jego naprawy byłoby hańbiące.

Ten „błąd” trwa od 1949 r., czyli od momentu, kiedy armia Czang Kaj-szeka, a wraz z nią nacjonaliści z Kuomintangu, przegrywając wojnę domową z Mao Zedongiem, przenieśli się, jak wierzono wtedy, czasowo na Tajwan, gdzie miało działać państwo kontynuujące Republikę Chińską Sun Jatsena. Już wtedy komuniści, którzy założyli nowe państwo, Chińską Republikę Ludową, uznali, że Tajwan jest jego integralną częścią. Tajwan nigdy nie wchodził w skład ChRL, ale w rozumieniu Chińczyków z kon-



• Prezydentka Tajwanu Tsai Ing-wen ze swoimi generałami podczas ćwiczeń w zapobieganiu blokadzie wyspy przez armię chińską FOT. CHIANGYING-YING/AP

tydentu stanowi element tego, co uznawane jest za Chiny. Co to są za Chiny, jak kto je rozumie – tu istnieją różne odpowiedzi. Ale już w latach 70., kiedy Pekin rozmawiał z Amerykanami o nawiązaniu relacji, postulat tzw. jednych Chin był jego absolutnie kluczowym punktem. Dziś mamy nowe czynniki. Po pierwsze, strategiczno-geopolityczny. Położenie Tajwanu czyni go militarnie i handlowo ważniejszym niż kiedyś. Po drugie, tajwańskie zaawansowanie technologiczne.

Jeden kraj, dwa systemy. Tylko czy Tajwan mógłby się zgodzić na takie rozwiązanie? Przecież nie ma raczej wątpliwości, że po tym, co Pekin zrobił Hongkongowi, brutalnie likwidując de facto całą jego autonomię, Tajwańczycy nie mogą liczyć na nic innego w razie zgody na aneksję.

– No właśnie. Paradoksem rządów Xi jest to, że im dłużej trwają, tym dalej do zbliżenia Tajwanu i Chin. Zarówno wydarzenia w Hongkongu, jak i zmiany w samych Chinach, czyli coraz bardziej autorytarna, totalna i w zasadzie jednoosobowa władza, powodują, że mieszkańcy Tajwanu są coraz bardziej przeciwni jakimkolwiek próbom zbliżenia politycznego, które było prawdopodobnie jeszcze np. 20 lat temu. Szybko wzmacnia się przekonanie Tajwańczyków o swojej odrębności. Mniej więcej od 2008 r. bardzo wyraźnie widać, że na Tajwanie wykuwa się i emancypuje nowa tożsamość narodowa, w oderwaniu od chińskiej. Obecnie już ponad 60 proc. Tajwańczyków nie uważa się za Chińczyków, choć etnicznie należą do Hanów, dominujących w ChRL. Dawniej takie deklaracje były nie do pomyślenia – Tajwańczycy czuli się spadkobiercami cywilizacji i kultury chińskiej; obecnie nie jest to element dominujący w ich samookreśleniu się. I to jest coś, co powoduje, że Tajwan łączący się z Chinami w takim procesie jak Makao i Hongkong trudno sobie obecnie wyobrazić.

Każdy, kto przyjeżdża na Tajwan, musi zauważyć, że ten 24-milionowy kraj nie

żyje w specjalnym strachu przed wojną. Prezydent Tsai Ing-wen, liderka niepodległościowej Demokratycznej Partii Postępu, wygrywając reelekcję trzy lata temu, zdobyła niemal 60 proc. głosów – najlepszy wynik od czasów, kiedy ten kraj zaczął organizować wybory. Co to może oznaczać dla planów Pekinu?

– Trzeba uściślić, że Demokratyczna Partia Postępu wyrosła z tradycji niepodległościowej, natomiast już od wielu lat nie mówi wprost o niepodległości. Jest to tabu właściwie dla wszystkich głównych sił politycznych na Tajwanie. Mówi się o tożsamości Tajwanu, chwali się tym, że Tajwan jest zaawansowaną demokracją liberalną, natomiast głośno nie mówi się o aspiracjach, żeby ogłosić niepodległość.

Są trzy scenariusze. Połączenie z Chińską Republiką Ludową, czyli aneksja – to coś, czego Tajwańczycy się boją niezależnie od tego, jakie są ich zapatrywania polityczne. Drugi to utrzymanie status quo, mimo że Tajpej jest dziś uznawane jedynie przez garstkę małych państw plus Watykan. A trzeci to oddzielenie się Tajwańczyków od tożsamości chińskiej, prowadzące kiedyś do ogłoszenia niepodległości. I to ostatnie jest absolutnie czerwoną linią.

Reelekcja Tsai Ing-wen w 2020 r. to przykład, jak to działa. Po pierwszej kadencji miała kiepskie notowania. Ale wtedy w sukurs przyszły jej wydarzenia w Hongkongu, brutalne stłumienie protestów demokratycznych, pokazanie prawdziwej twarzy przez chiński reżim. Tutaj widzimy, jak silnie polityka wewnętrzna Chin wpływa na decyzje sąsiadów.

Niedawno z grona ostatnich kilkunastu państw uznających Tajwan wykruszył się Honduras. W tej chwili największym krajem w tej grupie jest Paragwaj. Mimo to Pekin nadal dąży do pogłębienia izolacji Tajwanu, przekupując kolejne rządy, zwłaszcza tam, gdzie Tajwan mówi „dość” tzw. dyplomacji książeczki czekowej.

Kiedy niedawno Tsai Ing-wen odbyła podróż – z międzylądowaniami w USA – do Ameryki Środkowej, jeden z liderów Kuomintangu udał się do Chin, by – oficjalnie – odwiedzić groby bliskich. Czy Pekin przygotowuje na Tajwanie swoją piątą kolumnę?

– To nie był pierwszy lepszy polityk, tylko Ma Ying-jeou, czyli były mer Tajpej, a potem prezydent, najważniejszy polityk Kuomintangu. Partia Narodowa od wielu lat stara się prowadzić dialog z Pekinem, co w 2014 r. spotkało się z oporem społecznym, tzw. protestami słoneczników (przeciwko dotyczącej sektora usług umowie z Pekinem). Protesty zmusiły ówczesny rząd do uznania, że większość Tajwańczyków jest już przeciwna szybkiemu zbliżeniu.

„Dyplomację książeczki czekowej” prowadzili i Tajwańczycy, i Chińczycy kontynentalni – od momentu, kiedy w 1971 r. Republika Chińska opuściła ONZ. Odtąd Pekin konsekwentnie alienował Tajwan: nie dopuszczał do różnych struktur międzynarodowych, wywierał presję na innych, żeby wypowiadali stosunki z Tajpej. Jeszcze dwa lata temu Tajwan uznawało 17 państw, teraz 13. Tajwan próbował przelicytować Pekin, w polityce prorozwojowej, inwestycjach, współpracy innowacyjnej. Z czasem potencjał Pekinu przerósł możliwości Tajwanu.

Do tego, podobnie jak Chiny, Tajwan także jest krajem dość hermetycznym, np. niechętnie patrzy na imigrację. Tajwańczycy współczują ludziom z Hongkongu, przyjęli uciekinierów, ale dało się zauważyć pewne schadenfreude, bowiem zawsze uważali Hongkończyków za zadzierających nosa, teraz boleśnie utartego przez Pekin.

– Oprócz tego mamy na Tajwanie taki podział, że Demokratyczna Partia Postępu jest bardzo proamerykańska. A Partia Narodowa jest bardziej zniuansowana i cały czas szuka jakiegoś rozwiązania, bezpośrednich rozmów z partią komunistyczną w Chinach – nie żeby doprowadzić do aneksji, ale ponieważ uważa, że w jakiś sposób z Chińczykami z kontynentu trzeba się dogadać i budować relacje, które w długiej perspektywie spowodują, że Tajwan będzie mógł dalej się stabilnie rozwijać. To dwa różne podejścia, ale oba mają na celu zachowanie niezależności i demokracji na Tajwanie.

Na pytanie, co może zrobić Zachód, żeby ochronić Tajwan, przychodzi na myśl być może naiwne rozwiązanie: co, gdyby najbardziej uprzemysłowione kraje świata w jednej chwili na nowo uznały Tajwan, nie deklarując jednocześnie zerwania stosunków z Pekinem? Czy Chińczycy mieliby inne wyjście, niż stopniowo to zaakceptować? Ostatnio swoje wsparcie dla Tajpej mocno demonstrowały takie kraje, jak Litwa, Czechy, nawet Niemcy – nie spotkało się to z dotkliwymi reperkusjami ze strony Pekinu.

– To nie jest takie proste. ChRL nie tylko ma w konstytucji zapis o tym, że Tajwan jest jej integralną częścią, ale też prowadzi od lat niezwykle silną propagandę wewnętrzną, która

NASZA EUROPA

powoduje, że każdy jej obywatel w takiej sytuacji uznałby, że to akt wypowiedzenia wojny. I wydaje mi się, że tego typu deklaracja byłaby wbrew interesom tajwańskim, bo zapewne faktycznie doprowadziłaby do konfliktu zbrojnego. A to byłaby tragedia dla wszystkich. Nie widzę nikogo, kto mógłby na tym konflikcie zyskać. Nic nie zyskałyby USA, na pewno straciłby najwięcej Tajwan, który zamieniłby się w Ukrainę-bis. I nie zyskałyby również Chiny.

Ale wydają 300 mld dol. rocznie na zbrojenia. Czy chińska armia, która nigdy nie prowadziła wojny inwazyjnej, jest w ogóle zdolna do skutecznych operacji przeciwko najbardziej doświadczonej flocie świata? Ponadto Tajwan ze swoim ukształtowaniem to nie jest wyspa, którą łatwo podbić, zwłaszcza gdyby postanowiła się bronić. Niedawno szef koncernu TSMC, potentata w branży mikroczipów, oznajmił, że przedzej wysadzi swoje fabryki, niż odda je Chińczykom.

– Ja się przeciwstawiam takiej narracji, że Chiny dążą do konfliktu zbrojnego. I wydaje mi się, że tak naprawdę jest odwrotnie: to raczej ze strony USA widać próby pchania Chin w kierunku ekstremalnych decyzji.

Chiny od lat próbują oddziaływać na Tajwan poprzez presję finansową, dyplomatyczną, poprzez dezinformację i różne inne działania. Tego nie można kwestionować.

Natomiast wydaje mi się, że musiałby nastąpić jakiś przełom, który trudno nam sobie wyobrazić, aby Chiny rzeczywiście chciały się zdecydować na atak zbrojny.

USA nigdy nie dawały Tajwanowi pełnych gwarancji polegających na tym, że ruszą z odsieczą w razie ataku Chin. Oczywiście istnieje tzw. sześć zapewnień Reagana z 1982 r. czy ustawa Taiwan Relations Act, którą Kongres nieco osłodził Tajwańczykom decyzję Nixona i Kissingera o tym, że wołał stosunki z Chinami kontynentalnymi.

Jeśli chodzi o TSMC, czyli zakłady produkujące najlepsze, najbardziej zminiaturyzowane półprzewodniki na świecie, to nie jest tylko fabryka na Tajwanie, lecz cały międzynarodowy łańcuch dostawców, którzy zapewniają konieczne chemikalia, komponenty, maszyny – złożona układanka, w której Tajwan odgrywa ważną rolę, ale również Japonia, Niemcy, Holandia i przede wszystkim USA. Gdyby te fabryki zostały zniszczone, to wszystkie najbardziej zaawansowane firmy na świecie mają gigantyczny problem. Nie tylko Chińczycy, ale my wszyscy musielibyśmy bardzo długo czekać na nowe samochody, smartfony, tysiące produktów. Świat wkroczyłby w najgłębszą recesję.

Do niedawna pytanie, czy Amerykanie ruszą wyspie na pomoc, prezydenci USA faktycznie pozostawiali bez odpowiedzi, stosując zasadę tzw. strategicznej niejednoznaczności. Ale jednak Joe Biden oznajmił, że gdyby doszło do chińskiego ataku, USA się nie zawahają. Myśli pan, że to tylko element presji dyplomatycznej? – To jest element gry w coraz trudniejszych relacjach amerykańsko-chińskich, ale ryzykownej, bo działa na Chińczyków jak płachta na byka – i nakręca spiralę. Dlatego Biały Dom łagodził słowa Bidena.

Ameryka zbroi Tajwan, jest obecna militarnie na wodach regionu. Natomiast co by zrobiła, a także jak zachowałiby się jej sojusznicy? Byłby to naprawdę krytyczny test wartości sojuszy oraz co dla kogo one oznaczają, bo każdy ma tu swoje interesy.

Japonia właśnie odchodzi od doktryny pacyfizmu zapisanej w powojennej konstytucji, przeznaczając olbrzymie pieniądze na armię. Amerykański sekretarz stanu Antony Blinken intensywnie rozmawia z rządami państw regionu Indo-Pacyfiku, które również są zaniepokojone agresywnością Chin, m.in. zaofierował Wietnamowi strategiczne partnerstwo, z Filipinami odnowił zaawansowany sojusz militarny,

uzyskując z powrotem dostęp do ich portów i baz. Pod naciskiem Waszyngtonu dzieje się rzecz niebywała: pojednanie między Tokio a Seulem, przynajmniej na poziomie politycznym. Dlaczego państwa Azji Wschodniej tak boją się Pekinu, że odkładają na bok urazy żywione względem siebie i wobec Ameryki?

– Nie jestem rzecznikiem Chin i nie usprawie-dliwiam ich polityki, ale wydaje mi się, że światu zachodniemu pomogłoby w ich zrozumieniu, gdyby próbował odwracać narracje powszechnie przyjmowane za oczywiste. Np. o tym, że to Chiny są coraz bardziej agresywne, więc Amerykanie muszą zacieśniać sojusze.

Z punktu widzenia Pekinu jest inaczej: to najpierw Amerykanie się przestraszyli rosnącego potencjału Chin i to oni, realizując swoją na to odpowiedź, skłaniają świat do dużo większej aktywności, żeby przeciwstawić się Chinom. To więc raczej Chiny są tu stroną reagującą na działania USA, które z kolei wynikają ze zrozumienia, jak potężne stają się Chiny. Czyli chodzi nie o agresywność Chin, tylko o to, że Chiny stały się tak mocne, że Amerykanie przestraszyli się, że utracą dominację w regionie Azji i Pacyfiku.

Japonii nie muszą namawiać do współpracy ze sobą, za to z Koreańczykami – to bardzo trudne. Do niedawna polityka Seulu polegała na balansowaniu pomiędzy USA a Chinami i była bardzo antyjapońska. Jednak nowy prezydent Yoon Suk-yeol, wbrew większości społeczeństwa, pojednawczo wyciągnął dłoń do Japonii. Waszyngtonowi zależy, aby odłożyć niezalatwione żale o zbrodnie armii cesarskiej podczas II wojny światowej i by Tokio i Seul bez niesnasek stały u boku Stanów. Dla Pekinu premier Japonii ściskający się z prezydentem Korei Płd. to dowód na budowanie antychińskiego sojuszu u swoich granic.

Niedawno prezydent Francji Emmanuel Macron zaznaczył, lecąc zresztą na spotkanie z Xi Jinpingiem, że ewentualna wojna z Tajwanem „nie będzie naszym kryzysem”. W jakim stopniu Tajwan jest istotnym partnerem gospodarczym Europy? Inaczej mówiąc, co przemawia za jego obroną przed zakusami Chin?

– Biorąc pod uwagę liczbę, Chiny są dużo ważniejsze – tylko że względy ekonomiczne są coraz mniej istotne. Teraz na znaczeniu zyskują kwestie geopolityczne i ideologiczne. I kiedy USA wołał podzielić świat zimnowojennie

zależności gospodarcze. Jakie ustępstwa Zachodu Pekin może uznać za wystarczające, by zakopać topór wojenny, zawiesić „wilczą dyplomację” i wspólnie zając się globalnymi wyzwaniami w rodzaju zmian klimatu – czyli stworzyć nową erę?

– To trudne pytanie, a ja też bym je odwrócił i zapytał, na ile USA są skłonne uznać przewagę chińską w niektórych obszarach. Bo można powiedzieć, że trwa amerykański odwrót od globalizacji, od kanonicznych zasad wolnego rynku – i jest to spowodowane strachem przed Chinami. Chińczykom nie zależy na konfliktach zbrojnych, boją się zwłaszcza starcia ze Stanami, bo wiedzą, że są słabsze militarnie. I nie chcą też ograniczeń, które wprowadzają Amerykanie, by ochronić swoją dominację.

Mówi pan, że Amerykanie są agresywniejsi w tej konfrontacji. Ale to Xi Jinping mówił niedawno towarzyszom z politbiura: „Zachód ze Stanami Zjednoczonymi na czele dąży do powstrzymania, izolacji i pozbycia się konkurencji ze strony Chin, co powoduje bezprecedensowe wyzwania dla naszego rozwoju. Chiny muszą mieć odwagę stanąć do walki”.

– Chińczycy chętnie przywitaliby powrót do zasad wolnego handlu, koniec presji Ameryki na państwa, żeby ograniczały współpracę technologiczną czy wymianę towarową z Pekinem – bo Chiny wiedzą, że po prostu w długiej perspektywie wygrają takiego typu rywalizację.

Ale inni też to wiedzą – i dlatego powrotu do otwartego świata z końca lat 90. nie ma. Więc wydaje mi się, że dla dobra i pokoju światowego dobrze by było, żeby Chiny ze Stanami się dogadały i nauczyły się współegzystować na zasadach choćby w miarę równej rywalizacji. Dziś żadna strona nie gra fair, ani Chiny, mocno subsydiując swój przemysł, ani USA, wprowadzając cła i embarga i próbując uderzyć w chiński rozwój technologiczny. To jest klasyczne starcie dwóch gigantów, wschodzącego ze starym. Obaj muszą się dopiero nauczyć współpracować.

Czy to nie jest jednak zasadniczy problem, że Chiny cały czas budują swoisty świat alternatywny – z innymi encyklopediami, innymi kronikami historycznymi, z blokadą informacyjną, z osobnym kanonem wartości? Czy świat może harmonijnie funkcjonować podzielony tak hermetycznie na dwa osobne podświaty?

Gdyby fabryki na Tajwanie zostały zniszczone, to wszystkie najbardziej zaawansowane firmy na świecie mają gigantyczny problem. Nie tylko Chińczycy, ale też my wszyscy – koniec z łatwym dostępem do tysięcy kluczowych produktów. Świat wkroczyłby w najgłębszą recesję

na dwie części, czyli na Chiny z Rosją z jednej strony, z drugiej strony na państwa demokratyczne, inni mają dylemat, co z tym zrobić. Unia Europejska stara się na razie balansować, unika narracji zero-jedynkowej, a większość państw azjatyckich jeszcze wyraźniej daje sygnał Amerykanom, że nie będą bezwarunkowo iść w sojusz militarny ze Stanami kosztem zupełnego przekreślenia relacji gospodarczych z Chinami. Chcą mieć partnerstwo z oboma potęgami. UE oczywiście jest gotowa na chronienie interesów tajwańskich, ale też nie za wszelką cenę. Po to były ostatnie wizyty Macrona i Scholza w Pekinie, żeby dać znak, że Unia prowadzi własną politykę, która jest bliska amerykańskiej – ale nie jest z nią tożsama.

Zdaniem wielu analityków na świecie jest miejsce dla dwóch superpotęg, amerykańskiej i chińskiej. I można, a nawet należy dogadać się z Chinami, które są na tyle pragmatyczne, by uznać wzajemnie

– Nie, nie może. Ale sporo spośród tych alternatywnych rozwiązań wynika z faktu, że Chiny uważają, że nie są wpuszczane do tych gremiów, które do tej pory są kontrolowane przez Amerykę. Przede wszystkim chodzi o Bretton Woods, czyli cały system finansowo-bankowy oparty na dolarze, na którym po II wojnie światowej zbudowano globalizację. Chiny uważają, że mają za mało do powiedzenia w organizacjach takich jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy czy Bank Światowy. Już mocno weszły w struktury ONZ i tam mają coraz więcej wpływów, co niepokoi państwa zachodnie – i rzeczywiście, jeżeli Chiny uznają, że jedyną opcją jest budowanie alternatywnego świata, to będą go budować.

Natomiast jeżeli uznają, że mogą zwiększyć wpływy, grając w grę, której zasady zostały ustalone przez Zachód, to będą grały – tylko że będą wygrywać. I to też pytanie do nas: czy jesteśmy w stanie wyobrazić sobie świat, w którym system monetarny jest w dużej mierze kontrolowany przez Chiny,

ONZ realizuje pewne interesy chińskie itd. Jeżeli zaakceptujemy taki świat, to będzie w miarę stabilny. A jeżeli nie, to będziemy mieli dwa wrogie bloki, których rywalizacja będzie nas ograniczać.

Ale jak współpracować z partią, która dla swoich obywateli ma totalną inwigilację, organizację życia społecznego jak z Orwella, dla nieposłusznych – system wyrafinowanych kar? A do tego oferuje ten model na eksport?

– Nie sądzę, żeby Chiny wierzyły w udany eksport swojego ustroju do innych państw. Ich system jest bardzo specyficzny, to skrzyżowanie jedynowładztwa leninowskiej partii oraz rodzimej, wielowiekowej tradycji politycznej.

Jestem zwolennikiem podejścia, w którym pomagamy pojedynczym osobom szukającym wolności i poszanowania swoich praw, ale akceptujemy świat, w którym istnieją różne ustroje polityczne i różne systemy. Słusznie oburza nas naruszanie praw człowieka w Chinach, ale jeśli chcemy być uczciwi, zapytajmy, gdzie przez ostatnie 40 lat podziwiała się nasze zasady, że tak chętnie współpracowaliśmy z Chinami, czyżby dopiero teraz stały się autorytarne? Ponadto czy sankcjami możemy doprowadzić do zmiany ustroju w Chinach?

Gdy w marcu Xi Jinping pojechał do Moskwy, nierównowaga sił w tym tandemie stała się bardzo widoczna. „Rosja jest teraz dla Chin tanią stacją benzynową” – tak skomentował to dyrektor Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa. Przez swoją samoizolację z powodu wojny z Ukrainą Moskwa jest teraz, używając terminologii samych Chińczyków, „młodszym partnerem”. Do jakiego momentu to rozgrywanie wojny w Ukrainie na swoją korzyść będzie dla Pekinu atrakcyjną opcją?

– Wojna w Ukrainie nie jest na dłuższą metę Chinom na rękę. Nie pomaga w rozwiązaniu kwestii tajwańskiej, zaburza globalny obrót towarów, antagonizuje Europę, wzmacnia NATO. Mają z tym problem wizerunkowy, ale przede wszystkim podważają własną tradycję polityczną, w której nie było miejsca na ingerencje jednych państw w sprawy innych, a był nacisk na szanowanie jedności terytorialnej itd.

Natomiast Chiny chcą dalszego istnienia mającej coś do powiedzenia Rosji i będą ją wspierać, dopóki uznają to za stosowne – po to, żeby Rosja nadal była ważnym graczem. To nie jest tylko kwestia tanich surowców rosyjskich, ale także pozyskiwanie strzeżonych dotąd przez Moskwę zaawansowanych technologii militarnych, obecność Rosji w ONZ, długa granica, którą dzieli z Chinami i którą Chiny chcą mieć stabilną. A także uznanie USA za wspólnego wroga – to łączy Moskwę ze światopoglądem Pekinu.

To właśnie konfrontacja z USA kieruje Pekinem – ale jeżeli uzna, że wspieranie Rosji przestało w tym pomagać, to z dnia na dzień z Rosją się pozegnąją. Także Moskwa rozumie, że to nie jest sojusz stabilny, tylko małżeństwo z rozsądku – bardzo niewygodne dla obu stron. Na razie trwa, ale nie ma w nim miłości. ●



ROZMOWA DOSTĘPNA
TAKŻE JAKO
PODCAST 8:10

NASZA EUROPA

Najważniejszy konflikt świata

CZY MOŻEMY
DOGADAĆ SIĘ Z CHINAMI?
POWINNIŚMY

Jesteśmy teraz jak dwa wielkie goryle patrzące na siebie przez dziurkę od klucza. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Thomas L. Friedman THE NEW YORK TIMES

Właśnie wróciłem z Chin, gdzie byłem po raz pierwszy od wybuchu pandemii. Powrót do Pekinu przypomniał mi pierwszą zasadę dziennikarstwa: nie jedziesz, nie wiesz. Stosunki między naszymi krajami pogorszyły się tak bardzo i tak szybko, w znacznym stopniu ograniczyły się też nasze kontakty – w Chinach zostało niewielu amerykańskich reporterów, a nasi przywódcy prawie nie rozmawiają – że jesteśmy teraz jak dwa wielkie goryle patrzące na siebie przez dziurkę od klucza. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Niedawna wizyta w USA prezydentki Tajwanu Tsai Ing-wen – skłoniło to Pekin do zorganizowania u wybrzeży Tajwanu ćwiczeń z użyciem ostrej amunicji oraz ponownego ostrzeżenia, że pokój i stabilizacja w Cieśninie Tajwańskiej są nie do pogodzenia z jakimikolwiek aspiracjami Tajwanu do formalnej niepodległości – była kolejnym przypomnieniem tego, jak gorąca panuje tam atmosfera. Najmniejszy błąd którejś ze stron może doprowadzić do wybuchu wojny amerykańsko-chińskiej, przy której rosyjsko-ukraińska wyglądałaby jak sąsiadzka kłótnia.

To jeden z wielu powodów, dla których warto wrócić do Pekinu i móc obserwować Chiny przez otwór większy niż dziurka od klucza. Udział w China Development Forum, dorocznym pekińskim forum liderów lokalnego i globalnego biznesu, ważnych chińskich polityków, dyplomatów i dziennikarzy, przypomniał mi pewne stare, istotne prawdy, ukazując w nowym, zdumiewającym świetle to, co tak naprawdę trapi stosunki amerykańsko-chińskie.

To, co nowe, ma wiele wspólnego z coraz ważniejszą rolą zaufania lub jego braku w stosunkach międzynarodowych, bo wiele towarów i usług, które Stany Zjednoczone i Chiny sprzedają sobie nawzajem, ma dziś cyfrowy charakter, a więc podwójne zastosowanie – mogą być zarówno bronią, jak i narzędziem. I właśnie dziś, kiedy zaufanie między Stanami a Chinami stało się ważniejsze niż kiedykolwiek, bardziej niż kiedykolwiek go brakuje. To zły trend.

Powrót do Pekinu przypomniał mi również, ilu ludzi tam poznałem i polubiłem przez trzy dekady reporterskich wizyt – ale

proszę nie mówić nikomu w Waszyngtonie, że to powiedziałem. Trwa bowiem swego rodzaju rywalizacja między Demokratami i Republikanami o to, kto ostrzej mówi o Chinach. Po prawdzie ostatnio oba kraje tak bardzo zdemonizowały się nawzajem, że łatwo zapomnieć, ile nas łączy jako ludzi. Nie znam też żadnego dużego kraju po Stanach Zjednoczonych prócz Chin, który miałby mocniej zakorzenioną protestancką etykę pracy i naturalnie kapitalistyczne predylekcje.

Powrót przypomniał mi wreszcie ogromne znaczenie tego, co Chiny zbudowały od otwarcia się na świat w latach 70., a nawet od wybuchu pandemii w 2019 r. Partia komunistyczna skuteczniej niż kiedykolwiek kontroluje społeczeństwo dzięki policyjnemu nadzorowi i cyfrowym systemom monitoringu – technologia rozpoznawania twarzy jest wszechobecna. Partia rozprawia się z wszelkimi próbami kwestionowania jej rządów i zakresu władzy prezydenta Xi Jinpinga. Dzisiaj bardzo trudno przyjeźdnemu komentatorowi skłonić kogokolwiek do rozmowy – wysokiego urzędnika czy baristę ze Starbucksa. Jeszcze dziesięć lat temu wyglądało to inaczej.

To powiedziawszy, pozbadźmy się złudzeń. Władza komunistów jest też efektem ciężkiej pracy i oszczędności Chińczyków, które umożliwiły partii i państwu stworzenie infrastruktury na wysokim poziomie i udogodnień publicznych, dzięki którym chińskiej klasie średniej i niższej żyje się coraz lepiej.

Zwłaszcza Pekin i Szanghaj są dziś miastami przyjaznymi człowiekowi, zanieczyszczenie powietrza przestało być w dużej mierze problemem, powstało też wiele nowych zielonych przestrzeni. Jak donosił w 2021 r. mój kolega z „New York Timesa” Keith Bradsher, Szanghaj założył ostatnio 55 nowych parków, a w planach ma jeszcze prawie 600.

Keith, jeden z nielicznych amerykańskich reporterów, którzy przenieśli się do Chin kontynentalnych prawie trzy lata rygorystycznej polityki „zero COVID”, zwrócił mi uwagę, że w 900 chińskich miastach i miasteczkach funkcjonuje dziś szybka kolej umożliwiająca niewiarygodnie tanie i wygodne podróżowanie do najodleglejszych rejonów. Przez minione 23 lata w USA powstała zaledwie JEDNA linia szybkiej kolei – Acela, obsługująca 15 przystanków między Waszyngtonem a Bostonem.

Nie chcę przez to powiedzieć, że szybkie pociągi są lepsze od wolności. Chodzi o przypomnienie, że chińska stabilizacja jest wytworem tyle coraz bardziej rozbudowanego państwa policyjnego, ile działani rządu, który

stale podnosi standard życia. Dla tego reżimu kluczowa jest zarówno absolutna kontrola, jak i modernizacja kraju.

Lot z nowojorskiego lotniska JFK na lotnisko w Pekinie przenosi Amerykanina z zatłoczonego dworca autobusowego do di-snejowskiej krainy jutro. Dlatego chce mi się płakać na myśl o czasie, jaki zmarnowaliśmy przez ostatnie osiem lat, rozmawiając o fałszywym budowniczym kraju nazwiskiem Trump.

CHATGPT OSZCZĘDZA
CZAS PRZY ROZPRAWKACH
IDEOLOGICZNYCH

Pierwszego dnia w Pekinie rozmawiałem z chińską studentką. Jej pierwsze pytanie nawiązywało do mojej książki: „Panie Friedman, czy świat nadal jest płaski?”.

Wyjaśniłem, dlaczego według mojej definicji jest on bardziej płaski niż kiedykolwiek – że dzięki stałemu rozwojowi środków łączności i cyfryzacji więcej osób może rywalizować, komunikować się i współpracować nad większą liczbą problemów za mniejsze pieniądze, z większej niż dotąd liczby miejsc. Za mego pobytu w Pekinie uderzyło mnie to, jak mocno skomunikowani są wykształceni Chińczycy i jak łatwo obchodzą dziś cyfrowe firewalle.

Miałem wrażenie, że nie całkiem ją przekonałem. Przeszliśmy do innych tematów, a wtedy ona rzuciła: „Ja po prostu użyłam ChataGPT”.

Odparłem: „Używa pani ChataGPT z Pekinu i pyta mnie, czy świat jest nadal płaski?”.

Faktycznie, po Pekinie krąży opowieści o tym, że wielu młodych Chińczyków, żeby nie tracić czasu, zaczęło używać ChataGPT do pisania obowiązkowych wypracowań na tematy ideologiczne.

To zabawne, my tu się martwimy o stan lotniska JFK i obawiamy, że Chiny zdystansują nas w wyścigu po AI, tymczasem amerykański zespół OpenAI wymyśla wiodące w świecie narzędzie przetwarzania języka naturalnego, umożliwiające użytkownikowi prowadzenie ludzkich rozmów, zadawanie dowolnych pytań i uzyskiwanie wyrafinowanych odpowiedzi w każdym ważniejszym języku, w tym po mandaryńsku.

Chiny szybko zdobyły przewagę w pracach nad AI w dwóch dziedzinach – technologii rozpoznawania twarzy i historiach choroby – bo praktycznie nie ma tam żadnej ochrony prywatności, co pozwala tworzyć ogromne bazy danych w celu szukania wzorców dla algorytmów uczenia maszynowego.



Jednak generatywna AI, taka jak ChatGPT, umożliwia każdemu – od rolnika po profesora uniwersytetu – zadawanie dowolnych pytań na dowolne tematy we własnym języku. Może to stworzyć duży problem dla Chin, które będą musiały wbudować wiele barier w swoje generatywne systemy AI, żeby ograniczyć zakres pytań, które mogą zadawać chińscy obywatele, i tego, co może im odpowiedzieć algorytm. Jeśli nie można spytać systemu, o co się chce, np. co stało się na placu Tiananmen 4 czerwca 1989 r., i jeśli nasza AI będzie próbowała ustalić, co, gdzie i kogo ocenzurować, spadnie jej efektywność.

– ChatGPT skłania niektórych do pytania, czy USA znów się podniosą jak w latach 90. – powiedział mi chiński politolog Dingding Chen.

„ROZUMIEM WASZE
UCZUCIA. PRZEZ STO LAT
BYLIŚCIE PIERWSI, A TERAZ
SPADACIE NA DRUGĄ
POZYCJĘ”

Z tych powodów popularną rozrywką elit w obu naszych krajach stały się rozważania na temat zmieniającego się stosunku sił między Ameryką a Chinami. Na przykład dzięki mediom społecznościowym wielu Chińczyków zapoznało się z fragmentami przesłuchania 23 marca na Kapitolu, podczas którego członkowie Kongresu przepytali – a właściwie strofowali i pouczali – dyrektora naczelnego TikToka Shou Chew, twierdząc, że jego filmy szkodzą zdrowiu psychicznemu amerykańskich dzieci.

Jeden z najpopularniejszych chińskich blogerów Hu Xijin, mający prawie 25 mln obserwujących na Weibo (chiński odpowiednik Twittera), opowiadał mi, jak bardzo obraźliwe było dla Chińczyków to przesłuchanie, szeroko i sztyderczo komentowane w chińskiej sieci.

Tyle powiedziawszy, dodajmy, że YouTube jest zakazany w Chinach od 2009 r., więc nie tylko my boimy się popularnych aplikacji.

– Rozumiem wasze uczucia. Przez sto lat byliście pierwsi, a teraz Chiny rosną i mają

NASZA EUROPA



potencjał, żeby was wyprzedzić, i to nie jest dla was łatwe – powiedział mi Hu. – Nie powinniście jednak powstrzymywać rozwoju Chin. W końcu nie dacie rady. Jesteśmy dość inteligentni, pracowici i mamy 1,5 mld ludzi.

– Nigdy nie sądziliśmy, że stosunki Chiny – USA będą kiedykolwiek tak złe – mówił przed prezydenturą Trumpa. – Teraz stopniowo akceptujemy tę sytuację, większość Chińczyków uważa, że nie ma szans na lepsze relacje. Uważamy, że będą one coraz gorsze, i mamy tylko nadzieję, że nie dojdzie do wojny.

Takie powtarzające się rozmowy jak ta sprawiły, że zacząłem pytać amerykańskich, chińskich i tajwańskich inwestorów, analityków i polityków o coś, co dręczy mnie od jakiegoś czasu – o co właściwie walczą ze sobą Ameryka i Chiny?

Słyszając moje pytanie, wielu się zawahało. I wielu odpowiadało coś w rodzaju: „Nie mam pewności, ale wiem, że to ICH wina”.

Jestem pewien, że taką samą odpowiedź dostałbym w Waszyngtonie.

RYWALIZACJA POŁĄCZONYCH SYSTEMÓW

Natomiast prawdziwa odpowiedź jest o wiele głębsza i bardziej złożona niż jedno słowo: „Tajwan”, lub trzy słowa: „autokracja kontra demokracja”. Spróbujmy dotrzeć do kolejnych jej warstw.

Erozja stosunków amerykańsko-chińskich ma stary, oczywisty powód, jakim jest tradycyjna rywalizacja między wielkimi mocarstwami, z których jedno jest obecnie na szczycie, a drugie rośnie, lecz towarzyszy temu wiele zwrotów akcji, które nie zawsze widać gołym okiem.

Oczywistym powodem jest to, że Chiny i Ameryka chcą zdobyć ekonomiczną i militarną przewagę, by móc ukształtować reguły gry w XXI w. w sposób jak najkorzystniejszy dla ich systemów gospodarczych i politycz-

nych. Jedną z tych spornych reguł, którą Ameryka uznała, ale nie poparła, są roszczenia Chin do Tajwanu jako części „jednych Chin”.

Jako że ta reguła jest sporna, będziemy nadal zbroić Tajwan, by uniemożliwić Pekinowi zajęcie wyspy, zniszczenie tamtejszej demokracji i wykorzystanie jej jako bazy wypadowej do zdominowania reszty Azji Wschodniej. A Chiny będą żądać zjednoczenia – w ten czy inny sposób.

Jednym ze zwrotów akcji jest to, że ta typowa rywalizacja mocarstw toczy się pomiędzy narodami gospodarczo równie splecionymi, jak nici DNA. Dlatego ani Chiny, ani Ameryka nigdy nie miały takiego jak teraz rywala.

Ameryka potrafiła radzić sobie z nazistowskimi Niemcami, potęgą równą jej gospodarczo i militarnie, ale taką, z którą nie mieliśmy silnych więzi ekonomicznych. Ameryka umiała postępować ze Związkiem Radzieckim, równym jej militarnie, lecz w żadnej mierze pod względem gospodarczym – krajem, z którym nie mieliśmy praktycznie żadnych więzi gospodarczych.

Chiny podobnie: przez kilka tysięcy lat uważały siebie za kraj położony w środku świata – stąd nazwa własna Zhong Guo, Państwo Środka, chronione ze wszystkich stron przez góry, pustynie i morza, często dominujące nad państwami ościennymi, a zarazem zazdrośnie strzegące własnej kultury. Tak było do XIX w., kiedy wielokrotnie najeżdżały je silniejsze mocarstwa – Wielka Brytania, Francja, Rosja i Japonia.

Jednak w naszych czasach Chiny – podobnie jak Ameryka – nigdy nie miały do czynienia z kimś naprawdę równym im gospodarczo i militarnie, z kim byłyby jeszcze silnie splecione przez handel i inwestycje.

Jak silny to spłot? Ulubionym narzędziem Amerykanów jest iPhone składany głównie w Chinach, a ulubionym zagranicznym celem chińskich studentów – obecnie około 300 tys. – była do niedawna Ameryka. Dlatego dochodzi do dziwnych sytuacji, np. jeden kraj ze-

strzeliwuje balon wywiadowczy drugiego tuż po tym, kiedy oba – w 2022 r. – ustanawiają rekord w obrotach dwustronnych.

FENOMEN PODWÓJNEGO ZASTOSOWANIA

Inna nowość i powód, dla którego trudno powiedzieć dokładnie, o co walczymy, ma wiele wspólnego z nagłym wzrostem w relacjach międzynarodowych słabo uchwytniej kwestii zaufania – i jego braku.

To produkt uboczny naszego nowego technologicznego ekosystemu, w którym coraz więcej urządzeń i usług, z których korzystamy i którymi handlujemy, wykorzystuje mikroprocesory i oprogramowanie, łącząc się z bazami danych w chmurze za pomocą szybkiego internetu. Po digitalizacji i połączeniu tak wielu produktów i usług wiele z nich zyskało „podwójne zastosowanie”. To technologie, które można łatwo przekształcić z narzędzi cywilnych w broń wojskową i odwrotnie.

W czasach zimnej wojny można było jednoznacznie nazwać myśliwiec bronią, a telefon narzędziem. Kiedy jednak coraz więcej rzeczy wyposażamy w zdolność wyczuwania, digitalizacji, łączenia, przetwarzania, uczenia się, dzielenia się z innymi i działania w coraz liczniejszych urządzeniach – od telefonu z GPS-em przez samochód po toster i ulubioną aplikację – wszystkie one zyskują podwójne zastosowanie, są bronią lub narzędziem zależnie od tego, kto kontroluje działające w nich oprogramowanie i kto dysponuje danymi, które przekazują.

Dzisiaj tylko kilka linii kodu odróżnia autonomiczny samochód od autonomicznej broni. I jak widzimy w Ukrainie, smartfonem może posłużyć się babcia, żeby zadzwonić do wnuków lub do ukraińskiej jednostki odpalającej rakietę, której poda współrzędne GPS rosyjskiego czołgu stojącego na jej podwórku.

To prowadzi do jeszcze dziwniejszych zwrotów akcji. Myślę choćby o tym, jak w kilku jednostkach armii amerykańskiej zakazano instalowania TikToka na służbowych smartfonach i komputerach. To z pewnością pierwszy przypadek zakazania przez Pentagon apki używanej głównie do dzielenia się ruchami tanecznymi. Jednak realna jest obawa, że silnie uzależniający algorytm TikToka ma podwójne zastosowanie i może zostać wykorzystany przez chiński wywiad do gromadzenia danych o naszej młodzieży – ponad 150 mln Amerykanów pobrało tę aplikację! – żeby programować jej mózgi, szerzyć dezinformację i zbierać dane, które pewnego dnia mogą zostać wykorzystane do szantażu.

Zwrotów akcji wciąż przybywa. Przez jakieś 30 lat po otwarciu się Pekinu na handel ze światem, od lat 1978-79 poczynając, Chiny sprzedawały Ameryce to, co nazywam produktami płytkimi, jak buty, skarpetki, koszule i panele słoneczne.

Tymczasem Ameryka i Zachód sprzedawały Chinom to, co nazywam produktami głębokimi, które wnikały w ich system i miały podwójne zastosowanie – oprogramowanie, mikroprocesory, pasma przenoszenia, smartfony i roboty. Chiny musiały kupować nasze produkty głębokie, bo do niedawna nie umiały produkować ich same.

Dopóki Chiny sprzedawały nam głównie produkty płytke, nie przejmowaliśmy się specjalnie ich ustrojem – tym bardziej że przez pewien czas wydawało się, że kraj powoli, ale systematycznie integruje się ze światem, z każdym rokiem posuwając się nieco w stronę otwartości i transparentności. Łatwo i wygodnie mogliśmy więc odłożyć na bok niektóre nasze obawy o ciemne strony ich systemu politycznego.

Potem jednak, jakieś osiem lat temu, rozległo się pukanie do naszych drzwi, za którymi stał chiński sprzedawca. „Cześć, nazywam się pan Huawei i robię telefony 5G lepsze od wszystkiego, co macie. Instaluję go na całym świecie i nie chciałbym cię pominąć, Ameryko”.

Sprzedawcom z Huawei i z innych wschodzących chińskich firm high-tech Ameryka odpowiedziała mniej więcej tak: „Kiedy sprzedawaliście nam same płytke produkty, nie obchodziło nas, czy macie ustrój autorytarny, libertariański czy wegetariański – po prostu kupowaliśmy. Teraz chcecie sprzedać nam produkty głębokie, które mają podwójne zastosowanie i wnukną głęboko do naszych domów, sypialni, fabryk, chatbotów i infrastruktury miejskiej, a my nie mamy do was zaufania. Chcemy więc zakazać Huawei, wolimy kupić droższe systemy telekomunikacyjne 5G od skandynawskich firm, którym ufamy – od Ericssona i Nokii”.

MIKROCZIPPY NOWĄ ROPĄ

Rola zaufania w stosunkach międzynarodowych i handlu wzrosła gwałtownie z jeszcze jednego powodu: w miarę cyfryzacji i elektronizacji kolejnych produktów i usług zainstalowane w nich wszystkich mikroczippy stały się nową ropą. Są dla gospodarki XXI w. tym, czym była napędzająca XIX i XX w. ropa naftowa.

Tak więc dziś kraj lub kraje produkujące najszybsze, najpotężniejsze i najbardziej energooszczędne mikroprocesory potrafią konstruować największe komputery i dominować w gospodarce i wojskowości.

Ale jest w tym pewien szkopuł. Fizyka tworzenia zaawansowanych układów logicznych jest niezwykle skomplikowana – ludzki włos ma grubość 90 tys. nanometrów, a najlepszy na świecie masowy producent zaawansowanych układów scalonych wytwarza dziś tranzystory o rozmiarze 3 nanometrów – więc żaden kraj ani firma nie obsłuży całego łańcucha dostaw. Trzeba brać co najlepsze zewsząd, a powstający łańcuch dostaw jest tak spleciony, że wszyscy jego uczestnicy muszą ufać sobie w najwyższym stopniu.

Chiny nie muszą daleko szukać przykładu. Po drugiej stronie Cieśniny Tajwańskiej mieści się największa na świecie firma produkująca układy scalone – Taiwan Semiconductor Manufacturing Company, TSMC.

Z Pekinu pojechałem na Tajwan, gdzie spędziłem popołudnie z szefami tej firmy w jej siedzibie w Hsinchu Science Park, półtorej godziny jazdy na południe z Tajpej. Na pytanie, na czym polega sekret pozwalający TSMC wytwarzać 90 proc. najbardziej zaawansowanych układów na świecie – podczas gdy Chiny, które mówią tym samym językiem i dzielą z nimi kulturę, robią ich zero – odpowiadają jednym słowem: „zaufanie”.

TSMC jest fabryką półprzewodników, co oznacza, że otrzymuje projekty od najbardziej zaawansowanych firm świata, takich jak Apple, Qualcomm,

NASZA EUROPA

Nvidia, AMD, i zamienia je w układy scalone wykonujące różne funkcje przetwarzania. Firma składa klientom dwie uroczyste przysięgi: TSMC nigdy nie będzie z nimi konkurować, projektując własne czipy i nigdy nie udostępni projektu jednego klienta innemu.

– Nasza działalność polega na obsłudze wielu konkurujących ze sobą klientów – wyjaśnia wiceprezes ds. rozwoju biznesu w TSMC Kevin Zhang. – Zobowiązujemy się, że wewnątrz firmy nasi pracownicy obsługujący klienta A nigdy nie przekażą swojej wiedzy klientowi B.

Jednak współpracując z wieloma zaufanymi partnerami, firma wykorzystuje ich coraz bardziej złożone projekty do samodoskonalenia, a im staje się lepsza, tym bardziej zaawansowane projekty może brać na warsztat. Wymaga to ścisłej współpracy TSMC z tysiącem kluczowych lokalnych i globalnych kooperantów.

– Nasi klienci są bardzo wymagający – dodaje Zhang. – Każdy ich produkt musi spełniać szczególne wymagania. Klienci mówią nam, co chcą zrobić, i razem ustalamy, jak TSMC zaprojektuje produkcję, by osiągnąć cel. Fizyka wytwarzania układów scalonych staje się coraz bardziej ekstremalna. Skala inwestycji klientów stale rośnie, więc żeby maksymalizować wytwarzaną moc obliczeniową, muszą zacieśniać współpracę z nami. Muszą nam zaufać – ciągnie Zhang.

Chiny mają swoją, w części państwową fabrykę – Semiconductor Manufacturing International Corporation – ale żaden globalny projektant układów scalonych nie powierzy SMIC swoich najbardziej zaawansowanych projektów, pozostaje więc ona co najmniej dekadę w tyle za TSMC.

Oto dlaczego erozja stosunków amerykańsko-chińskich nie ogranicza się do coraz ostrzejszego sporu o Tajwan. Jej powodem jest też to, że w chwili, gdy zaufanie nabrało aż takiego znaczenia w relacjach międzynarodowych i handlu, Chiny zmieniły trajektorię. Jako partner tracą zaufanie właśnie wtedy, gdy najważniejsza technologia XXI w. – produkcja półprzewodników – wymaga go w bezprecedensowym stopniu, a coraz więcej urządzeń i usług zyskuje podwójne zastosowanie.

DLACZEGO CHINY TRACĄ NASZE ZAUFANIE?

Kiedy epoka izolacji Chin i wewnętrznych wstrząsów pod rządami Mao Zedonga skończyła się wraz z jego śmiercią w 1976 r., Deng Xiaoping, następca, dokonał zwrotu o 180 stopni. Wprowadził zasadę kolektywnego kierownictwa i kadencyjności najwyższych przywódców. Postawił też na pragmatyzm – cokolwiek napędza wzrost gospodarczy, jest ważniejsze od komunistycznej ideologii – ukrywając jednocześnie rosnącą siłę Chin.

W czasach Denga i jego następców – w latach 80., 90. i na początku XXI w. – Pekin zacieśniał więzi gospodarcze i edukacyjne z USA. Dzięki temu Chiny weszły do Światowej Organizacji Handlu, jednak pod warunkiem stopniowego wycofania się z merkantylistycznej polityki dotowania państwowych gałęzi przemysłu i stopniowego otwarcia się na zagraniczne inwestycje i kapitał, tak samo jak świat otworzył się na chiński eksport.

Jednak Xi Jinping, który objął stanowisko najwyższego przywódcy w 2012 r., wydawał się zaniepokojony skutkami otwarcia się Chin na świat, kolektywnego kierownictwa i pędu ku połowicznemu kapitalizmowi oraz skalą korupcji szerzącej się w partii i w Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, ze szkodą dla legitymacji rządzącej partii.

Xi skupił więc scentralizowaną władzę w swoich rękach, zniszczył wszystkie lenne księstwa stworzone przez osoby kierujące różnymi agencjami rządowymi i sektorami gospodarki i przywrócił kontrolę partii komunistycznej nad wszelką biznesową, naukową i społeczną działalnością, wdrażając

wszechobecne technologie nadzoru. Wszystko to zawróciło Chiny z konsekwentnej, jak się wydawało, drogi ku większej otwartości, a nawet poluzowaniu cenzury prasy.

Xi de facto odszedł od polityki Denga – pełnego uwolnienia sektora prywatnego – skupiając się na kreowaniu narodowych liderów gospodarki, którzy mogliby zdominować wszystkie kluczowe gałęzie przemysłu, od AI przez komputery kwantowe po lotnictwo i kosmonautykę, i dbając zarazem o obecność komórek partyjnych w ich kierownictwie i wśród personelu.

Kiedy zaś amerykańscy urzędnicy ds. handlu powiedzieli: „Chwileczkę, zobowiązaliście się wobec WTO, że ograniczycie państwowe dotacje dla przemysłu, dotrymacie słowa”, Chiny odparły: „Dlaczego mamy trzymać się waszej interpretacji zasad? Wyrosliśmy i możemy interpretować je po swojemu. My jesteśmy duzi, wy spóźnieni”.

Dodajmy do tego zatajenie wiedzy o pochodzeniu wirusa COVID-19, zdławienie demokratycznych swobód Hongkongu i represje wobec muzułmańskich Ujgurów w Xinjiangu, żądanie panowania nad Morzem Południowochińskim, coraz częstsze groźby Tajwanowi, dusery wobec Putina, który niszczy Ukrainę, dążenie Xi do dożywotniej prezydentury, jego strzelanie w kolano własnym przedsiębiorcom hi-tech, dalsze ograniczanie wolności słowa i zdarzające się porwania czołowych chińskich biznesmenów.

Wszystko to miało jeden poważny skutek – wszelkie zaufanie w relacjach z Zachodem, jakie Chiny wypracowywały od końca lat 70., wyparowało dokładnie w tym historycznym momencie, kiedy wspólnota wartości stała się ważniejsza niż kiedykolwiek dotąd, w świecie głębokich produktów podwójnego przeznaczenia wykorzystujących software, łączność i mikroprocesory.

Jednocześnie dla Zachodu, a w szczególności dla USA, nieporównanie ważniejsze stało się to, że ta rosnąca potęga – z którą handlowaliśmy urządzeniami cyfrowymi i aplikacjami podwójnego zastosowania – jest autorytarna.

CHINY IDĄ NA SVOJE

Pekin ze swej strony argumentuje, że gdy Chiny – z takimi produktami głębokimi jak 5G – wzmocniły się jako globalny konkurent, USA po prostu nie umiały sobie z tym poradzić i postanowiły wykorzystać swoją kontrolę nad zaawansowaną produkcją półprzewodników i innymi produktami hi-tech eksportowanymi przez Amerykę i jej sojuszników, by mieć pewność, że zawsze będą widziały Chiny we wstecznym lusterku.

Pekin wymyślił więc nową strategię tzw. podwójnego obiegu: wykorzystajmy potencjał inwestycyjny państwa, zróbmy wszystko, co w naszej mocy, u siebie, żeby uniezależnić się od świata, wykorzystajmy też nasze zdolności produkcyjne, żeby uzależnić świat od naszego eksportu.

Zdaniem Chińczyków wielu amerykańskim politykom nagle bardzo się spodobało zrzucenie winy za problemy ekonomiczne amerykańskiej klasy średniej nie na braki w wykształceniu, słabą etykę pracy, automatyzację i grabież, jakiej dopuścili się w 2008 r. elity finansowe, tylko na chiński eksport do Ameryki.

Wedle Pekinu Chiny stały się dla Ameryki poręcznym straszakiem. Co więcej, w szale obwiniania Pekinu o wszystko Kongres zaczął lekkomyślniej promować niepodległość Tajwanu.

Według starszego rangą członka administracji podczas listopadowego szczytu na Bali Xi powiedział prezydentowi Bidenowi mniej więcej tyle: „Nie będę przywódcą Chin, który straci Tajwan. Jeśli mnie zmusicie, będzie wojna. Nie rozumiecie, jak to jest ważne dla Chińczyków. Igracze z ogniem”.

Jednak jedno wiem na pewno: w jakimś sensie chińscy decydenci rozumieją, że ich

agresywne działania na wszystkich frontach, które wymieniłem, wystraszyły w ostatnich latach zarówno świat, jak i ich własnych kreatorów postępu, i to w bardzo złym momencie.

Mówię to, bo wiem, jak często ważni chińscy politycy mówią każdemu zagranicznemu przywódcy i biznesmenowi, że Chiny są otwarte, że czekają na inwestycje. Chiny faktycznie muszą być bardziej otwarte na bezpośrednie inwestycje zagraniczne, bo prowincja desperacko potrzebuje kapitału, który zrekompensuje koszty zwalczania pandemii, oraz dlatego, że wielu Chińczykom kończą się zyski ze sprzedaży ziemi pod nowe państwowe fabryki.

Według mnie nie przypadkiem Jack Ma – założyciel Alibaby, taki chiński Steve Jobs – który w 2020 r. nagle zniknął ze sceny, kilka tygodni temu pojawił się równie nagle w państwowych mediach. Zniknął po nieporozumieniu z państwowym nadzorem, który uznał, że Ma za bardzo urosł i stał się zbyt niezależny. Jego nieobecność była szokiem dla chińskich start-upów i spowodowała spadek inwestycji.

Mogę bez oporów przyznać, że chciałbym żyć w świecie, w którym Chińczycy żyją w dobrobycie. W końcu to ponad jedna szósta mieszkańców naszej planety. Nie kupuję argumentu, że jesteśmy skazani na wojnę. Jesteśmy, owszem, skazani na rywalizację, na współpracę i na znalezienie jakiegoś sposobu pogodzenia jednego z drugim. Inaczej nas i ich czeka bardzo zły XXI wiek.

Muszę jednak przyznać, że pod pewnym względem Amerykanie i Chińczycy podobni są do Izraelczyków i Palestyńczyków – obie strony z wielkim talentem pogłębiają najgorsze lęki drugiego.

Komunistyczna Partia Chin wierzy, że Ameryka chce obalić jej rządy, co niektórzy amerykańscy politycy bez skrupułów przyznają. W razie potrzeby Pekin gotów jest więc wczłogać się do łóżka ze zbrodniarzem wojennym Putinem, byle tylko trzymać Amerykanów na dystans.

Amerykanie boją się, że komunistyczne Chiny, które wzbogaciły się dzięki globalnemu rynkowi działającemu na amerykańskich zasadach, wykorzystają nowo zdobytą siłę rynkową do jednostronnej zmiany tychże zasad na swoją korzyść. Postanowiliśmy więc skupić nasze słabnące siły na dbaniu o to, by Chińczycy w dziedzinie mikroprocesorów byli zawsze o dekadę za nami.

Nie wiem, co wystarczy, żeby odwrócić ten trend, ale chyba wiem, co jest konieczne.

Jeśli polityka zagraniczna USA nie ma na celu obalenia reżimu komunistycznego w Chinach, Stany powinny to wyraźnie powiedzieć, bo – jak się przekonałem – w Pekinie myśli inaczej dużo więcej osób niż kiedykolwiek.

A przy okazji – czystą fantazją jest w dzisiejszym świecie wiara, że Ameryka może prosperować po ekonomicznym załamaniu Chin. Podobną fantazją może być wiara, że zważywszy na wielkość chińskiego rynku, Europejczycy będą zawsze po naszej stronie. Przypomnijmy, że prezydent Francji przed chwilą klaniał się i szurał butami w Pekinie.

Co do Chin to mogą one wmawiać sobie, ile chcą, że w ostatnich latach nie dokonały żadnego zwrotu. Nikt tego nie kupi. Chiny nigdy nie wykorzystają swojego pełnego potencjału – w tym hiperpołączonym i zdigitalizowanym świecie – póki nie pojmą, że budowanie i utrzymanie zaufania daje dziś krajom i firmom największą konkurencyjną przewagę. A z tym akurat Pekin niespecjalnie sobie radzi.

W fascynującej biografii wielkiego amerykańskiego męża stanu George’a Shultza Philip Taubman cytuje jedną z głównych maksym jego dyplomacji i życia: „Monetą królestwa jest zaufanie”. Nigdy nie było to prawdziwsze niż dziś i nigdy Chiny nie potrzebowały bardziej tej prawdy. ●

tłum. **Sergiusz Kowalski**

©2023 The New York Times Company

Życie w cieniu tygrysa

Pekin czeka na tajwańskie wybory w 2024 r.

Wojna w Ukrainie pokazuje Tajwanowi, że trzeba mieć nadzieję na najlepsze, ale przygotować się na najgorsze.

Guillermo Abril

EL PAÍS

Ludzie zbierający małże opowiadają mi, jak będąc dziećmi, chowali się w schronach przed bombardowaniami komunistów. Mówią, że to są „bardzo żywe” wspomnienia. Jedna z kobiet wspomina o strachu, że to wszystko wróci. Inna dodaje: „Co możesz zrobić? Jeśli to się stanie, to się stanie”.

Wody Cieśniny Tajwańskiej są spokojne, dzień jest idealny na spacer po plaży. Ale jest coś dziwnego w tym krajobrazie: linia zardzewiałych umocnień, a za nimi stary amerykański czołg na wpół zakopany w piasku. Jest malutki, z innej epoki i nadsaje się do metafor: skorodowana lufa wciąż wskazuje w kierunku kontynentu.

Na tych plażach tajwańskiego archipelagu Kinmen, położonego kilka kilometrów od Chin kontynentalnych, Kuomintang zatrzymał w 1949 r. natarcie komunistów. Ta blokada pozwoliła przegranym w chińskiej wojnie domowej na ustanowienie w Tajpej swoistego rządu na wygnaniu, z dyktatorem Czang Kaj-szekiem na czele. To był początek jednego z największych konfliktów geopolitycznych naszej ery.

Przez lata na archipelagu stacjonowały tysiące żołnierzy i był nękany nalotami. Wyspa Tajwan, na której mieszka większość z 24 mln mieszkańców, leży dziesiątki kilometrów na wschód. Jednak stąd widać Chiny kontynentalne: budynki na wybrzeżu, jachty, przez lornetkę można też przeczytać ogromne litery propagandowych haseł: „Jeden kraj, dwa systemy, aby zjednoczyć Chiny”. Tajpej szacuje, że po drugiej stronie znajduje się tysiąc rakiet stale wycelowanych w Tajwan.

Obecnie Kinmen stał się miejscem turystycznym. Li Wen, lat 33, właśnie zrobił sobie zdjęcie z Chinami w tle. Jest lokalnym politykiem z innego małego archipelagu, Matsu, członkiem Demokratycznej Partii Postępowej, obecnie rządzącej na Tajwanie. Opowiada się za utrzymaniem status quo przy jednoczesnym zwiększeniu zdolności obronnych: „Musimy być przygotowani na każdą ewentualność”. Inny turysta, 80-letni He Chihyi, były mechanik sił powietrznych, woli zjednoczenie z Republiką Ludową: „Ameryka już dość nami manipulowała”.

Po zakończeniu pandemii promy do Chin znów zaczęły kursować, kilka co godzinę. W terminalu portowym Mao, 37-letnia Chinka, zamężna z Tajwańczykiem, czeka na wejście na pokład z dzieckiem na rękę: po raz pierwszy od trzech lat przeprawia się do Chin, aby zobaczyć rodziców.

W kuźni mistrza Wu w Kinmen leży ogromny stos żelastwa. Ten urodzony w 1957 r. kowal przerabia na noże stal starych pocisków wystrzelonych z komunistycznych Chin. Wiele z nich nie przenosiło ładunków wybuchowych, tylko propagandę. „To stał dobrej jakości” – mówi. Siadając do herbaty, wspomina swoje dorastanie

NASZA EUROPA



• Antywojenna manifestacja podczas Taiwan-U.S. Defense Industry Forum w Tajpej, 3 maja 2023 r. FOT. CHIANGYING-YING/AP

podczas zimnej wojny: „To było jak życie obok tygrysa”. Z czasem nastąpiło détenté i otwarto komunikację z kontynentem. Wu uważa, że pandemia doprowadziła do wzrostu antychińskich nastrojów. Nie chce słyszeć o wojnie, uważa, że w końcu ofiarą mi są zawsze niczemu niewinni ludzie.

W listopadzie pojawił się promyk nadziei w postaci spotkania podczas szczytu G20 na Bali, gdzie Joe Biden i Xi Jinping zobowiązali się do unikania otwartej konfrontacji. Ale nieufność trwa nadal, a po spotkaniu w USA prezydent Tajwanu Tsai Ing-wen ze spikerem Izby Reprezentantów Kevinem McCarthym Pekin rozpoczął ćwiczenia wojskowe symulujące blokadę Tajwanu. „Jesteśmy gotowi i zdeterminowani, aby zmiażdżyć każdą formę secesji oraz zagraniczną ingerencję”, powiedział rzecznik Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

PKB na głowę większe niż w Japonii

Syaru Shirley Lin, była finansistka Goldman Sachs, obecnie kieruje think tankiem Center for Asia-Pacific Resilience and Innovation (CAPRI). Rozmawiamy w gwarnej kawiarni w finansowej dzielnicy Tajpej, ale jej twarz jest śmiertelnie poważna: „Jeśli świat pograży się w ciemności, nie dogadując się z Chinami, to wszystko po prostu stanie się częścią Chin” – wskazuje ręką na futurystyczną dzielnicę, będącą odzwierciedleniem technologicznej potęgi wyspy. Tajwan produkuje 60 proc. światowych półprzewodników, w tym 90 proc. tych najbardziej zaawansowanych. PKB na mieszkańca wynosi ponad 35 tys. dol., czyli więcej niż w Japonii i ponaddwukrotnie więcej niż w Chinach. Lin zwraca uwagę, że Tajwan jeszcze nie tak dawno był krajem biednych rolników, podbijanym przez europejskie potęgi kolonialne, chińskie imperium i, na krótko, Japończyków.

Biografia Lin, której babcia była analfabetką i zbieraczką liści herbaty, jest zarazem historią transformacji wyspy. Dzięki stypendiom oferowanym przez USA Lin dostała się na Harvard, pracowała na Wall Street. Kiedy Chiny zaczęły łączyć się z resztą świata, kierowała azjatyckim portfelem inwestycyjnym Goldman Sachs. Jej zespół jako jeden z pierwszych skierował swoje spojrzenie na chiński sektor technologiczny. Inwestowali w start-upy, takie jak Alibaba (obecnie to gigant).

Teraz Lin skupia się na stosunkach międzynarodowych, ponieważ uwa-

ża, że Tajwan powinien przestać mówić o bezpieczeństwie, a zamiast tego mówić o „demokratycznej tożsamości”. Lin mówi szybko. Nie wierzy, że jej ojczyzna stała się takim punktem zapalnym: „Jednak Ukraińcy powiedzieliby ci to samo”. Tłumaczy, że Tajwan rozwinął się, bo nie było wyboru: był odizolowany, w cieniu kolosa, więc musiał znaleźć swoją drogę. Jej pokolenie żyło w paradygmacie ciężkiej pracy, by pewnego dnia wrócić do Chin i „wyzwolić je od komunistycznego reżimu”.

Drugim kluczem, który określa dziś tajwańską tożsamość, jest liberalna demokracja. To była długa i bolesna droga, z epizodami represji. Po śmierci Czang Kaj-szeka w 1975 r. Tajpej podjął kroki w kierunku otwarcia na świat: w 1987 r. zniesiono permanentny stan wyjątkowy, w 1996 r. odbyły się wybory i rozpoczęło się zbliżenie z ChRL. Długo były nadzieje, że to zbliżenie stworzy warunki do zjednoczenia, choć nie zgadzano się co do jego formy. I wtedy na Tajwanie zaczęły wchodzić w dorosłość pokolenia, które już nie czują związku z Chinami. Mimo że pozwolono ludziom podróżować tam i z powrotem oraz rozpoczęto intensywny handel.

Dziś Chiny są partnerem handlowym numer jeden Tajwanu, co stanowi paradoks. „Najłatwiejsze i największe źródło stymulacji gospodarczej ironicznie pochodziło ze źródła największych kłopotów Tajwanu – piszą Kerry Brown i Kalle Wu Tzu Hui w „The Trouble with Taiwan”. – Tajwańczycy przez ostatnie 30 lat uświadomili sobie, że są częścią chińskiej kultury, ale mają odrębne wartości: rządzą prawą, wolne społeczeństwo”.

Ta transformacja na wykresie jest szokująca: w 1992 r. tylko 17 proc. mieszkańców wyspy uważało się za Tajwańczyków; dziś stanowią oni ponad 60 proc.; w międzyczasie odsetek tych, którzy uważają się za Chińczyków i Tajwańczyków zarazem, spadł z 46 do 33 proc., a tych, którzy uważają się tylko za Chińczyków – z 25 do... poniżej 3 proc.

To, przekonuje Lin, oznacza przebudzenie się z letargu, w którym wielu myślało, że „handel z wrogiem zmniejsza ryzyko napięć”. Lekcja, jej zdaniem, jest podobna do tej, którą Niemcy odrabiają teraz w stosunku do Rosji.

„Nie wiesz, jak to jest stracić wolność, dopóki jej nie stracisz” – mówi Lin, wspominając o licznych uciekinierach z Hongkongu.

„Pieprzyć Xi” – wykrzykuje mężczyzna podczas kolacji z przyjaciółmi w Tajpej. Inny odchyła się na krześle i mówi: „A ja lubię Xi...”. Pałac papierosa, pierwszy mężczyzna wyciąga z portfela banknot: „Mamy walutę, paszporty, żołnierzy. Tajwan nie jest częścią Chin”. A drugi kontruje, że choć Pekin zachowuje się jak tyran, trzeba zachować dobre relacje. To, co mieszkańcy Tajwanu myślą o sobie i swoich relacjach z Chinami, nie jest monolitem, ale większość chce zachować status quo. Jeden z pracowników sektora finansowego nazywa to „strategią żółwia”: schować głowę do czasu, aż uda się osiągnąć niepodległość.

Eksperci od Chin szacują okno czasowe dla Pekinu na podjęcie zdecydowanych kroków ku anektowaniu wyspy między 2024 – rokiem, w którym odbędą się wybory na Tajwanie i w USA – a 2027, kiedy kończy się trzecia kadencja Xi. Ten kontekst powoduje pewien dysonans poznawczy: jednego ranka w Tajpej można delektować się przecenioną kawą kolorowej ulicy Dihua, która wciąż zachowuje XIX-wieczny wdzięk, obserwować przechadzających się ludzi i czytać alarmujące nagłówki w „Taipei Times”: Waszyngton zamierza wysłać więcej wojska na Tajwan; Blinken zapewnia, że Tajwan to nie jest wewnętrzna sprawa Chin, Kongres wzywa do wyciągnięcia lekcji z Ukrainy itd.

Jak może przebiegać wojna

W styczniowych wyborach prezydenckich zmierzają się kandydaci głównych partii: nacjonalistycznego Kuomintangu – opowiadający się za zbliżeniem z Pekinem – oraz DPP.

Alicia García Herrero, główna ekonomistka we francuskim banku inwestycyjnym Natixis na Tajwanie, uważa, że Pekin poczeka na wynik przed podjęciem jakichkolwiek kroków. „Jeśli wygra Kuomintang, Chiny prawdopodobnie nie będą musiały wykonywać żadnych ruchów w celu osiągnięcia zbliżenia. Jeśli wygra DPP, dojdzie do zwarcia, w jakiej formie – nie wiemy”.

Lin Ying-Yu z Uniwersytetu Tamkang, który bada potencjał chińskiej armii, przewiduje fazy ataku. Po pierwsze, blokada Tajwanu: aby zapobiec scenariuszowi z Ukrainy, która otrzymuje dostawy z Zachodu. Po drugie, cyberataki i kampania dezinformacyjna, aby uniemożliwić dostęp do wiarygodnych wiadomości. Po trzecie, zajęcie pobliskich wysp, takich jak archipelag Penghu, aby zablokować przejście przez cieśninę. Wreszcie ataki rakietowe na lotniska i stacje radarowe. Desant byłby przeprowadzony przez helikoptery startujące z pokładów chińskiej floty.

Według waszyngtońskiego Center for Strategic and International Studies, gdyby w 2026 r. wybuchła wojna, a USA zdecydowałyby się bronić wyspy z pomocą Japonii, prawdopodobnym wynikiem byłaby chińska porażka, ale ogromnym kosztem dla wszystkich. W scenariuszu bazowym w ciągu trzech tygodni walk ginie 30 tys. ludzi. „Stany Zjednoczone i ich sojusznicy straciliby dziesiątki okrętów, setki samolotów i tysiące ludzi. Ciężkie straty zaszkodziłyby globalnej pozycji USA na wiele lat. Tajwan poważnie zniszczony, bez podstawowych usług. Marynarka wojenna Chin także w ruinie, trzon jej sił rozbity, a tysiące żołnierzy przetrzymywanych jako jeńcy. UE nałożyłaby jedynie sankcje na Chiny, III wojna światowa zostałaby uniknięta. Ale cios gospodarczy byłby odczuwalny na całym świecie.

Tajwan jest „absolutnie niegotowy” na scenariusz wojenny, mówi emerytowany tajwański generał sił powietrznych Chang Yenting. Chang uważa, że prawie nie ma rezerw ropy i gazu, nie ma wystarczającej liczby łóżek szpitalnych, są problemy logi-

styczne, brakuje sprzętu wojskowego, a siły zbrojne w ogóle nie interesują społeczeństwa. „Nikt nie chce uczęszczać do akademii wojskowych” – mówi.

W ostatnich latach obowiązkowa służba wojskowa została skrócona z dwóch lat do czterech miesięcy – lecz rząd zdecydował w grudniu, że w 2024 r. wydłuży ją do 12 miesięcy. W październiku 83 proc. Tajwańczyków zgodziło się ze stwierdzeniem: „Najważniejszą lekcją, jaką daje wojna w Ukrainie, jest to, że trzeba walczyć, aby ratować własny kraj”, podaje tajwańska agencja CNA.

Kuomintang liczy na détente

Ukraiński analityk Jurij Poita bada w Narodowym Instytucie Badań nad Obroną i Bezpieczeństwem w Tajpej, jakie wnioski Pekin może wyciągnąć z wojny: „Jeśli Rosja może zająć część Ukrainy i utrzymać swoją pozycję, a Europa to toleruje, to byłby to sygnał dla Chin, że z Tajwanem nikt nic nie zrobi” – mówi mi spotkany podczas demonstracji solidarności z jego krajem, która odbyła się w Tajpej w rocznicę rosyjskiej inwazji. Poita uważa, że wojna pokazuje Tajwanowi, „że trzeba mieć nadzieję na najlepsze, ale przygotować się na najgorsze”.

Peifen Hsieh, dyrektor ds. międzynarodowych w DPP, partii rządzącej, również uczestniczył w demonstracji i mówił o „podobieństwach” między Ukrainą a Tajwanem: „Mamy do czynienia z potężnymi i agresywnymi sąsiadami”. „Możesz mieć pokój tylko wtedy, gdy jesteś wystarczająco silny. Nie dążymy do konfliktu, ale nie ulegniemy zastraszaniu” – dodaje.

Opozycyjna KMT widzi sprawę nieco inaczej. Również chce uniknąć wojny, ale poprzez promowanie więzi handlowych. Mają argumenty: okres najbliższego zbliżenia i détente z Pekinem przypadł na ich ostatni okres u władzy, za prezydentury Ma Ying-jeou (w 2015 r. spotkał się z Xi w Singapurze). Niedawno, gdy prezydent Tsai odwiedzała Stany, Ma odbył historyczną, pierwszą podróż do Chin kontynentalnych.

„My przynajmniej wiemy, jak lepiej się z Pekinem dogadywać” – mówi Wu I-ding, deputowana Kuomintangu i dodaje: „Jeśli chcesz zawrzeć pokój, nie naciskasz na przeciwnika ciągle. Starasz się go zrozumieć. Tak właśnie robiliśmy, gdy byliśmy u władzy. Jeśli masz po drugiej stronie przyjaciół, prowadzisz tam biznes, jesteś mniej skłonny, aby chcieć uderzyć”.

W 1992 r. Pekin i Tajpej uznały istnienie jednych Chin, ale z różnymi interpretacjami. Ta niejednoznaczność jest sztuką pozwalającą uniknąć katastrofy. Oskarżając DPP o chęć przerwania status quo, Kuomintang pyta: „Czy jesteśmy zadowoleni z tej sytuacji? Niech tak pozostanie”.

Jednak w 2014 r. tysiące młodych ludzi na trzy tygodnie przejęły kontrolę nad Zgromadzeniem Narodowym, by zablokować podpisanie nowej umowy o wolnym handlu z Chinami. Protest dał początek nowej generacji polityków.

Miao Poya, radna w Tajpej, urodziła się w 1987, roku początku liberalizacji kraju. Opisuje Tajwan jako „młodą, tętniącą życiem demokrację”. To, jak mówi, jest zasadnicza różnica w porównaniu z Chinami: „Moje pokolenie nie może zaakceptować bicia rządzonym przez dyktaturę”. Miao uważa, że Tajwańczycy cieszą się „de facto niepodległością”. Jest świadoma, że oficjalne utrzymanie status quo jest konieczne, uznanie międzynarodowe postrzega jako cel długoterminowy. Jest znaną aktywistką na rzecz praw osób LGBT. Uważa, że historia XX w. pokazuje, że appeasement jest najgorszym sposobem na radzenie sobie z dyktaturami. „Ukraina i Tajwan są jak dwie świece w bardzo ciemnym pokoju, które wskazują drogę do wolności na świecie”. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski

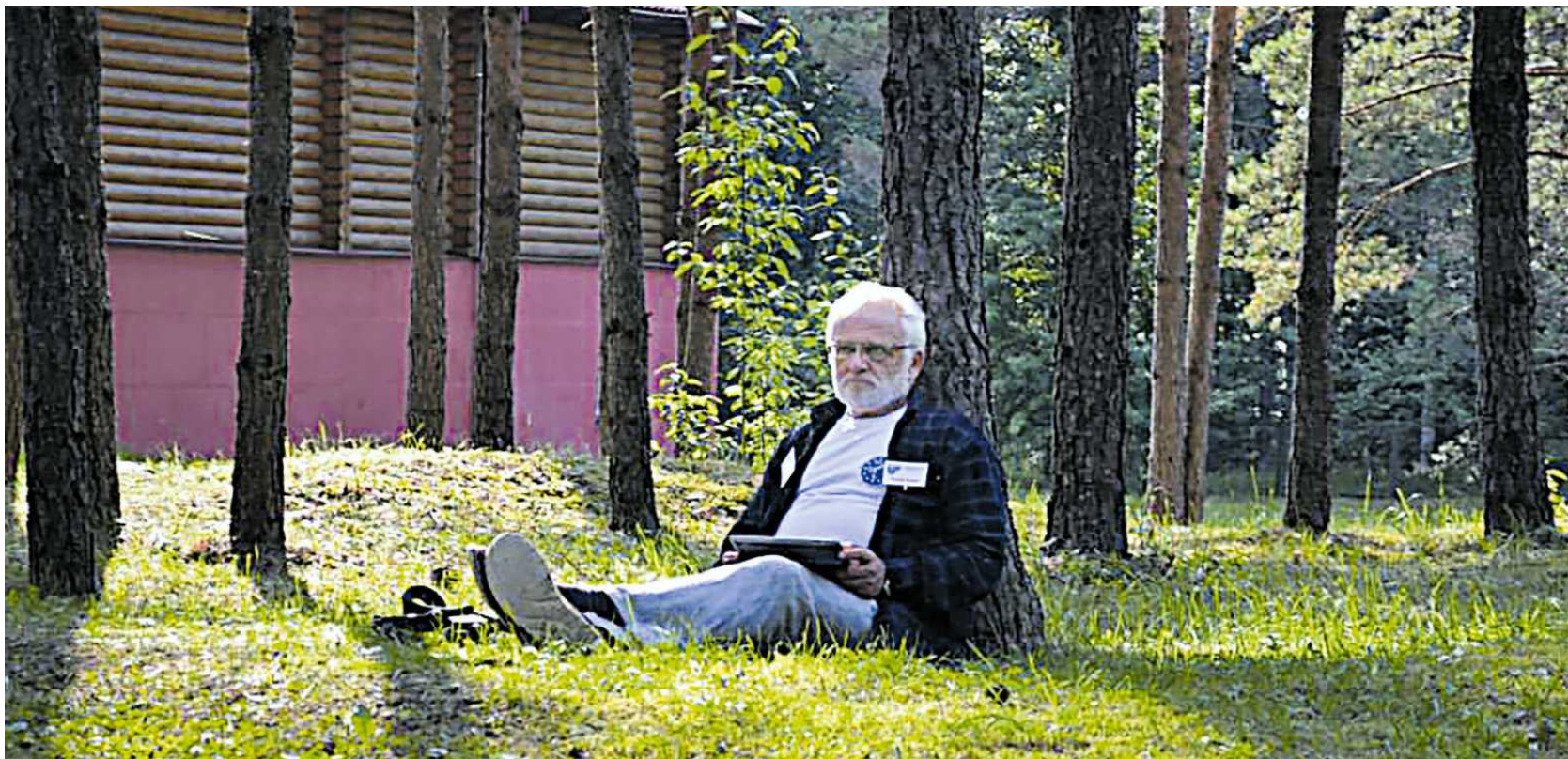
Adam Michnik poleca

MÓJ SĘDZIA BARDZO SIĘ WSTYDZIŁ

Nie róbcie tego, czego żąda od was reżim. Nie chodźcie na jego imprezy, nie czytajcie jego gazet, nie oglądajcie telewizji

Władimir Mackiewicz*

FOT. FACEBOOK/ WŁADIMIR MACKIEWICZ



Po aresztowaniu w sierpniu 2021 r. białoruski filozof Władimir Mackiewicz kontynuował w zamknięciu pracę filozoficzną i analityczną. W liście z więzienia pisał: „Tutaj kwestia wolności ogranicza się do ciała, a duch wieje, kędy chce”.

Od sierpnia 2021 do maja 2022 r. podczas pobytu w Wołodarcie (więzienie nr 1 przy ul. Wołodarskiego w Mińsku) zapisał 16 „zeszytów”. Część poświęcona jest refleksji nad programem polityki kulturalnej i własnym życiem, część – sprawom filozoficznym, metodzie topologii semiotycznej czy zagadnieniom globalizacji.

Prace te są w większości poza naszym zasięgiem, część mogła zaginąć lub zostać zniszczona przez władze. Więzienne doświadczenia filozofa znamy z fragmentów, które udało się przemycić. Ale nawet te nieliczne, publikowane niżej, to okazja do namysłu i działania.

Uczniowie i przyjaciele Władimira Mackiewicza

O BŁĘDACH, AKTUALNYCH ZADANIACH I WYZWANIACH

My, społeczeństwo obywatelskie, ponosimy winę za to, co się teraz dzieje. Opozycja, struktury polityczne i liderzy to tylko część społeczeństwa, nie najbardziej wpły-

wowa. Prawdziwe programy, strategie rodzą się, lub powinny się rodzić, w społeczeństwie obywatelskim, w drodze komunikacji, w dyskusji. A kiedy już wytrzymają krytykę, zamieniają się w „idee konsolidujące”. Przywódcy i struktury polityczne są tylko realizatorami skonsolidowanych idei, programów i strategii owego społeczeństwa.

Stoimy teraz przed wyzwaniem – dla naszego zrozumienia spraw, rozumu, sumienia i woli.

Reżim jest w sytuacji bez wyjścia. Ruje i niszczy kraj. Ale agonia reżimu może trwać długo. I będzie on nadal miażdżyć i terrorizować wszystkich, którzy się wychyli. W tej chwili nikt nie ma siły, by aktywnie mu się przeciwstawić, lecz istnieje „siła bezsilnych”. Nigdy nie popierałem „szaleństwa odważnych”, ale jesteśmy zdolni do biernego oporu.

Siła takiego oporu tkwi w solidarności. Nie róbcie tego, czego oczekuje i żąda od was reżim. Nie chodźcie na jego imprezy, nie czytajcie jego gazet, nie oglądajcie telewizji, nie oddawajcie dzieci do Republikańskiego Związku Młodzieży Białoruskiej. A jest jeszcze wiele innych rzeczy, których możecie po prostu nie robić.

Zacznijmy od nieuczestniczenia w złu i zbrodni.

Żyjemy dzisiaj w czasie przelomowym dla naszej małej ojczyzny. Czy mamy siły, by skierować kraj

(myślenie i dominującą narrację) w dobrym, „właściwym” kierunku?

Nasze siły nie są aż tak wielkie. Dlatego nie powinniśmy ich trwonić i bawić się w drobiazgi.

Od strony racjonalnej sytuacja jest łatwa do zrozumienia, ale od strony etyczno-moralnej widzę taką przemoc wobec ludzkiego sumienia i świadomości, że gubię się, próbując wyobrazić sobie, jak my, naród i społeczeństwo, poradzić sobie z tym, gdy wojna się skończy.

Nie wiem, co myślą Kościoły, co dzieje się w duszach pedagogów, którzy mają uczyć tego, co wysokie, co dobre, co światłe... Kto im uwierzy? I nie tylko im, ale wszystkim, którzy w tych latach pozostali obojętni i neutralni.

Wiem, co zrobić z rozumem i logiką. Lecz nie wiem, co zrobić ze zdewastowanym sumieniem. Do potrzeby desowietyzacji dochodzi jeszcze pilna potrzeba sanacji sumienia.

Być może denazyfikacja Niemiec po 1945 r. była łatwiejsza niż zadanie, które stoi przed nami. Łatwiejsza, bo Niemcy były zmiażdżone i zniszczone pod każdym niemal względem. Łatwiej jest zacząć od zera niż od stanu niemal całkowitego zniszczenia. Jednak nie mogę życzyć Białorusi całkowitego zniszczenia, choć reżim może doprowadzić kraj do takiego stanu, jeśli obecna sytuacja utrzyma się przez ko-

lejne trzy czy pięć lat. Może to być trudniejsze, ale trzeba to zacząć już teraz, nie czekając na całkowity upadek.

Wszystko to oczywiście, jeśli kochamy nasz kraj, jeśli zachowujemy zdolność do miłości. Lecz czy ludzie, których sumienie uległo atrofii, są jeszcze zdolni do miłości? To podstawowy problem, kiedy spotykają się dwaj Białorusini. Każdy z nich patrzy na drugiego z niemyim pytaniem: – Czy masz jeszcze sumienie?

Idea pojednania narodowego, do której nawiązał Aleś Białacki w ostatnim słowie podczas tzw. procesu, jest adekwatna i potrzebna. Nie ma większego zła niż dalszy wzrost wrogości i mściwości w społeczeństwie. Represje roku 2020 i lat następnych są właśnie wynikiem mściwości. Nie powinniśmy być tacy jak ci, którzy je rozpętali.

O WOJNIE

Podobało mi się to, co przeczytałem u Ivana Krasteva, jego analiza możliwych skutków błędów Zachodu. Ma rację, że Putin i jego reżim stali się zakładnikami własnej propagandy. Ponad 20 lat kłamstw na temat Ukrainy i utrzymywanie tematu ukraińskiego jako jednego z głównych punktów debaty doprowadziły do tego, że uwierzyli we własne kłamstwa i możliwość blitzkriegu.

O ile kiedyś uważałem, że w tej wojnie nie będzie zwycięzców, że Rosja nie będzie w stanie osiągnąć celów wyznaczonych przez Putina, a Ukraina poniesie takie straty, że nie będzie można nazwać tego zwycięstwem, o tyle od kilku tygodni myślę, że ta wojna nie może mieć innego końca niż zwycięstwo Ukrainy.

Co się stanie z reżimem białoruskim? Będzie udawał, że Rosja zmusiła Białoruś do udziału w tej wojnie, propagandziści, którzy stracili wstyd i sumienie, powiedzą, że jesteśmy pokojowo nastawionymi ludźmi. I to wszystko jest jasne.

Jak żyć wobec tego, co dziś wylewa się ze środków masowego przekazu? Co zrobimy z ludźmi, których fala lat 2021–22 wydobyla na powierzchnię i którym dała możliwość pokazania całej podłości, jaka kryje się w ich małych duszach?

To normalne i właściwe, że każdy wykonuje swoją pracę sumiennie i odpowiedzialnie. To jest zasada, na której opiera się życie. Należy jednak zachować ostrożność i czujność. Są miejsca i zawody, których wykonywanie w dobrej wierze jest przestępstwem i przynosi tylko zło. Dziś to nie tylko te zawody, które służą wojnie, represjom i terrorowi. Takie przestępstwa można znaleźć niemal w każdej sferze.

Każdy Białorusin powinien się rozejrzeć, w jakim miejscu

się znajduje i czy jego praca nie jest przestępstwem. Praca, która przynosi śmierć spokojnym mieszkańcom Ukrainy, a ucisk i okrucieństwo wobec tych, których reżim uważa za ekstremistów, przyspiesza unicestwienie kraju o nazwie Białoruś.

O ŻYCIU W WIĘZIENIU

Nauczyłem się czekać. Czytam wszystko, co zawiera w sobie litera, choć z tego, co przeczytałem, niewiele zostało. Ale teraz mam w celi Biblię i używam jej głównie do odzyskania czegoś w pamięci, do zdobycia jakiejś wiedzy dla siebie. Używam tekstu jako materiału do analizy narracyjnej poprzez topologię semiotyczną. Sam z zainteresowaniem obserwuję, co z tego wynika.

No cóż, ja też duszę się bez wiadomości. Może to sprawa nerwów. Jednak stale mam wrażenie, że dzieje się coś, o czym nie wiem, co mnie omija. I mam też wrażenie, że jeśli dzieje się to beze mnie i mojego udziału, to dzieje się złe, a nie dobrze.

Na spacerniku znalazłem kiedyś żółty liść, który przyleciał skądś, podniosłem go i wykorzystałem jako zakładkę w książce. Innym razem złapałem latające nasionko jakiejś rośliny. Miało jedno skrzydełko i okrągłe „pudełko” na nasionie na długiej cienkiej łodydze. Wziąłem je do kieszeni, lecz się pogniotło i połamało, i trzeba było je wyrzucić.

Zatem cieszcie się krajobrazem i scenerią takich miejsc jak te, w których ja teraz jestem. Ale luksus!

Tu [w kolonii karnej Szkłów] jest dużo brzoź. I mogę też zobaczyć horyzont. Wcześniej nie wiedziałem, że to takie ważne, żeby widzieć horyzont. W najprostszym sensie. Daleki horyzont, wschód słońca.

Dobrze jest być za kratami, gdy po ich drugiej stronie są przyjaciele, a ja mam ich wielu. Moi przyjaciele! Kocham, doceniam i szanuję was. Wierzę, że nam się uda. Za naszą i waszą wolność!

W tym roku miałem łatwiej. Żyję otoczony ludźmi, którzy nie muszą kłamać i dopasowywać się do otoczenia. Tutaj w więzieniu nawet ludzie, którzy nigdy nie interesowali się polityką, rozumieją wszystko na poziomie zdrowego rozsądku. Nie trzeba być gigantem, żeby zrozumieć.

O PROCESIE I WYROKU

To filozofowie, a nie funkcjonariusze i ich telewizyjne marionetki będą oceniać obecny stan rzeczy. Ja już ocenę przedstawiłem, wystarczy sięgnąć po moje stare teksty. Właściwie to za te teksty zostałem skazany. Gdyby na Białorusi był sąd, to zarzuty od razu by się posypały.

Ale na Białorusi nie ma sądu, jest wyrostek organów siłowych. Ten „sąd” zignorował wszystkie argumenty prawników i świadków. Bardzo się cieszę, że kiedy, przyjaciele i społeczeństwo

Białorusi cały czas mnie wspierali. Jestem pewien, że wszyscy państwo wiedzą i rozumieją.

Mój proces został zamknięty nie z powodu jakichś tajemnic, lecz z powodu wstydu. Sędzia bardzo się wstydził, ale zrobił to, co mu kazano, albo z bezradności, albo ze strachu. Teraz każdy zostaje ze swoim sumieniem. Nie chcę nikomu nic mówić. Niech sumienie każdego z nas przemówi do niego.

Jestem więziony nie za to, co jest napisane w wyroku. Przypisane mi w nim „przestępstwa” nie są w żaden sposób dowiedzione: ani poprzez materiały zebrane w śledztwie, ani poprzez zeznania świadków. Ale nawet ten niesprawiedliwy sąd wstydzi się podać prawdziwy powód mojego uwięzienia. To oznaczałoby przyznanie się, że w kraju deptane są podstawowe prawa i wolności, o które od kilku wieków walczą i umierają za nie najlepsi ludzie narodów europejskich, w tym Białorusini.

Byłem więziony za odmienne poglądy, a w wyroku napisali, że „za założenie organizacji ekstremistycznej”. Zostałem aresztowany za „myślówbrodnię”, jak to nazywał Orwell. To znaczy po prostu za to, że myślałem.

O ŻYCIU, WIERZE I POWOŁANIU

Myślę, że każdy chrześcijanin potrafi bez trudu odróżnić przykazania chrześcijańskie od demagogii, którą posługują się niekiedy bossowie reżimu. Niestety, nie wszystkie wyznania chrześcijańskie na Białorusi zajęły prawdziwie chrześcijańskie stanowisko wobec postępowania reżimu, który depcze Przykazania i Prawo. U podstaw Przykazań i Prawa leży Miłość, a my trzymamy się Wiary i Nadziei!

Nie ma nic złego w modlitwach. Jeśli wypowiadasz je (nawet po cichu) rytualnie, nie zwracając uwagi na słowa, po prostu powtórz je jeszcze raz, będąc świadomym każdego słowa. Możesz podkreślać lub akcentować czasowniki, a innym razem rzeczowniki. Rytuał jest rytuałem, ale konieczne jest dostrojenie się do modlitwy własnymi słowami.

Kiedy się dostroiłeś, świadomie i z trudem szukasz własnych słów, które mogą szczerze wyrazić twoje uczucia i pragnienia. A docierają one do Niego tylko wtedy, gdy wykuwasz je z samej głębi duszy, odrzucając „wychowanie i opis świata”, których nauczone cię „w szkole”, zapominając o strachu, wstydzie, rozpacz, dumie i wszystkich tych rzeczach, które nie mają dla Niego znaczenia. Liczy się współwiedza (a nie zwykła wiedza) – twój przekaz do Niego i Jego przekaz do ciebie. I co najważniejsze – niepotrzebny tu jest mistycyzm. Bo mistycyzm to też forma racjonalizacji. Jedyne, czego potrzebujesz, to szczerość, nic więcej. Potrzebujesz siebie, a nie Jęgo. On już jest Wszechwiedzący.

Na początku będzie „szczerość na granicy szczerości”. To znaczy będzie granica, granice, ramy. Jednak muszą być one usuwane, stopniowo, jedna po drugiej.

Oprócz mistyki przeszkodą jest też religia, czyli te bajki, tabu, zakazy nagromadzone przez wieki. On tego wszystkiego nie potrzebuje, więc i my nie musimy się tego wszystkiego chwycić.

Wracając do myślenia o narracji (która przeciwstawia się reżimowi) i powołaniu. Wiecie, co łączy dla mnie teraz te tematy? To, co bardzo mocno odczułem 4 i 5 sierpnia [2021, aresztowanie Mackiewicz]: teraz nic nie zależy ode mnie!

Ode mnie, od tego, co myślę, nie mogąc działać. Ale jednocześnie miałem nadzieję, że moje teksty, napisane i wypowiedziane wcześniej, mogą żyć dalej, nawet jeśli będę zmuszony do milczenia i bezczynności. To jest narracja, do której coś wniosłem. I zrobiłem to świadomie, wiedziałem (no podejrzewałem), że tak może się stać.

Może to jest dowód na powołanie. To takie wezwanie z przyszłości. Jak hipoteza... Jest nie do udowodnienia. W ogóle nie potrzebuje dowodów. To wyjaśnienie motywów i celów. Przekształcanie motywacji w coś trwałe, pozwalającego ocenić, co jest ważne, a co nie, co robić, a czego nie robić.

Kilkakrotnie doświadczyłem poczucia, że życie już się skończyło, wszystko, co trzeba było zrobić, już zostało zrobione. Ale za każdym razem byłem w błędzie. I kilka razy zaczynałem życie od nowa, i było ono lepsze, intensywniejsze i bardziej produktywne. I jak się okazuje, gdy ma się 66 lat, po raz kolejny jest to możliwe. Mam jeszcze dość siły, pomysłów, celów.

W życiu trzeba Wierzyć, Mieć Nadzieję i Kochać. A Miłość jest najważniejsza. ●

przeł. arp

***Władimir (Uładzimir) Mackiewicz** – ur. w 1956 r., filozof białoruski. Od lat otwarcie krytykował władzę i ożywiał w społeczeństwie tożsamość narodową. Angażował się w działalność edukacyjną, m.in. założył tzw. Uniwersytet Latający i Agencję Technologii Humanistycznych. Od 4 sierpnia 2021 r. aresztowany i więziony. W lutym 2022 r. podjął strajk głodowy, który trwał 13 dni i wywołał szeroką reakcję w kraju i za granicą. W wyniku tego sprawa Mackiewicza została skierowana do sądu. 23 czerwca sąd w Mińsku skazał go na pięć lat kolonii karnej. Oficjalne zarzuty: udział w marszach ulicznych, znieważenie Łukaszenki, kierowanie formacją ekstremistyczną (w rzeczywistości nie brał udziału w protestach po sfalszowaniu wyborów prezydenckich, ograniczając się jedynie do komentarzy krytykujących reżim). W październiku 2022 r. został umieszczony w kolonii karnej nr 17 (Szkłów), ale w lutym 2023 r. odbyła się kolejna rozprawa, w której wyniku został przeniesiony do więzienia o zaostrzonym reżimie w Mohylewie.

Więcej informacji można znaleźć na stronie kampanii „Filozof w więzieniu”, prowadzonej przez przyjaciół i współpracowników Mackiewicza.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Jerzy Kronhold*

Pali się moja panienko

GABRYSI LAZAREK

*Jak się paliło w Zamarzkach
moja panienko
to w głośnikach wysoko nad głową
wyły syreny ekscytującym
falsetem takim jakim dziś
czaruje wszystkie panienki
Justin Timberlake
było gęsto na drodze
od fojermenów
i po raz pierwszy
do akcji ruszył nowiuteńki wóz
strażacki Błyskawica*

*A kiedy moja panienko wylała Bobrówka
ksiądz Holubars był na miejscu
i fotografował
tory znalazły się pod wodą
przestały kursować pociągi
i woda też stała milcząc
pod murem klasztoru
Bonifratrów
i dworzec w C. zaczął przesiąkać
jak dziurawe pudło z kartonu
i wszędzie latały szczury*

*A kiedy moja panienko jakiś waśniak
umarł jakaś gruba ryba
to wtedy koło naszego domu
ciągnął kondukt z orkiestrą dętą
i karawan jak akwarium na kółkach
toczył się majestatycznie po bruku
i trzeba się było pilnować żeby broń
Boże nie przeciąć ulicy przed nim
bo Herr Tod tego nie znosi
ostrzegała mamrocząc Maryjka
koneserka naszych ręczników
gdy wносиłam tłumok z bielizną
do maglowania*

*A kiedy moja panienko był hokej
na ajslaufie wyrzutowanym przez
Adolfa Kałużę od którego dostałem
po uszach kiedy świeży lód kruszyłem
rysując ósemki tępyimi łyżwami
kiedy byliśmy na drugim miejscu
w pierwszej lidze tuż za CWKS
Legia w Warszawie i przed KTH
Krynica to całe miasto po tych
legendarnych zwycięstwach
upijało się przez kilka dni
na umór z radości*

*A kiedy moja panienko Rosjanie
szli na Czechy i kilkadziesiąt czołgów
niszczyło krawężniki to dzieci ze szkół
witały ich goździkami
i ludzie wariowali
cieszyli się że odzyskamy
Zaolzie a major Griszkin szukając
beczek z winem w klasztorze
stanął przed obliczem przeora
i nic nie wskórawszy wymierzył z rewolweru
w krzyż i zakrzyknął niech mi ta ręka
uschnie jeśli on zmartwychwstał*

*A kiedy moja panienko w Pradze
na Václavském náměstí
Jan Palach rozmawiał z ogniem
i powstał z tego pożar który gaszono różami
przyklejając do bruku tzy i obelgi
byłem z tego powodu przesłuchiwany
w dawnym alumneum
nie przypuszczając że to się
pół wieku później powtórzy
w sercu Polski na placu Defilad
i że trzeba będzie krzyczeć
na cały głos na cały świat
pali się moja panienko!*

Nowa misja Kai Godek

CZUJĘ SIĘ STERRORYZOWANA

Z aborcją się udało, więc pyta: „Czy polskie państwo nie może sobie jakoś poradzić z dwoma tysiącami feministek?” I obiecuje: „Możemy się podzielić doświadczeniami z prolajferami niemieckimi, czeskimi, słowackimi...”.

Piotr Głuchowski

Kaja Godek, liderka i idolka polskich przeciwników aborcji, skłóciła się z Konfederacją, krytykuje PiS i osobiście prezesa Kaczyńskiego, Platformy nie cierpi z wzajemności, a Lewica to dla niej „bolszewicy” albo „sataniści”. Jak więc utrzymuje się na topie polskiej polityki?

Od kiedy zagorzali przeciwnicy, których Kaja Godek ma legion, ujawnili w sieci jej prywatny adres i numer komórki, naczelną polską „obronczyni życia” z siódmym miejscem na liście najbardziej wpływowych Polek tygodnika „Wprost” strzeże swojej prywatności. Telefon już zmieniła. Jak wyznała w „Rzeczpospolitej” w 2018 r., „na profilach aborcjonistów w mediach społecznościowych są pozakładane wątki, w których się nawołuje do fizycznej rozprawy” z jej osobą.

– Na przykład taki wpis o mnie, cytuję: „Ona gdzieś chodzi po ulicy i gdzieś kupuje w sklepie, urządzmy jej piekło!”. Czuję się sterroryzowana i naprawdę zaczynam się obawiać o bezpieczeństwo fizyczne moje i mojej rodziny. Stąd ostrożność – mówiła.

Mimo tej ostrożności coś o Godek wiemy: urodziła się wiosną 1982 r. w stolicy. Gdy była dziewczynką, chciała zostać lyżwiarką figurową, bo – jak wyznała w TV Republika – podobały się jej krótkie spódnice (dziś nosi tylko długie, ewentualnie spodnie). Chodziła do szkoły muzycznej, grała na fortepianie, potem skończyła anglistykę, a jeszcze później – podyplomowo – zarządzanie na Uniwersytecie Warszawskim. Była świetną studentką. Po magisterce krótko pracowała w prywatnym biznesie jako asystentka prezesa dużej korporacji i z tamtych czasów zostało jej umiłowanie do marynarek. Lubi też literaturę faktu, polski jazz i Annę Marię Jopek. Ci, którzy znają ją osobiście, mówią i piszą: zorganizowana, przenikliwa, konsekwentna, władcza, typowy zodiakalny Byk, kobieta z jajami, facet w spódnicy, twardzielka.

Mężem Kai jest od kilkunastu lat inżynier Jan Godek, były doktorant i pracownik naukowy Wydziału

Mechanicznego Technologicznego Politechniki Warszawskiej, specjalista od procesów spawania oraz odporności metali na korozję. Obecnie prowadzi prywatne biuro inżynierskie przy niewielkiej uliczce opodal stołecznej Galerii Młociny.

Dziennikarz śledczy Tomasz Piątek, tropiciel rosyjskich wpływów w Polsce, zwrócił mi uwagę, że pracownia Jana Godka do niedawna działała pod wspólnym adresem z produkującą edukacyjne zabawki firmą Funtronic. Właścicielem Funtronica był z kolei Maciej Mazurkiewicz, działacz katolickiego stowarzyszenia Sternik i współpracownik Opus Dei, wcześniejszy szef firmy telekomunikacyjnej Pawła Biskupskiego, absolwenta moskiewskiego Państwowego Instytutu Transportu, który dorobił się poważnych pieniędzy na terenie Rosji.

Warte około miliona spore mieszkanie Jana i Kai Godków mieści się w tym samym rejonie co Funtronic, niedaleko Łasku Bielańskiego, na zamkniętym osiedlu złożonym z siedmiu trzykondygnacyjnych domów wielorodzinnych postawionych „tylko dla katolików”. Enklawę wierzących i praktykujących w pół drogi między dwoma katolickimi podstawówkami (przy Wóycickiego i Nocznickiego) stworzył deweloper i członek krajowej wspólnoty neokatechumenalnej Marian Piwowarczuk.

– Nie chodziło o tworzenie katolickiego getta, ale o to, by chronić dzieci przed plugastwem świata – mówił „Gościowi Niedzielnemu”. – Chcieliśmy stworzyć środowisko sąsiedzkie o spójnych wartościach, co mogłoby ułatwić przekazywanie wiary dzieciom.

Piwowarczuk, który już sprzedał swoje udziały w osiedlu (Piątek zwraca uwagę, że nowy nabywca też jest związany z Rosją), ma siedmioro dzieci. Jego lokatorzy – Godkowie – do tej pory czwórka. Kaja urodziła kolejno: chłopca, potem dwie dziewczynki i znowu chłopca. Najstarszy syn, 15-letni, cierpi na zespół Downa. Jego mama w ciąży wiedziała o wadzie genetycznej, mimo to zdecydowała się urodzić.

– Pozostawienie przy życiu chorego dziecka pokazuje się czasem jako heroiczna decyzja, tymczasem to jest normalne zachowanie normalnego rodzica – powiedziała pięć lat po pierwszym porodzie „Gościowi Niedzielnemu”. – Ja przez długi czas byłam przekonana, że Polska jest krajem, gdzie aborcji się nie wykonuje. Łyknełam tę propagandę, że mamy bardzo restrykcyjne prawo i wraz z Irlandią jesteśmy na mapie Europy zieloną wyspą pro-life. [Tymczasem gdy u syna] stwierdzono zespół Downa, dosłownie na tym samym oddechu zaproponowano mi „rozwiązanie” w postaci aborcji. To był podwójny szok. Raz – że musiałam się zmierzyć z niepomyślną diagnozą, dwa – że ktoś jest gotowy moje dziecko zabić i to jest legalne. Straszna rzeczywistość. Gdy byłam drugi raz w ciąży, moja córka od początku była traktowana jak dziecko, któremu trzeba zorganizować „egzamin ze zdrowia” i dopiero jeśli go przejdzie, dać mu spokój. Lekarka [skrytykowała mnie] za decyzję o niewykonywaniu testów prenatalnych. Zabrałam jej więc sprzed nosa kartę ciąży i wyszłam w pół wizyty bez pożegnania. Byłam wte-

dy od kilku miesięcy w luźnym kontakcie z Fundacją Pro – Prawo do Życia. Zacieśniliśmy współpracę.

Fundację założył Mariusz Dzierżawski, rocznik 1956, warszawiak, ojciec trzech córek, z wykształcenia matematyk. Wcześniej niewierzący, po upadku komuny doznał – jak sam opowiada – religijnego objawienia. Wziął z żoną (i matką swoich dzieci) ślub kościelny, po czym zaczął wojnę z pornosami, które podówczas sprzedawano we wszystkich kioskach z prasą. Wstąpił do Unii Polityki Realnej Janusza Korwin-Mikkego, gdzie doszedł do stanowiska wiceprezesa, przez wiele lat kierował również powołanym przez siebie Warszawskim Komitetem Walki z Pornografią. Ten ostatni walnie przyczynił się do przyjęcia przez Sejm ustawy delegalizującej rozpowszechnianie golizny. Przepisy nie weszły w życie – nowe prawo zawetował w 2000 r. prezydent Aleksander Kwaśniewski, a potem centroprawicowa koalicja Akcji Wyborczej Solidarność z Unią Wolności straciła władzę na rzecz postkomunistycznej lewicy i temat spadł z agendy. A Dzierżawski – już pokłócony z Korwin-Mikkem i UPR – zajął się zwalczaniem aborcji.

Fundacja Pro – Prawo do Życia stworzyła i pokazała w przeszło 300 polskich miejscowościach wystawę „Wybierz życie”. Na kilkunastu dużych planszach ustawianych przy centralnych deptakach albo pod kościołami przedstawiano fotosy abortowanych płodów zestawione ze zdjęciami ofiar ludobójstwa Ormian, wojen w Afryce i cyferek etnicznych w byłej Jugosławii. Gdy w październiku 2012 r. dziennikarz TVP Tomasz Lis szukał kogoś z organizacji pro-life, kto mógłby zetrzeć się w jego talk-show ze zwolenniczkami legalizacji aborcji, zatrudniona przy programie researcherka zadzwoniła do Fundacji Pro, która wydelegowała do studia Kaję Godek.

W programie Lisa wystąpiły m.in. Joanna Senyszyn (SLD), Wanda Nowicka (ówcześnie Ruch Palikota), feministyczna dziennikarka Anna Dryjańska i Kaja, która opowiedziała o swojej pierwszej ciąży:

dacji Pro pisały w lukrowanych tekstach m.in. „Echo Katolickie” i „Nasz Dziennik”. Sama Kaja – przedstawiana już w konserwatywnych mediach jako aktywistka pro-life – wystosowała list otwarty do ministra sprawiedliwości w rządzie PO-PSL Jarosława Gowina, tego, który wcześniej wyznał, że słyszy krzyk mrożonych w laboratoriach ludzkich zarodków.

„Debata dotycząca spraw zasadniczych jest warunkiem funkcjonowania zdrowej demokracji. Jedną z takich bolesnych kwestii jest dopuszczalność tzw. aborcji eugenicznej. Często spotyka się wypowiedzi, również z Pana ust, że abortowanie dzieci podejrzanych o poważną chorobę to dobry kompromis będący przejawem troski o rodziców. Dla mnie jest to przykład odrażającego barbarzyństwa. Zmusza się do heroizmu rodziców, którzy chcą przyjąć swoje niepełnosprawne dziecko, a którym otoczenie mówi, że prawo pozwala rozwiązać ten problem. Zmusza się do heroizmu lekarzy, którzy nie chcą zabijać” – napisała Godek.

Przy okazji prezentowania antyaborcyjnych fotogramów wolontariusze Fundacji Pro zbierali podpisy pod stworzonym przez fundacyjnych prawników obywatelskim projektem ustawy „Stop aborcji” wprowadzającym zakaz przerywania ciąży „w przypadku, gdy badania prenatalne wskazują prawdopodobieństwo nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby”. W roku 2013 zebrano przeszło 400 tys. autografów – cztery razy więcej, niż wymaga prawo. Zaczęty zaprezentowania inicjatywy posłom przypadł Kai Godek.

– Dziś w Polsce odbywa się rzeź na dzieciach z zespołem Downa – zaczęła z trybuny. – To nie wszystko: mamy w fundacji relacje kobiet, którym powiedziano, że dziecko jest obciążone poważną wadą, na przykład serca, po czym, kiedy matka nie zgodziła się na aborcję i dziecko się rodziło,

Świadkowie wspominali, że krzyk tego dziecka słyhać było na korytarzach

– Dostałam informację, że dziecko z Downem można zabić na koszt NFZ. To pokazuje, jak w obecnej sytuacji prawnej rodzic dostaje dwa ciosy – z jednej strony informacja o chorobie, a z drugiej ta straszna decyzja, którą promuje państwo.

Fraza „zabić dziecko na NFZ” zrobiła olbrzymią karierę w prawicowej bańce. Nieznana wcześniej Godek zaczęła udzielać wywiadów, a o jej chorym synku i Fun-

wyszło na jaw, że wada jest możliwa do zoperowania. Aborcja musi przestać być legalna, bo dziś jest tak, że jeśli chore małenstwo zostaje zabite w okresie prenatalnym, to wszystko jest OK i nie ma żadnej możliwości zgłoszenia tego do prokuratury. To jest szeroki dostęp do dzieciobójstwa – byleby ofiara była odpowiednio mała. Lekarz, który źle wykona operację i uśmierci pacjenta, idzie do więzienia za błąd



w sztuce, natomiast jeśli aborter omyłkowo zabije zdrowe dziecko, nie ponosi żadnych konsekwencji. Padło już na tej sali stwierdzenie, że pomoc państwa dla dzieci niepełnosprawnych jest dziadowska. Owszem, jest taka również dla emerytów, rencistów, bezrobotnych, dla dzieci niedożywionych już urodzonych. Czy należałoby te wszystkie osoby pozabijać? – pytała.

Posłowie PiS oraz Solidarnej Polski nagrodzili przemowę owacją na stojąco. Ci z Ruchu Palikota i lewicy już wcześniej opuścili salę. Rządząca Platforma wnioskowała o odrzucenie projektu. Przeciw opowiedziało się 233 posłów, 182 poparło „Stop aborcji”, sześcioro wstrzymało się od głosu. Zapytana, co dalej, Kaja zapowiedziała:

założycielskim – „promowanie postaw prorodzinnych oraz ochrona instytucji małżeństwa rozumianego jako związek kobiety i mężczyzny”.

Od czasu rejestracji ŻiR nieustannie prowadzi głośne kampanie wedle sprawdzonej instrukcji o. Rydzyka: „informacja – formacja – organizacja – akcja”. W społecznej robocie pomaga Kai drugi członek dwuosobowego zarządu jej fundacji Krzysztof Kasprzak, rocznik 1983, żonaty ojciec czworga dzieci, z wykształcenia historyk, absolwent kilku kierunków podyplomowych. To on koordynował zbórkę 400 tys. podpisów, a po odrzuceniu projektu przez parlament przystąpił do kolejnej, w której pomagali m.in. Dzierżawski i mecenas Jerzy Kwaśniewski z wolontariuszami Ordo Iuris. Tym razem skompletowano około połowy miliona. Syzyfowa praca? Niekoniecznie – coś się bowiem zmieniło. Do władzy doszła Zjednoczona Prawica, a posłanka Joanna Lichocka z PiS obiecała, że żaden projekt obywatelski „nie będzie nigdy więcej odrzucany po pierwszym czytaniu”.

W tak sprzyjających warunkach kolejna nowelizacja „obrońców życia” poszła dalej: aborcja miałaby być zakazana całkowicie (z wyjątkiem bardzo rzadkich ciąż z przestępstwa), osoba winna śmierci dziecka poczętego byłaby zagrożona więzieniem do lat pięciu, osoba działająca nieumyślnie – do lat trzech. Projekt założył również wprowadzenie państwowej refundacji kosztów hospicyjnej opieki perinatalnej oraz przyspieszenie procedury adopcji w przypadku dzieci z niepełnosprawnościami. Sejmowa prezentacja znowu przypadła Godek:

– Wysoka Izbo! W sierpniu 2014 r. w szpitalu w Opolu metodą cesarskiego cięcia dokonano aborcji na dziecku z zespołem Downa. Dziecko będące na zaawansowanym etapie rozwoju ważyło około 600 gramów i oddychało. Nie udzielono mu żadnej pomocy i przewieziono na oddział noworodkowy, gdzie personel otrzymał kategoriyczny zakaz ratowania jego życia. Świadkowie, którzy poinformowali o sprawie media, wspominali, że krzyk tego dziecka słychać było na korytarzach. Małeństwo umierało cztery godziny...

Na sali kompletna cisza. Godek kontuuje:

– Obywatelo kolejny raz chcę, aby ustawodawca pochylił się nad ich oczekiwaniami. Oczekują zniesienia prawa, które zezwala na rozszarpywanie, głodzenie, trucie i pozostawianie na pewną śmierć setek ludzi rocznie. A wszystko pod okiem lekarzy, których powołaniem jest wszak ratowanie życia ludzkiego. W ten sposób Polska stacza się poniżej poziomu państw cywilizowanych, a nawet totalitarnych, bo w Auschwitz-Birkenau więźniom nadawano numery obozowe i prowadzono ich ewidencję...

Tym razem – zgodnie z obietnicami PiS – projekt został przyjęty do dalszych prac w komisjach, by wrócić na posiedzenie plenarne 6 października 2016 r. Do tego czasu atmosfera zmieniła się jednak ponownie: kobiety wyszły na ulicę. W „czarny poniedziałek”, 3 października, przeciwko zaostreniu przepisów aborcyjnych demonstrowało w 147 miejscowościach około 100 tys. osób. PiS się przestraszył. Gdy przyszło do głosowania nowelizacji, 186 posłów partii rządzącej (w tym Jarosław Kaczyński) podniosło rękę za wyrażeniem projektu ŻiR do kosza, kilkunastu wstrzymało się lub nie głosowało, jedynie 32 poparło Godek. PO było niemal w całości przeciw zaostreniu prawa, Kukiz'15 niemal w całości za, reszta w kratkę.

Kaja dostała na pocieszenie Medal św. Brata Alberta i nagrodę tygodnika „Niedziela”, a oprócz tego stanowisko członka

radę nadzorczą państwowych Warszawskich Zakładów Mechanicznych ze skromną pensją 3416 zł na rękę (podejmując pracę, zrezygnowała z zasiłku dla matek wychowujących niepełnosprawne dzieci). Fakt, że anglistka (choć żona inżyniera metalurga) nadzoruje warsztaty produkujące części do układów wtryskowych silników, nie uszedł uwagi lewicowych mediów. Po fali krytyki – ale dopiero w 2019 r. – walne zgromadzenie akcjonariuszy WZM podziękowało Kai za współpracę.

Wcześniej, bo jesienią 2017 r., grupa posłów PiS, Kukiz'15 oraz koła Wolni i Solidarni złożyła do Trybunału Konstytucyjnego wniosek o orzeczenie, czy pochodzące jeszcze z 1993 r. przepisy zezwalające na aborcję „w przypadku dużego prawdopodobieństwa ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu” są zgodne z ustawą zasadniczą. Wnioskodawcy posiłkowali się odrzuconym projektem ŻiR – niektóre sformułowania uzasadnienia po prostu przekopiowano.

W tym czasie Godek z Kasprzakiem i innymi działaczami pro-life powołali niezależnie kolejną inicjatywę – „Zatrzymaj aborcję” – po czym przywieźli do Sejmu 830 tys. nowych podpisów. Miesiąc wcześniej obywatelski kontrprojekt „Ratujmy kobiety 2017” złożyły środowiska lewicowe i feministyczne, którym udało się zgromadzić nieco ponad 200 tys. autografów. Ich nowelizacja zakładała m.in. zabiegi na żądanie do końca 12. tygodnia, ułatwienia w dostępie do środków antykoncepcyjnych (w tym wczesnoporonnych bez recepty) oraz zakaz prezentacji krwawych antyaborcyjnych fotosów w odległości mniejszej niż sto metrów od szpitali, szkół i przedszkoli.

Polska stacza się poniżej poziomu nawet państw totalitarnych, bo w Auschwitz-Birkenau więźniom nadawano numery obozowe

W styczniu 2018 r. odbyło się pierwsze czytanie obu przedłożeń. Mimo piśmowskiej obietnicy nieodrzuć obywatelskich inicjatyw a priori posłowie Kukiza'15 oraz Wolnych i Solidarnych zażądali wywalenia „Ratujmy kobiety” do kosza, co nastąpiło, choć Kaczyński i 57 innych posłów PiS głosowało za skierowaniem go do komisji.

Na placu boju pozostał projekt „Zatrzymaj aborcję”, który tradycyjnie zaprezentowała z mównicy Godek: – Szanowni państwo, kiedy w latach 70. dyskutowano we Francji tzw. ustawę Veil umożliwiającą aborcję w przypadku stwierdzenia wady u dziecka, francuskie dzieci niepełnosprawne nie mogły spać po nocach, bo sływały w radiu, co podczas debaty mówili proaborcyjni politycy. Chcę uświadomić wszystkim na tej sali, którzy próbują podważać prawo niepełnosprawnych do życia, że jesteście słuchani przez takie osoby, które mają prawa wyborcze i na pewno na was nie zagłosują. Nawet gdybyśmy mieli zupełnie dysfunkcyjną służbę zdrowia, żadnych zasiłków, żadnej pomocy dla matek, to i tak nie uprawnia do zabicia człowieka!

Oklaski z prawej strony sali.

– Padły tu pytania o rodzeństwo, o to, że musi patrzeć na chorobę i śmierć swego brata czy siostry z zespołem Downa. Mogę powiedzieć tyle, że mój syn ma już dwie siostry i nie zauważyłam, aby dziewczynki przeżywały jakkolwiek traumę z powodu niepełnosprawności brata. Wręcz przeciwnie – mówiła dalej Godek.

– Nasz projekt będzie powracał, dopóki postulat powstrzymania zabijania dzieci będzie w społeczeństwie silny, a jest silny, o czym świadczą te setki tysięcy podpisów obywateli, które postanowiła zignorować partia mająca w nazwie słowo „obywatelska”.

Wyobraź sobie świat, w którym każdy człowiek ma prawo do życia. Dziecko poczyną się i rodzi całkowicie bezpieczne, dorasta w normalnej rodzinie złożonej z mamy, taty i rodzeństwa i nikt nie tłumaczy mu, że równie dobra jest rodzina z dwoma ojcami lub dwiema matkami. Takiego świata chcemy i o niego walczymy” – to motto nowej fundacji, którą Godek założyła na przełomie 2015 i 2016 r. po rozstaniu z Mariuszem Dzierżawskim. Nazwała ją Życie i Rodzina, a cele zakreśliła szerszej niż dotychczas: nie tylko walka z przerywaniem ciąży, ale też – za aktem

Duże brawa z ław PiS i Kukiza, buczenie z lewej strony sali.

– Apeluję do państwa o dobre głosowanie, ponieważ co osiem godzin zabija się w szpitalu małe, niewinne dziecko... Także teraz, kiedy tu siedzimy – kontynuowała.

W głosowaniu po występie Godek projekt „Zatrzymaj aborcję” został przyjęty i skierowany do komisji polityki społecznej i rodziny. Przeleżał tam ponad pół roku, po czym komisja powołała do rozpatrzenia inicjatywy podkomisję specjalną.

– Powołanie tej podkomisji to zwyczajna ustawka i sposób na utopienie tematu do wyborów albo i na zawsze – mówiła rozgoryczona Godek, stojąc przed dziennikarzami w sejmowym foyer. A u Roberta Mazurka w RMF FM dodała: – Jarosław Kaczyński jest szarmanckim człowiekiem, niezwycię kulturalnym starszym panem, ale prawdą jest taka, że to on blokuje ochronę życia w Polsce. On uległ lobby aborcyjnemu, uległ lobby LGBT. To beznadziejne...

Dalsze wydarzenia pokazały jednak, że nadzieja jest. 22 października 2020 r. opanowany już całkowicie przez PiS Trybunał Konstytucyjny orzekł większością głosów, że „legalizacja zabiegu przerywania ciąży w przypadku, gdy badania prenatalne (...) wskazują na duże prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu (...), nie znajduje konstytucyjnego uzasadnienia”.

Po ogłoszeniu werdyktu na trwającym pod Trybunałem prolaiferskim wiecu współpracownicy zaczęli podrzucać Kają Godek w górę. Rozradowana anglistka stanęła przed szpalerem dziennikarzy. – Dzisiaj Polska jest przykładem dla Europy, jest przykładem dla świata!! – wołała.

Zebrani prolaiferzy skandowali: – Dzie-ku-je-my!

Kaja była przez chwilę – co można zobaczyć na nagraniu w serwisie YouTube – całkowicie szczęśliwa. Ale nie zaprzestała walki.

Wzmocniona na duchu zabrała się do lewicy, feministek i ruchu gejowsko-lesbijskiego. – Ci ludzie rozpowszechnili w sieci moje dane, przychodzą i dzwonią domofonem po 22 – stwierdziła w rozmowie z serwisem Polonia Christiana. – Oni są zdolni do wszystkiego, ponieważ nie obracają się jak my w kulturze wartości, tylko w antykulturze. Nienawidzą osób niepełnosprawnych, nienawidzą ich rodzin, nienawidzą kobiet, które są przeciw aborcji, nienawidzą życia, nienawidzą dzieci... To jest diabelski amok. Czy polskie państwo nie może sobie jakoś poradzić z dwoma tysiącami feministek? Ze zgromadzeniami satanistycznymi, które atakują kościoły? [Rządzący] sądzą, że z bolszewikami można się dogadać. Otóż nie można! – mówiła.

Podobne zdania Godek wygłaszała na antenach Telewizji Republiki i Radia Maryja, ale również w mediach mainstreamowych. Jeszcze w roku 2018 w Polsat News określiła homoseksualizm jako zboczenie. Rok później, już jako eurokandydatka Konfederacji KORWiN, dodała na tej samej antenie, że wedle jej wiedzy geje adoptują dzieci „po to, by je mo-

lestować”. – Nawet film braci Sekielskich [o księżach pedofilach] potwierdza, że to właśnie geje gwałcą małe dzieci – stwierdziła.

Radykalne sądy nie pomogły: choć rozpoznawalna Godek dostała najwięcej głosów spośród konfederackich kandydatów w okręgu piątym, warszawskim (prawie 17 tys.), do europarlamentu nie weszła. W dodatku 16 aktywnych przedstawicieli środowiska LGBT (w tym stołeczni prawnicy, artyści i wykładowcy UW, a także wiceszef klubu Lewicy Krzysztof Śmiszek) pozwało ją za „zboczeńców i gwałcicieli”, żądając publicznych przeprosin. Pod koniec maja 2020 r. Sąd Okręgowy Warszawa-Praga odrzucił pozew, uznając, że reprezentanci strony powodowej nie mają legitymacji czynnej do wniesienia sprawy. Inaczej mówiąc: Śmiszek i pozostali skarżący nie udowodnili, że słowa o gejach zboczeńcach molestujących dzieci odnoszą się personalnie do nich.

Przegrani odwołali się i w lutym 2022 r. Godek stanęła przed stołecznym sądem apelacyjnym, który dla odmiany uznał, że „nie trzeba wymienić kogoś z nazwiska, by naruszyć jego dobra osobiste” (czyli szesnastka ma legitymację procesową). W ustnym uzasadnieniu sędzia Małgorzata Kuracka uznała słowa Kai za „nieakceptowalną mowę nienawiści”, a także „szczucie jednej grupy społecznej na drugą”, po czym zwróciła sprawę do ponownego rozpatrzenia.

Tymczasem sama Godek zaczęła wytaczać procesy.

Gdy 22 października 2020 r. współpracownicy podrzucali ją w górę pod siedzibą TK, za szpalerem policjantów i dziennikarzy manifestowały feministki ze Strajku Kobiet. Jedna z nich, Monika „Pacyfka” Tichy, ówczesna przewodnicząca „tęczowego” stowarzyszenia Lambda w Szczecinie (i matka niepełnosprawnego dziecka), krzyczała do rozradowanej szefowej ŻiR: – Powiedz, co zrobiłaś dla tysięcy niepełnosprawnych dzieci w Polsce! Nic nie zrobiłaś, więc wypierdalaj, kurwo, szmato jedna! Jebać Kają Godek!

Koleżanki odpowiedziały gromkim: – Jebać i się nie bać!

W odpowiedzi Kaja złożyła prywatny akt oskarżenia z artykułu 212 paragraf 1 kodeksu karnego: „Kto pomawia inną osobę (...) o takie postępowanie lub właściwości, które mogą poniżyć ją w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania potrzebnego dla danego (...) rodzaju działalności, podlega grzywnie...”.

Proces odbył się wiosną ubiegłego roku w Szczecinie za drzwiami zamkniętymi. Kaja zeznawała z brzuszkiem – była akurat w czwartej ciąży. Sąd nie miał wątpliwości, że Tichy dopuściła się zarzucanego czynu, a kara wyniosła w sumie ponad 10 tys. zł: 1,2 tys. zł grzywny, 1 tys. zł nawiazki na PCK plus najdroższe – pokrycie kosztów wokandy.

Potem Kaja wygrała pół tuzina podobnych spraw. Hejtująca ją na Facebooku młoda gdańszczanka Anna musiała zapłacić 2 tys. zł i przesłać przeprosiny. 22-letni warszawiak Antek, który rzucił śnieżką w auto Godek, dostał 300 zł kary. Kilka postępowań skończyło się ugodami po

tym, gdy przeciwnicy Kai wyrazili skruchę. Nie chciał jej wyrazić prowadzący w stolicy studio tatużu gejowski działacz i sprzedawca wegańskich kosmetyków Rafał Łoziczonek, który zamieścił w sieci – cytując z pozwu ŻiR – „wulgarnie video, w jakim obrażał Kają Godek i podawał nieprawdziwe informacje, jakoby w przeszłości dokonała ona aborcji”.

Wziąwszy pod uwagę historię Kai jako mamy dziecka z niepełnosprawnością, Sąd Okręgowy Warszawa-Praga nie miał wątpliwości: pozwany naruszył dobra strony powodowej. Kosztowało go to 5 tys. zł na rzecz fundacji



**Francuskie dzieci
niepełnosprawne nie
mogły spać po nocach,
bo słyszały w radio,
co mówili
proaborcyjni politycy**

**Nawet film braci
Sekielskich
potwierdza,
że to właśnie geje
gwałcą małe dzieci**

**NSDAP rozpoczęła
w Niemczech marsz
po władzę, tak samo
jak marsz po władzę
realizuje dzisiaj lobby
LGBT.**

**Pierwsze
homoseksualne
komando powstało
w łonie partii
nazistowskiej**

Godek i Kasprzaka plus koszty postępowania. Jako że nie zapłacił po dobroci, prawnicy ŻiR wszczęli – z początkiem maja 2023 r. – proces egzekucyjny. Dla zasady, a nie dlatego, by fundacji brakowało kasy. W pierwszym roku działalności pozyskała z darowizn niespełna 150 tys. zł, w drugim roku już ponad 600 tys., w trzecim – prawie 720 tys. Rok 2019 zamknął się kwotą blisko 1 mln zł, w kolejnym wpłynęło 1,12 mln. Za te pieniądze zorganizowano m.in. 20 kursów kształcących „obrońców życia i rodziny”, 700 ulicznych akcji antyaborcyjnych oraz znane nam już kampanie zbierania podpisów. Oboje prezesi fundacji pensji nie pobierali.

– Godek z powodzeniem gromadzi datki i zasoby, ponieważ umie zagarniać medialną uwagę – mówi mi posłanka Inicjatywy

Polskiej (składnik Koalicji Obywatelskiej), działaczka feministyczna (i córka Izabeli Jarugi-Nowackiej, posłanki lewicy, pierwszej pełnomocnik rządu do spraw równego statusu kobiet i mężczyzn, która zginęła w katastrofie smoleńskiej) Barbara Nowacka i dodaje: – Ona potrafi znaleźć się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie, jak choćby pod Trybunałem w dniu wiadomego orzeczenia. Stała się główną twarzą walki z prawem do wyboru i w odróżnieniu od takich osób jak Dzierżawski czy Kwaśniewski jest stale zapraszana do mediów mainstreamowych, sama się z nią spotkałam kiedyś w studiu Onetu.

– Jakie zrobiła na pani wrażenie?

– Grzeczna, spokojna, a jednocześnie wyrażająca najsłabsze, antykobiece poglądy. To mnie najbardziej boli, że liderką ruchu wymierzonego w prawa kobiet jest kobieta matka. Choć z drugiej strony organizacje ultrapravicowe coraz częściej wystawiają w pierwszym szeregu młode i dobre się prezentujące kobiety...

– Wedle mojej wiedzy Godek nie jest przez nikogo wystawiana. Ona stworzyła się sama, co więcej – z większością prawicy jest dziś pokłócona.

– Może dlatego, że przypisuje sobie zasługi całego ich środowiska. Na pewno ma niemałe ambicje polityczne i nieraz nas w przyszłości zaskoczy.

Jeszcze przed wyborami parlamentarnymi 2019 r. opuściła szeregi konfederatów. Poszło o kilka spraw. Po pierwsze, nie zgodziła się na proponowany okręg wyborczy. Chciała wystąpić w Warszawie, w najgorszym wypadku w Lublinie, tymczasem liderzy z Krzysztofem Bosakiem na czele zaoferowali jej okręg siedlecki. Po drugie, poszło o skład Rady Konfederacji, w której znalazły się miejsca dla Ruchu Narodowego, dla byłych UPR-owców (teraz „wolnościowców”), dla grupy Grzegorza Brauna, a nawet uciekinierów z Kukiza. Dla proliferów krzesel nie starczyło.

Po trzecie, poszło o pieniądze z subwencji wyborczej gwarantowanej wszystkim komitetom, które przekroczą trzyprocentowy próg. Godek domagała się, by konfederackie władze zagwarantowały udział ŻiR w przyszłym torcie. Gdy spotkała się z odmową, postanowiła odejść.

Bosak przyjął jej rezygnację bez żalu. – Kolejne wybory pokazują, że nie ma możliwości wprowadzenia do Sejmu formacji radykalnie antyaborcyjnej i o radykalnie antyhomoseksualnej retoryce – powiedział.

Tymczasem owa „antyhomoseksualność” stała się głównym polem działania ŻiR. Jeszcze w połowie sierpnia 2020 r. niezmordowana Kaja przedstawiła mediom najnowszy projekt: „Stop LGBT”. Tym razem nowelizacja przepisów dotyczyła uchwalonego w 2015 r. prawa o zgromadzeniach. Ujmując rzecz najogólniej: chodziło o powstrzymanie Parad Równości. Ujmując szczegółowo – projektodawcy z ŻiR proponowali, by w trakcie wszelkich zgęstek na powietrzu zakazać posiadania jakichkolwiek przedmiotów o charakterze erotycznym, wykorzystywania symboli religijnych (w tym przetworzonych ar-

tystycznie) w sposób mogący obrażać wiernych, wreszcie – zabronić chodzenia w negliżu. Ponadto zgłoszony stosownym władzom cel zgromadzenia nie mógłby dotyczyć „kwestionowania małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny”, „propagowania związków tej samej płci lub związków ponad dwóch osób”, „prezentowania płci jako bytu niezależnego od uwarunkowań biologicznych”, a przede wszystkim „propagowania orientacji seksualnych innych niż heteroseksualizm”.

Nowa inicjatywa zyskała poparcie Kościoła i Radia Maryja. Przedstawicielom ŻiR pozwolono przedstawić postulaty „Stop LGBT” na zebraniu plenarnym Konferencji Episkopatu Polski w Częstochowie, po czym sekretarz generalny KEP ks. Artur Międzyński wysłał do biskupów diecezjalnych list zachęcający, aby „umożliwili wiernym składanie podpisów”. Do listopada 2020 r. zebrano i zwieziono do Sejmu pudła z przeszło 140 tys. sygnatur. W tym samym czasie rozgłoszła z Torunia zachęcała w audycjach, komunikatach i na stronach internetowych, by słuchacze dzwoniли do swoich posłów, prosząc ich o głosowanie za inicjatywą.

Tym razem zaprezentował ją Krzysztof Kasprzak. Jego mentorka jedynie słuchała, ale to Kaja – jak twierdzą wtajemniczeni – zredagowała większość akapitów młodszego kolegi. Oto jej treść: – Panie Marszałku, Wysooka Izob! Wiemy, że długofalowym celem lobby LGBT jest zniszczenie małżeństwa i rodziny oraz naturalnego porządku społecznego. My, autorzy projektu oraz jego sygnatariusze, odrzucamy zarzuty o homofobię, ponieważ fobia to lęk, a my się was nie boimy [rzut oka na lewą stronę sali, gdzie narasta rumor]. Jeżeli szukać analogii historycznych, trzeba porównać obecną sytuację z latami 30. XX wieku, kiedy NSDAP rozpoczęła w Niemczech marsz po władzę, tak samo jak marsz po władzę realizuje dzisiaj lobby LGBT. Przypomnę, że pierwsze homoseksualne komando powstało w łonie partii nazistowskiej [hałasy obejmują już całą salę plenarną, część posłów wyszła z ław, filmują Kasprzaka i krzyczą]. Mamy już w Polsce zakaz promocji faszyzmu i komunizmu, pora dołączyć zakaz promowania homoideologii!

W głosowaniu nazajutrz po prezentacji (29 października 2021 r.) Sejm tradycyjnie opowiedział się za wysłaniem projektu do komisji. Leży tam do tej pory. Co na to Kaja? Wyszła z nową inicjatywą...

28 grudnia 2022 r., w dniu Świętych Młodzianków Męczenników, fundacja ŻiR dostarczyła do parlamentu 145 tys. podpisów pod projektem „Aborcja to zabójstwo”, który przewiduje karę dwóch lat więzienia za samo informowanie o miejscach, gdzie można przerwąć ciążę (np. w zagranicznych klinikach). Kaja i jej starsza córka wniosły pudła z listami poparcia ośobiście.

– To bez sensu – skomentowała rzecz w studiu Polsatu posłanka Lewicy Joanna Scheuring-Wielgosz. – Przecież jeżeli jakaś kobieta chce w Polsce dokonać aborcji, to może kupić w aptece

tabletki wczesnoporonne i nikt jej nic nie robi.

– Za takie właśnie doradzanie powinna być kara więzienia – odpowiedziała Godek.

Projekt ŻiR wprowadzał do kodeksu karnego nowe kategorie przestępstw: „propagowanie przerwania ciąży”, „nawoływanie do przerwania ciąży”, „publiczne informowanie o możliwości przerwania ciąży” oraz „produkowanie, utrwalanie, nabywanie, przechowywanie, posiadanie, prezentowanie, przewożenie lub przesyłanie przedmiotów lub nośników danych” zawierających proaborcyjne treści.

– Te zapisy są kopią kremłowskiego zakazu propagowania homoseksualizmu – zauważyła dziennikarka „Polityki” Agata Czarnacka.

Odpowiedź Godek na stroonie ŻiR: „Dla wszystkich jest normalne, że nie można namawiać do zabicia trzyletniego dziecka czy dorosłej osoby. Nie można też promować zabijania niepełnosprawnych, otyłych, Żydów, Francuzów lub Polaków. Dlatego więc nie zakazać propagandy aborcyjnej?”.

7 marca 2023 r. nowy projekt zaprezentował posłom Kasprzak. Ponownie porównał zwolenników przerwania ciąży do hitlerowców (przy czym ci pierwsi odpowiadają według niego za większą liczbę morderstw niż naziści) i oskarżył rząd o tolerowanie „szarej strefy aborcji”. W trakcie debaty posłanki Lewicy i Platformy nazwały propozycję ŻiR „projektem fanatyków”, podając podczas przemówień numery telefonów do organizacji pomagających w terminacji ciąży.

– Powinny panie iść do więzienia za promowanie tutaj tych numerów śmierci – odpowiedziała Kaja.

Tym razem PiS zdecydował się odrzucić projekt już po pierwszym czytaniu, co zaproponowała Lewica. Przeciw inicjatywie Godek i Kasprzaka zagłosowali prezes Kaczyński, wicepremierzy Jacek Sasin i Piotr Gliński. Dalszego procedowania ustawy chcieli jedynie posłowie Solidarnej Polski (w tym Zbigniew Ziobro), część

Konfederacji i tzw. grupa radio-maryjna w PiS. Przegrali 99 do 300. Reszta się wstrzymała. Co na to Kaja? Wyszła z nową inicjatywą – tym razem skierowaną przeciwko... posłom prawicy.

W ramach akcji „Sejm bez aborterów” na stronie ŻiR pojawiła się „lista hańby”. Pod portretem Hitlera i informacją, że właśnie on wprowadził wolną aborcję dla Polek, widnieją nazwiska wszystkich polityków, którzy uniemożliwili skierowanie ostatniego projektu Godek do dalszych prac sejmowych, także prezesa PiS.

Do tego pod domami co bardziej prominentnych posłów i posłanek aktywiści fundacji wywiesili banery z dwoma ujęciami: parlamentarzysty/ki oraz zerwanego ludzkiego płodu. „Dekoracje” pojawiły się m.in. przed domem byłej wicepremier Jadwigi Emilewicz oraz pod biurami poselskimi wiceministra kultury Szymona Giżyńskiego z PiS, posła partii Wolnościowcy Jakuba Kuleszy i paru innych.

Umieszczony na „liście hańby” poseł PiS Tadeusz Cymański uważa, że akcja Godek mimo wszystko jest triumfem demokracji oraz „dowodem na to, że Polska pod rządami PiS jest wolnym krajem, w którym każdy może manifestować poglądy i krytykować władzę, nawet w sposób drastyczny”. – Nie podoba mi się oczywiście nieładne traktowanie ludzi, to znaczy porównywanie z Hitlerem osób, które – jak ja – opowiadają się jednoznacznie za ochroną życia, natomiast uważają, że karanie za samo mówienie o aborcji jest już nie tylko niepotrzebne, ale i przeciwnie skuteczne. Mogłoby doprowadzić do kontrreakcji społecznej, która sprawie ochrony nienarodzonych tylko by zaszkodziła – mówi poseł.

– Pod pańskim domem też zawisł baner?

– Zostało mi to oszczędzone. Może dlatego, że mieszkam w bloku.

Na początku maja redaktor Paweł Chmielewski z serwisu Polonia Christiana zadał Kai pytanie: „Czy zestawienie konserwatyw-

nych posłów z Hitlerem to aby nie przesada?”.

Odpowiedziała: „Nie, ponieważ posłowie głosujący za odrzuceniem projektu »Aborcja to zabójstwo« sami się w taki kontekst wpisali. Poparli wniosek lewicy w jej najbardziej ohydnej, antyludzkiej odsłonie. Prezes PiS puścił oko do środowisk aborcyjnych, [a przecież] nie można stać w rozkroku, bo człowiek się przewróci – i formacja polityczna również. I jeszcze jedna sprawa: nam próbuje się zamknąć usta, mówiąc: słuchajcie, i tak za granicą Polki robią aborcję, to co wy tu robicie nie ma wielkiego znaczenia. Otóż my zdobyliśmy pewne doświadczenia i możemy się nimi podzielić z prolajferami niemieckimi, czeskimi, słowackimi... Polska powinna emanować na resztę świata, bo ja wiem, że lewica w krajach Zachodu najbardziej boi się właśnie tego, że my prześlemy swoje doświadczenie i prolajferzy u nich, którzy są ścigani nawet za odmawianie różańca przed klinikami, powiedzą: »Wow! To się da zrobić!«. Polska może wyciągnąć kolejne kraje z marazmu i przerażenia”. ●

* Kaja Godek odmówiła spotkania ze mną. Gdy zaproponowałem, że wyślę pytania mailem (i liczę na zdalną odpowiedź), dostałem krótki respons od wolontariuszki ŻiR Moniki Matysiak: „Pani Kaja prosiła przekazać, żeby pan sobie rozmawiał ze swoimi gwiazdami, może np. z Martą Lempart”.

„Aborcja jest” Katarzyny Wężyk – esej i raport w jednym – dostępna na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl



Ten znajomy przyjemny dreszcz

Kiedy znowu mam rację. Zwłaszcza gdy chodzi o Kościół.

Magdalena Czyż

Mało co uprzyjemnia mi życie tak jak posiadanie racji. Co prawda znam jeszcze inną podobnie przyjemną przyjemność, ale posiadanie racji ma nad nią tę przewagę, że trwa dłużej niż kilka sekund. Domyślam się też, że z posiadania racji nie ja jedna potrafię się tak długo cieszyć, dlatego moją przyjemnością z przyjemnością postanowiłam się podzielić z wszystkimi, którzy wieścili, co poniżej.

O znajomy przyjemny dreszcz przyprowadził mnie tytuł w serwisie tygodnika „Niedziela”: „W diecezji elckiej brakuje księży, więc kuria planuje łączenie parafii i ściągnięcie alumnów z Afryki”.

Potem było tylko lepiej: „Biskup elcki Jerzy Mazur o kłopotach kadrowych poinformował wiernych diecezji elckiej w specjalnym liście odczytanym przed dwoma tygodniami w kościołach. Jednocześnie elcka kuria rozpoczęła rozmowy z parafiami, które ewentualnie mogłyby zostać połączone”.

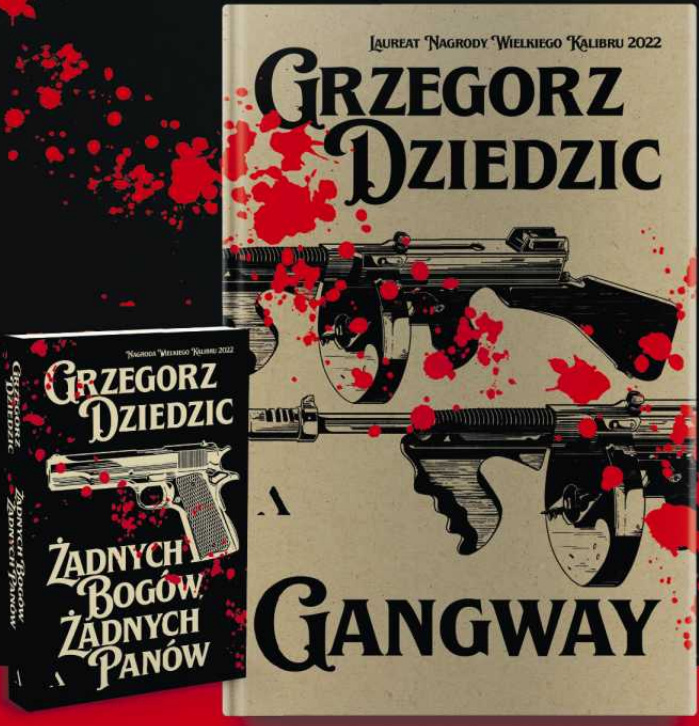
– Na razie parafianie nie za bardzo rozumieją, dlaczego mieliby być pozbawieni księdza. Prawda jest jednak taka, że z jednej strony mamy za mało kapłanów, z drugiej strony są parafie, w których jest bardzo mało wiernych uczestniczących w mszach, uczestniczących w życiu parafialnym. Są też parafie „wymierające”, gdzie jest coraz mniej ludzi – powiedział rzecznik kurii ks. Marcin Maczan. Przyznał, że „pierwsze dwie-trzy parafie mogą zostać połączone już w tym roku”.

Nie twierdzą, że cieszy mnie fakt, że Kościół w Polsce zaczyna się fizycznie kurczyć, chociaż raczej nie rozpaczam. Chcę tylko powiedzieć, że miło jest dostać namacalny dowód na potwierdzenie swoich diagnoz i przepowiedni. Nie byłam zresztą jedyną diagnostką i Kasandrą jednocześnie. Szeroka masa ludzi zarówno daleka od Kościoła, jak i blisko z nim związana od co najmniej trzech dekad mówiła, przekonywała, prosiła i apelowała o zmianę sposobu myślenia jego hierarchów. Hierarchowie pozostawali głusi.

I nadal tacy pozostają. Biskup Mazur apeluje o modlitwę w intencji powołań. Najwyraźniej modlitwę traktuje jako jedyne remedium. Tak przy okazji – trafiłam niedawno na dobrą definicję modlitwy: „To pozostawanie w przekonaniu, że nic nie robiąc, się pomaga”.

Natomiast rzecznik Maczan ma zamiast modlitwy proste wytłumaczenie problemów diecezji i całego Kościoła: „Mamy mało powołań, bo zdarza się, że rodzina kategorycznie zabrania młodym mężczyznom wstępowania do seminarium. Ci, którzy czują powołanie, są wyśmiewani w swoich środowiskach”.

Czyli znowu wszyscy są winni, tylko nie sam Kościół i jego hierarchia, która od dawna nie potrafi wypracować żadnej atrakcyjnej duchowo i intelektualnie oferty zarówno dla potencjalnych kapłanów, jak i samych wiernych. Za to świetnie im wychodzi obwinianie wszystkich dookoła o swoje braki. Tak trzymać, panowie! ●



GRZEGORZ DZIEDZIC

LAUREAT NAGRODY WIELKIEGO KALIBRU 2022

GANGWAY

ŻADNYCH BOGÓW, ŻADNYCH PANÓW

KRYMINALNY FENOMEN

LAUREAT NAGRODY WIELKIEGO KALIBRU POWRACA DO MROCNIEGO CHICAGO LAT 20.

Od czasu Breslau Mocka nie było chyba w polskiej literaturze kryminalnej tak szczerego, czulego i równocześnie okrutnego opisu miasta.

WOJCIECH CHMIELARZ

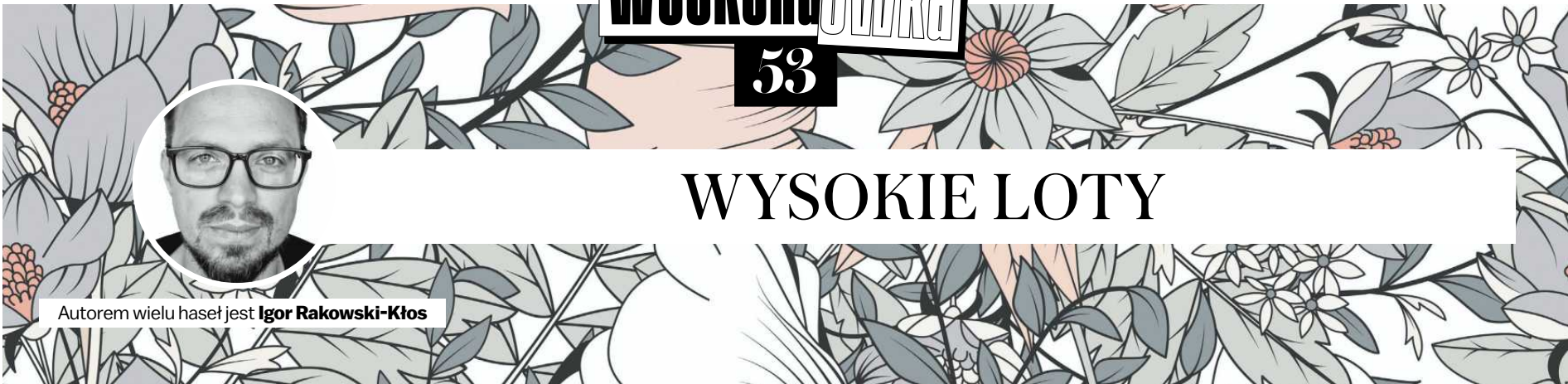
Jedna z najciekawszych przygód literackich, jakie ostatnio przeżyłem. Polecam gorąco!

ROBERT MAŁECKI



JUŻ W KSIĘGARNIACH

FOT. MARTA WERBOWY



weekendówka
53

WYSOKIE LOTY

Autorem wielu haseł jest **Igor Rakowski-Kłós**

Pierwszy raz wsiadłem do samolotu jakieś milion lat temu. Dokładniej – w latach 80. Rodzima telewizja nagrywała program „5-10-15” i znalazłem się wśród wybranej gawiedzi, która zwiedziła pokład samolotu (dalibóg, nie pomnę, jaki to był model, może Il-18?). Dowiedzieliśmy się, dlaczego samolot lata, i dostaliśmy model statku powietrznego z klocków, co by go sobie złożyć w domowym zaciszu.

Odważnie, ale gdzie nam tam do dzielności Charlesa Lindbergha, który dokładnie 20 maja (to był piątek, piątek, pią-tunio) 1927 r. o 7.40 rano zdecydował się sięść za stery Spirit of St. Louis – samolotu seryjnego Ryan M-2. Maszyna została zmodyfikowana na potrzeby lotu, którego wcześniej nikt nie dokonał. Choć byli śmiałkowie, którzy próbowali, jak choćby Francuz Charles Nungesser, as lotniczy z I wojny światowej, i jego nawigator Raymond Coli, z którymi kontakt urwał się 8 maja 1927 r.

Chodziło o to, by bez międzylądowań przelecieć między Europą a Ameryką. Próbowali tego dokonać Francuzi – choć kto wie, czy im się nie udało, bo odnalezieni po latach świadkowie ze stanu Maine mówili, że słyszeli jakąś maszynę, która mogła być samolotem Nungessera.

Dość powiedzieć, że oficjalnie udało się to urodzonemu 4 lutego 1902 r. w Detroit Lindberghowi. Miał zabrać na pokład kilka butelek wody, pięć kanapek i gorącą czekoladę. Ale i tak najważniejsze było paliwo – w jego przebudowanym samolocie mieściło się go 1,7 tys. litrów.

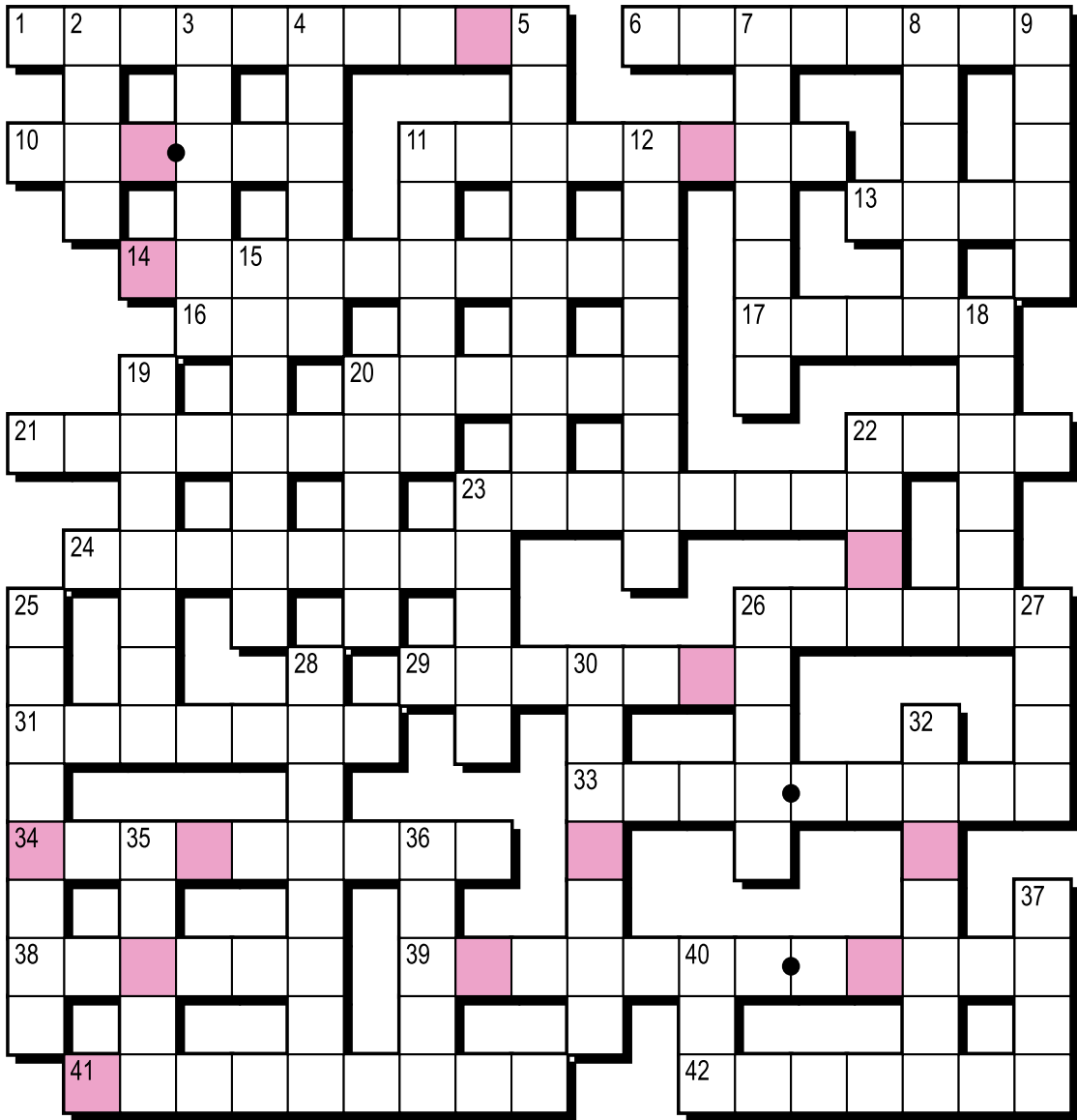
Wystartował z Roosevelt Field na Long Island w Nowym Jorku. Celował w Le Bourget Aerodrome w Paryżu. Około godziny 21 był nad Normandią, o 22.24, po 33,5 godzinach lotu, wylądował w Paryżu.

W 1932 r. – także 20 maja, oczywiście był to również piątek! – w samotny lot nad Atlantykiem wyruszyła Amelia Earhart. Za sterami samolotu Lockheed Vega przeleciała z Harbour Grace na Nowej Fundlandii do okolic Londonderry w Irlandii Północnej i stała się pierwszą kobietą, która samotnie pokonała Atlantyk samolotem.

Dlatego dzisiaj „Weekendówkę” poświęcamy lotnictwu, niezwykłym pilotom i generalnie lataniu. A w tej historycznej podróży zdecydowaliśmy się oddać część stery Igorowi Rakowskiemu-Kłósowi, dziennikarzowi historycznemu i pisarzowi, redaktorowi magazynu „Ale Historia”, sekretarzowi Nagrody Historycznej m.st. Warszawy im. Kazimierza Moścarskiego.

Wysokich lotów! ●

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 52 z 13.05:

Poziomo:

- 5) szkółki 9) Katalonia
10) niedźwiedź
11) Zamorano
12) liga 13) atak
17) Lionel Messi
18) Valverde 20) karny
22) Neymar 23) Luis
24) Sagrada Família
28) Raul 32) Santiago
34) Polak 35) Alfred
36) Camp Nou
37) Zinedine

Pionowo:

- 1) La Rambla
2) Ramos 3) Copa del Rey 4) kibol 6) kadra
7) ławka 8) Iker
10) nagroda
14) Kastylia
15) olimpiada
16) Beckham
17) Lewandowski
19) van Gaal
21) Real 25) Ronaldo
26) Francuzi
27) Barajas 29) bilans
30) gol 31) Torres
33) Gaudi 34) Pep

HASŁO:
GALACTICOS

Krzyżówka wysokich lotów

Hasła Igora Rakowskiego-Kłosa oznaczono inicjałami (IRK). Literę w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 1)** podaje nad chmurami
6) szybkie i zwrotne samoloty wojskowe, takie jak F-16
10) Tom Cruise zagrał w tym filmie Pete’a „Mavericka” Mitchella (IRK)
11) szwajcarskie linie lotnicze (działały do 2002 r.)
13) chowane po starcie samolotu
14) Boeing 787
16) ... lotnictwa, czyli wybitni piloci
17) samolot produkowany przez PZL w Mielcu
20) pionowe, boczne lub tylne (IRK)

- 21)** technik ... lotniczy lub ... pokładowy
22) „... lotu”, film z Jodie Foster
23) przy lotniskach zwykle płatne
24) wsiadli do samolotu
26) pomieszczenie dla samolotów, szybowców lub balonów (IRK)
29) latająca ..., bombowiec B-17 z czasów II wojny światowej
31) przestarzałe o lotniku
33) zespół wykonujący piosenkę „Learning To Fly”
34) przystosowany do startu i lądowania na wodzie; wodnopałat
38) niezidentyfikowany ... latający
39) pilot Boeinga 767, który 1 listopada 2011 r. zdołał bez wysuniętego podwozia wylądować awaryjnie na Okęciu
41) z paliwem
42) dokonywane przez nawigatorów

Pionowo:

- 2)** na lotnisku w godzinach szczytu
3) Franciszek Żwirko i Stanisław ... (zm. w 1932 r.), asy lotnictwa
4) pas startowy (z angielskiego)
5) niewielki samolot sportowy lub turystyczny
7) miasto w woj. lubelskim, ośrodek przemysłu lotniczego
8) generał ... Urbanowicz, pilot, dowódca dywizjonu 303
9) niejeden w centrum sterowania ruchem lotniczym
11) odrzutowy – stosowany w lotnictwie
12) czarna ..., na pokładzie samolotu
15) jednostka bojowa lotnictwa
18) „Spokojnie, to tylko ...”, kontynuacja komedii „Czy leci z nami pilot?”

- 19)** podejżdżają do samolotu na płycie lotniska
20) ... kontroli lotów
22) ... żyroskopowy, lotniczy przyrząd pokładowy
23) Czerwony Baron lub Stanisław Skalski
25) londyński port lotniczy
26) Tom, zagrał w filmie „Terminal”
27) szereg, np. siedzeń w samolocie
28) ... pokładowy, np. FMS – Flight Management System
30) samolot z katastrofy smoleńskiej
32) kosz pod balonem
35) przód samolotu
36) potocznie o samolotach An-2
37) będziemy podchodzić do lądowania, proszę zapiąć ...
40) Ikar, ... Dedala

Leszek Rydz

Byle do

weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ

Pobierz z
App Store

POBIERZ Z
Google Play